

POLSKA- INWALIDOM.



GABINET KOSMETYCZNY
ZOFJI MESZOWEJ

Lublin, Bernadyńska № 12.

PRECZ ZE ZMARSZCZKAMI!
USUWANIE BRODAWEK, PIEGÓW, WA-
GRÓW, WŁOSÓW I INNYCH WAD CERY.

113.

Ferd. Bohm & C^o

Fabryka Cykorji we Włocławku S. A.

145.

RINSO NOWY RODZAJ MYDŁA DO PRANIA
Z NAJDROBNIJSZYCH ZIARENEK

Rozpuszcza się całkowicie i tworzy gęste mydliny.
Namocz bieliznę, a RINSO ją samo wypierze. RINSO
zrobi pranie za Ciebie. Ty tylko wypłuczysz bieliznę.

L. REID. Przedstawiciel firmy **Lever Brothers Limited** (Anglja)

Warszawa, Moniuszki 11, tel. 176-00 i 204-87.

1. P.

DRUKARNIA
T-WA STRAŻY KRESOWEJ

WYKONYWA WSZELKIE
ROBOTY Z ZAKRESU
DRUKARSTWA I INTRO-
o o LIGATORSTWA o o

JASNA № 8.

WARSZAWA

TELEF. 80-54.

1. D.

Gazeta Warszawska Poranna

Największy polityczny dziennik polski założony w roku 1774.

Pisuje w niej artykuły z polityki zagranicznej

Roman Dmowski

„Gazeta Warszawska poranna” otrzymuje telegramy zagraniczne od własnych korespondentów ze wszystkich stolic Europy przez własną stację radiową.

Stałym feljetonistą „Gazety Warszawskiej Porannej” jest *Adolf Nowaczyński*.

W obszernie traktowanym dziale gospodarczym „Gazety Warszawskiej Porannej” pisują: poseł prof. *Stan. Głabiński*, poseł *Jerzy Gościcki*, prof. *Roman Rybarski*, prof. *Bohdan Wasiułyński*, poseł *Jerzy Zdziechowski*, i in.

Życie kraju we wszystkich jego zakątkach przedstawia *Józef Hłasko*.

Prenumerata mies. z odn. lub przesyłką pocztową złotych 4
„ kwr. „ „ „ „ „ 12

Adres Redakcji i Administracji

WARSZAWA, UL. ZGODA 5.

Telefony: Redakcji 275-11, 98 68, 90 46;
Administracji 26-58, 88;
Ekspedycji 289-04.

Redaktor: *Dr. Mieczysław Trajdos*.

Wydawca: „*Spółka Wydawnicza Warszawska A. Sądzewicz, M. Niklewicz i S-ka*”.

Oryginalne odbiorniki tylko z autografem

„S. MAŃCZARSKI”

W FIRMIE

„INTER-RADIO”

WARSZAWA,

ul. Królewska 29 a, II-e piętro.

TELEFON 118-03.

Cena 65 zł.

Wystrzegać się bewartościowych falsyfikatów
naszych modeli.

Polskie
Towarzystwo dla handlu węglem
„WĘGŁOBŁOK”

Spółka Akcyjna

Oddział w Łodzi.

99

Zakopane

Zakopane

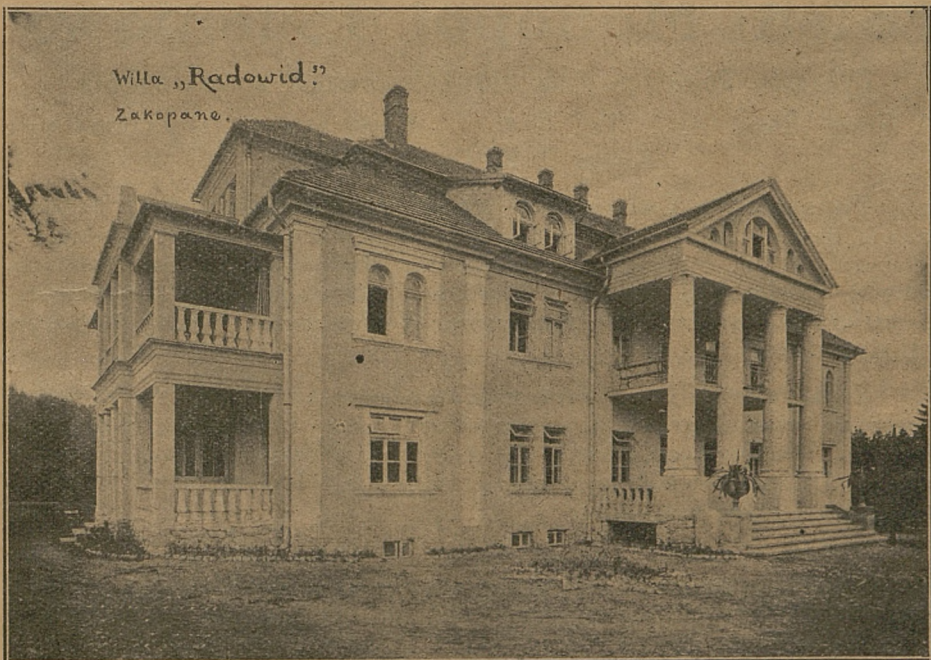
Hotel-pensjonat
„RADOWID”

ul. Sienkiewicza. Zdała od drogi.

Poleca pokoje z wykwintnem utrzymaniem. Budynek murowany,
nowoczesny komfort.

Ceny przystępne. Ceny przystępne.

Willa „Radowid”
Zakopane.



88



REPREZENTACJA:

Warszawa, ul. Ogrodowa 62, telefon 141-93.

Polski Monopol Tytoniowy

Dyrekcja Polskiego Monopolu Tytoniowego w Warszawie

ul. Nowy Świat 4. Tel. 75-41. Adres telegr: Dyrmontyt
Konto P. K. O. Nr. 30200.

Państwowe Fabryki Wyrobów Tytoniowych: w Warszawie dwie („Miasto” i „Ochota”) w Poznaniu trzy („Jerzyce”, „Łazarz” i „ul. Bukowska”) Krakowie, Radomiu, Monasterzyskach, Kowlu, Zabłotowie, Łodzi, Winnikach, Starogardzie, Bydgoszczy, Grudziądzu, Inowrocławiu, Kościanie, Wodzisławiu, Wilnie, Grodnie, i Białymstoku.

Państwowe Magazyny wyrobów tytoniowych: w Katowicach, Stanisławowie, Lwowie, Rzeszowie, Przemyślu, Kołomyji, Kaliszu, Wadowicach, Kielcach, Lublinie, Nowym Sączu, Toruniu, Wilnie, Częstochowie, Jagielnicy, Równem, Krzemieńcu, Brześciu n/Bugiem i Poznaniu.

Własne składy detaliczne: w Warszawie przy ul. Nowy Świat 57 i Traugutta 2; w Poznaniu przy ul. 27-go Grudnia, w Bydgoszczy ul. Dworcowa, w Krakowie ul. Sławkowska i w Wilnie ul. Jagiellońska.



ZAKŁADY SOLVAY

W POLSCE T. Z. O. P.

FABRYKA SODY

W PODGÓRZU.

KRAKÓW.



Magistrat

m. Aleksandrowa
KUJAWSKIEGO
Star. Nieszawskiego.

92

Restaurant

„LOUVRE“

LODZ, Tel. 12-20'
Rue Piotrkowska N^o 83.

100

Skład materiałów Aptecznych

PERFUMERJI, KOSMETYKI, PRZYBORÓW CHIRUR-
GICZNYCH I FARB

Wacława Gąbczyńskiego

Ciechocinek, dom własny ul Słońska.

93

Skład win i wódek

T. RYCHTER

Łódź, Piwna 27.

97

M. Brun
i Sz. Presser
Płótno lniane i jutowe

Łódź. Wschodnia 72.

98

R. Biederman i S-ka
Farbiarnia
i wykończalnia

Łódź, Rajtera 30.

96

KIOSK ROZWOJU

Magazyn rzeźby zakopiańskiej
i przyborów piśmiennych

R. F A J K O S Z.

Zakopane, Krupówki 65.

81.

Kazimierz ZIELIŃSKI

MECHANIK I OPTYK

Kraków, Rynek główny 39.

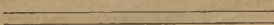
90.

MIEJSKIE MUZEUM PRZEMYSŁOWE

IM. D-RA

A. BARANIECKIEGO

40

Kraków  ul. Smoleńska.

F U T R A firmy

K. i R. Moor

uznane za najlepsze, najtrwalsze
i najtańsze.

K r a k ó w

Grodzka 13. Telefon 17.

83.

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE
i H A N D L O W E

„TĘCZA“

Spółka z O. Od.

Kraków, Czarnowiejska 72/74.

84.

KSIĘGARNIA TOW. SZKOŁY LUDOWEJ

w Krakowie, Św. Anny 5.

Polecza:

**PODRĘCZNIKI SZKOLNE DLA
SZKOŁ WSZYSTKICH STOPNI
I RODZAJÓW.**

Specjalnością księgarni T S L. jest do-
starczanie gotowych bibliotek miejskich,
wiejskich i szkolnych układu fachowych
pedagogów i pracowników oświatowych.

Katalogi odwrotnie darmo.

82.

POWROŹNICZE

wyroby jak liny, sznury, postron-
ki, szpagat, taśmy, hamaki i t. p.

polecza:

Fabryka powroźnicza

St. Wałkowińskiego

Kraków - Zwierzyniec, ul. Lelewela 11.

Uprasza się zwracać uwagę na
dokładny adres.

91.

Tatry

ZAKOPANE

Tatry

Największa w Polsce stacja klimatyczno-turystyczna
Sezon całoroczny. Sport — Turystyka Wypoczynek. Sezon całoroczny.



Staw Smerczyński w dolinie Kościeliskiej

Tatry

Położone na północno-zachodnim stoku Tatr, na przestrzeni 40 km² w dolinie, zasłoniętej od północy rozległym wzgórzem Guwzgórzami otoczonej, na wysokości z górą 900 m. (najniższe punkty 837 m, najwyższe 1002 m)

To położenie powoduje, że Zakopane posiada klimat górski atmosferyczny i szybsze parowanie, natomiast natężenie promieni słonecznych, wilgotność, czyli większą suchość niż w innych miejscach.

Czynnikami te hartują organizm, a zatem zmniejszone ciśnienie atmosferyczne, niska średnia ciepota, zwiększone obfite opady, małą względną wilgotność powietrza i bardzo mało wiatrów.

Czynnikami te hartują organizm, a zatem zmniejszone ciśnienie atmosferyczne, niska średnia ciepota, zwiększone obfite opady, małą względną wilgotność powietrza i bardzo mało wiatrów. Przedewszystkiem więc w chorobach płucnych, początkach i dalszych stadiach tej choroby przy przebiegu przewlekłym; w nieżytach nosa, gardła, ozdrowieńców po zapaleniu płuc, ogniskach kostnych i gruczołowych chorób ostrych; pozatem na nerwach, niedomogi robą Basedowa, choroby narządu czerwonokrwistym, zimnica i blednica, choroby przemiany ma-

ożniczki i podniecają przemianę materii, jak otyłość i t. p.

ożniczki i podniecają przemianę materii, jak otyłość i t. p.

ożniczki i podniecają przemianę materii, jak otyłość i t. p.

ożniczki i podniecają przemianę materii, jak otyłość i t. p.

Pierwszorzędne sanatoria i pensjonaty. — Wspaniałe tereny turystyczne o charakterze wysokogórskim (alpejskim)

W miesiącach zimowych głównym sportem — Narty — Sanatorium — Bobsleigh'e — Największa w Polsce skocznia narciarska.

Pierwszorzędne kawiarnie, w których codziennie odbywają się koncerty i dancin. W sezonach głównych koncertów, przedstawienia teatralne stołecznych zespołów.

Ceny w pensjonatach: 6, 8 i 10 zł. zależnie od kategorii.

Komunikacje z Warszawą, Poznaniem, Krakowem, Lwowem, Katowicami bez pośrednimi wozami.



Tatry zimą Narciarze.

Tatry

„DANUSIA”

Handel delikatesów

w Krynicy — Zdroju.

Posiada na składzie: czekolady i cukry, wina, owoce południowe zawsze w wielkim wyborze.

85

S-ka handl. „JEDNOŚĆ”

w Krynicy — Zdroju

poleca wszelkie artykuły spożywcze.

86

Wapno handlarskie, budowlane, nawozowe, hydrauliczne, cement, gips, maty sufitowe, drut, glina malarska, biel, cegła, dachówka, szamotka, glina ogniotrwała, piece kaflowe, kamień i szuter wapienny, glina, piasek rzeczny i formierski, papa dachowa, izolacyjna i bezterowa, smoła, asfalt, karbolina, blachla cynkowa i ocynkowana, żelazo, gwoździe wszelkich wymiarów, wyroby beton i słupy, posadzka kamionkowa i cementowa, rury kamionkowe, flizy glazurwane i ozdobne, płyty piekarskie, okucia budowlane, klamki i wszelkie inne materiały do budowy zawsze na składzie u firmy:

Miejskie
ZAKŁADY CERAMICZNE

K r a k ó w 14.

41

Zakopane

Warsztaty Kilmiaarskie

Nr. 40 Krupówki Nr. 40

Tkaniny ręczne wedle wzorów znanych artystów.

87

Antoni Krzyżak

Magazyn

towarów galanteryjnych

Zakopane.

80

KTO LUBI Cukry
Czekoladę

Najprzedniejszych firm: FUKSA, WEDLA i innych

:: :: :: poleca po cenach przystępnych :: :: ::

WALDEMAR WOLFRAM

Warszawa, ul. Św. Krzyska Nr. 16 tel. 289-80.

SPOŁKA PRZEMYSŁOWO—HANDLOWA

„DŹWIGNIA” S-ka z Ogr. Odp.

Żyrardów

HURTOWA ROZLEWNIA:

102

ESENCJI OCTOWEJ, OCTU, OLIWY NICEJSKIEJ

Skład wina, wódek i likierów

R. RASZEWSKI

ŻYRARDÓW, WISKICKA 53.

18

FUTRA

Є. NAJLUBELSKI i S-ka

Warszawa, ul. Chmielna Nr. 16.

Telefon 265-93.

Przyjmuje się wszelkie zamówienia w zakres kuśnierstwa wchodzące oraz farbowanie futer.

70

CUKIERNIA

A. Szałańskiego.

w PŁOCKU

ul. Tumska № 8. Telefon 100.

94

„RYDLÓWKA“

FABRYKA GWOŹDZI
i WYROBÓW ŻELAZNYCH

RAND i S-KA

KRAKÓW ———— PODGÓRZE.

66

CUKIERNIA

W. CHMIELEWSKIEGO

w Lublinie

Krakowskie - Przedmieście Nr. 8
(dom własny)

SALA BILARDOWA

CENY NISKIE

Egzystuje od roku 1900

14

S. W. NIEMOJOWSKI

FABRYKA PAPIERU

i WYROBÓW z PAPIERU

Spółka Akcyjna w **BIELSKU**

57

DBAJ O SWOJE ZDROWIE

UNIKAJĄC SPOŻYCIA WĄTPLIWEJ WARTOŚCI
POSIŁKÓW RESTAURACYJNYCH

nie omieszkaj zapoznać się z wytworną jadalnią wydającą

DOMOWE OBIADY (codziennie
od 1 — 4)

przy ul. Hortensja Nr. 7.

69

Obiad z dwóch dań od 80 groszy.

OBIADY PRYWATNE

W WARSZAWIE

UL. WILCZA 15. M. 4

POLEGA KUCHARZ

F. CHMIELEWSKI

103

Gimnazjum matematyczno-przyrodnicze
T. SADKOWSKIEGO

Leszno 84. _____ Tel. 72-81

Gimnazjum humanistyczne z prawami z klasą wstępną
ROCHA KOWALSKIEGO

Świętokrzyska 27. _____ Tel. 280-41

SZKOŁA HANDLOWA ZGROMADZENIA KUPCÓW

(z oddziałami gimnazjalnymi) ∴ ul. Prosta 14. ∴ Tel. 12-92

Dyrektor WŁADYSŁAW WOJTOWICZ

Polsko-Holenderskie Naftowo-Przemysłowe i Handlowe

Towarzystwo „Mazut” Spółka Akcyjna

CENTRALA W WARSZAWIE

Szkolna 2 (Jasna 11). Telefony Centrali: 80-94 i 80-58; Składu: 149.

ODDZIAŁ W GDAŃSKU

Sprzedaż hurtowa z rafinerji, oraz dostawa detaliczna z własnych składów:

Nafty, Benzyny, Olejów, Parafiny, oraz Wszelkich Produktów Naftowych.

Własny Tabor Cysternowy.

Własna Żegluga na Wiśle.

Czytajcie najnowszą

powieść fantastyczną

F. A. OSSENDOWSKIEGO

„Zbuntowane i zwyciężone”

Żądać wszędzie!

STÓJ.

**PŁASKI
ZEGAREK??**

!!? NOWY WYPAŁAZEK?!!

wysyłamy pocztą za zł. 7.84 zamiast zł. 25 tylko dlatego, że nasza firma kupuje kilkakrotnie taniej od innych firm, dobrego gatunku rzeczywiście płaskie, stalowe lub niklowe najnowszego fasonu z pierwszorzędnym mechanizmem, 16 rubin. pod żadnym względem nie mogą być porównywane z tanimi falsyfikatami Zł. 7.84; 2 sztuki Zł. 15.36, 3 szt. Zł. 22.57. Lepszego gatunku 10 Zł., 14 Zł., 16 Zł., 20 Zł., 25 Zł. i 30 Zł. Zegarki kieszonkowe odkryte lub na rękę z prawdziwego franc. nowego złota „Plackke-deor”, niczem się nie różni od prawdziwego złota 14 kar., 12 zlot., 14 zlot., 18 zlot., 25 zlot. i 30 zlot.

!!NOWOŚĆ!! BŁYSKAWICA z samoświecącym w nocy cyferblatem. Eleganckie, niklowe zegarki szwajcarskie dla Panów i Pań na rękę ze skórzanym paskiem najnowszych fasonów, 10 zlot. 11.50 zlot., w lepszym gatunku 14, 18, 23, 27 i 32 złotych. Premja: Przy zamawianiu odrazu 5 zegarków, mogą być różne, dodajemy 1 zegarek zupełnie **bezpłatnie**. Łańcuszki 2, 3 zł. z franc. złota „Plakeor”; 4, 6, 8 i 12 Zł.

Elegancki stoł. biurowy zegarek z budzikiem dzwoni głośno i długo na każdą godzinę, za 10 zł. — z lepszym werkiem 12 zł., 14, i 19 złotych.

Zegarki wyregulowane i gwarantowane za dobry chód.
Przesyłki i opakowanie płaci kupujący.

Adres: Szwajcarskich Zegarków:]]

**Józef Jakubowicz, Warszawa,
ul. Sienna 27 ODDZ. 25.**

BEZ RYZYKA: O ile się nie podoba przyjmujemy z powrotem. Od naszych klientów otrzymujemy w dalszym ciągu dużo podziękowań i powtórne zamówienia.

350) Sz. P. Jakubowicz. Dziękuję Sz. P., że mi P. przysłał dobry zegarek.

Z szacunkiem Stanisław Macioszek, posterunkowy 13 komp. Pol. Państw. w Tormartach, poster. Nr. 6 w Kilszaniszkach.

Firma egzystuje od r. 1902, nagrodzona na wystawach wieloma złotymi medalami i listami pochwalnymi.

Instytut Wydawniczy

Inwalidów Wojennych
i b. Wojskowych

Warszawa, ul. Widok № 6 m. 7

poleca następujące
wydawnictwa własne:

F. Antoni Ossendowski: Zbuntowane
i zwyciężone, powieść fantastyczna,
w trójbarwnej okładce i z ilustracjami W. Mazurowskiego.

Zygmunt Kobjrzyński: Przekłady i Parafrazy (Wilde, Claudel, Salomon i t. d.).

A. Świdwiński: Co mówią gwiazdy? czyli przepowiednie
na rok 1926. Album humorystyczny.

Kamil Giżycki: Przez Piekło. Podróż przez [Azję Środkową w r. 1920 — 21. Z licznymi ilustracjami.

Wiktor Przeclawski: Miasto. Powieść.

Żądać wszędzie ☆ Żądać wszędzie

Elektrownia miejska w Krakowie

utrzymuje na składzie
PRZY ULICY DĄJWÓR L. 27:

motory elektryczne, przewody, bezpieczniki, przełącz-
niki i t. p.

W SKLEPIE ELEKTROWNI
PRZY PL. SZCZEPAŃSKIM 1

sprzedaje:
świeczniki, żarówki, różne maszynki elektryczne
i t. p.

POLSKA ---
INWALIDOM

Marzenie o trzecim obozie.

(Artykuł dyskusyjny).

„I dlatego poszły w pogardę urzędy i mądrość: bo człowieka podłego nazywają w Europie ministerjalnym, to jest człowiekiem urzędowym; a człowieka głupiego nazywają doktrynerem, to jest mędrkiem”.

„O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice”.

Adam Mickiewicz:
„Księgi Narodu Polskiego
i Pielgrzymstwa Polskiego”.

Czyta się dzisiaj w bardzo wielu pismach - stołecznych i prowincjonalnych - że nie należy się poddawać pesymizmowi, że nie jest jeszcze tak źle i t. d., że niemasz takiego położenia, z któregooby nie można było wybrnąć pracą, jednym słowem, że możemy mieć jak najlepsze nadzieje na przyszłość! Bardzo dobrze. Sądźmy, że te pouczenia, ubrane zazwyczaj w barwne a oklepane frazesy, przechodzą jednak bez wielkiego wrażenia, a to z tego prostego powodu, że życie mówi zgoła co innego, choć nie mówi, żeśmy powinni żyć w rozpacz. Życie mówi wyraźnie, codziennie i bez obłudy, że czasy, które przeżywamy, są czasem przełomowym, że położenie, w którym się znajdujemy, jest niejako progim wielkich, choć może i powolnych, przemian, i że jest bezsprzecznie takie, że można zeń wybrnąć pracą skierowaną ku nowym, jeśli chcecie, a koniecznym, celom, które muszą się stać rzeczywistością, bo takie jest prawo ewolucji ludzkiej.

Wojna straszliwa i krwawa przyspieszyła jednak ewolucję całego szeregu spraw ludzkich. To prawda. Jednocześnie atoli niesłuchanie obniżyła ogólny poziom moralny, dała silny triumf materialistycznemu pojmowaniu życia — tak, że każdy już niemal ideał „sięgnął bruku”, prze-

stał być ideałem, stał się interesem. Interesem! Doraźną korzyścią! Bo doraźna korzyść jest to — niestety — cel współczesności.

I oto z tą ogólną chorobą przedewszystkiem trzeba walczyć. Bo zdajmy sobie jasno sprawę z jednego: że nie pomogą nic najlepiej obmyślane konstytucje, reformy i ustawy, nie pomogą nic udane rewolucje, inne formy rządu, inaczej nazwana policja, inaczej nazwane wojsko, ministrowie i t. d. i t. d. dotąd, dokąd nie zmieni się *Człowiek*. Już Tołstoj zwracał nato uwagę, mówiąc, że, gdyby rewolucjoniści zużytkowali choćby minimalną część swoich sił nietylko na zmianę form powierzchownych, ale przedewszystkiem na karmienie i rozszerzanie duszy ludzkiej, to dawno już Zło świata rozplynęłoby się w blaskach oświaty, jak śnieg w słońcu lata.

Oświata!

Jakże mało ludzi, jakże bardzo mało ludzi w Polsce (i nietylko w Polsce!) zdaje sobie sprawę z pierwszorzędnej ważności i wielkości tej dziedziny! Jakże łatwo i często zapominamy, że oświata i tylko oświata może być dźwignią i nadzieją przyszłości, i jakże łatwo przechodzimy do porządku dziennego nad tem, co się u nas z tą oświatą bezkarnie wyprawia! A żyjemy przecież

w czasach, kiedy drży nie tylko wschód Europy, drży Europa cała, drży ziemia, jakby w straszliwych godzinach nowego porodu. Jesteśmy może w przededniu zdarzeń ogromnych, przemian stanowczych, zwycięstw niespodzianych. Wojna rozbudziła narody i ludzi. Ta wojna, która—niby wicher liściem—pomiałała dorobkiem narodów i życiem ludzi, ta wojna właśnie ogłosiła światu deklarację świętych praw *wolnych narodów i wolnych ludzi*. O żadnym wstecznym pochodzie, o żadnym powrocie stosunków przedwojennych mowy już być nie może. Kto tego nie widzi—jest ślepy, a kto widząc, lekceważy, jest dzieckiem, i to mało rozwiniętym dzieckiem.

Bo nie idzie już teraz o jakieś — tam sprawy partyjne, o naciski, odpory, walki i zwycięstwa ekonomiczne i polityczne, tu idzie o rzeczy najpotężniejsze, o sprawy najbardziej istotne, o człowieka i jego dołę, o ludzkość i jej rozwój i los.

Jesteśmy na rozdrożu. Wszyscy. Bez wyjątku. I ja i ty, jako ludzie, i my, jako społeczeństwo, i my, jako państwo. Jest to prawda dni naszych niewątpliwa, jest to pieśń dzisiejsza, która nie milknie, która wzywa, krzyczy, nawołuje, spokoju nie daje, do stanowczego wyboru zmusza, a przecież, przynajmniej pozornie, żadnej drogi nie wskazuje. Ten głos, do prawdy władczy, mówi i krzyczy codziennie: — Musicie naprzód iść! Stać w miejscu niepodobna! Nie wolno! Naprzód i naprzód! Każdy krok wstecz, każdy postój, to krok ku przepaści! Naprzód!

Lecz oto jesteśmy na rozdrożu. Którędy iść?!! Ano, jak dotąd, kręcimy się trochę wokółko. Bo nie wiemy i zdecydować się nie możemy. A głównie... nie wiemy.

Nie wiemy, bo nie umiemy czy też nie chcemy śmiało patrzeć prawdzie w oczy, rozważać dzisiejsze położenie, przemyśleć całokształt sprawy ludzkiej, która jest i naszą spra-

wą. Aktualnościami zajmujemy się żywo i chętnie. Piszemy z ich powodu i na ich tle całe traktaty polityczne, ekonomiczne, społeczne, ba, nawet i filozoficzno-psychologiczne, chwytamy tu i ówdzie rąbek prawdy, i wtedy... zazwyczaj się cofamy. Bo już trzeba by mówić o tej „nieznośnej” całości, a to nie jest przyjemne, może też nie jest poczytne.

Ale jest.

I jakże to jest?! Spróbujmy powiedzieć krótko, króciutko, dosadnie, wyraźnie.

Jest więc tak:

Podzielił się świat ludzki na dwa wielkie obozy. Tertium (na razie!) non datur, bo ten trzeci obóz—nazwijmy go obozem ślepych lub obojętnych widzów — po prostu nic nie znaczy. Tamte dwa—to obozy wrogie. Walka wrze, i oto właściwie żaden człowiek żywy nie może pozostać poza tą walką, o ile nie ma własnej drogi, powtarzamy: własnej wytkniętej drogi. Jeśli tacy ludzie są, jeśli ich jest wielu—stworzą trzeci obóz.

Pierwszy obóz to cała stara Europa, z jej tradycją historyczną, prawną i kulturalną i religijną, — drugi to obóz proletariatu. Ale to nie jest obóz ani biedny, ani święty, ani godny współczucia i kochania. To już obóz potężny i straszliwy, wojowniczy i żądny zdobyczy, i do walki i do zdobyczy już zorganizowany.

Obozy te, wcześniej czy później, stoczyć muszą ostateczną walkę. Czy będzie to walka zbrojna i krwawa, czy też ewolucyjna, i że tak powiemy, parlamentarna, tego, oczywiście, przesądzać niepodobna, i to nas tu głównie nie interesuje. Interesuje nas w tej chwili pytanie, czy jest rzeczą niezbędną i konieczną stanąć twardo po którejkolwiek stronie, i czy, szczególnie ten obóz proletariacki, zapewni ludzkości nowy rozwój, nowe życie i zwycięstwo nad Złem Bytu?

Przyznacie, że, aby na to pytanie stanowczo odpowiedzieć, trzeba swoją odpowiedź oprzeć na bardzo silnych i wątpliwości nie podlegających argumentach. Smiem wątpić, czy można w tej chwili argumenta takie — wszystko jedno, czy dotyczyć będą obozu pierwszego czy drugiego, odpowiedzi twierdzącej czy przeczącej — posiadać. Nie dostarcza ich bowiem życie. Życie wyraźnie mówi, że nie jest zwycięstwem nad złem bytu ani bolszewizm, ani kapitalizm. I jeden i drugi bije bałwochwalcze pokłony materializmowi, i jeden i drugi popełnia błędy, omyłki i zbrodnie w imię... własnego interesu, i jeden i drugi nie liczy się z nakazami rzeczywistości i nakazami zachowania miary (która obowiązuje nawet w dziedzinie fantazji), i jeden i drugi żeruje na najniższych instynktach człowieka.

I jeden i drugi nie pracuje *nad duszą człowieka!*

— — — — —
A więc...

Jeszcze żadne więc. Festina lente. Powróciliśmy tylko do pierwotnego twierdzenia, że ogólna choroba ludzkości, choroba na korzyść doraźną, na żądę władzy, użycia, rozkoszy, na straszliwy materializm, na bezwstydną, ciemną, na wskroś egoistyczną religię ziemi, — stoi dziś, jak mur przeklęty, między nami a naj-

piękniejszymi ideami. Jesteśmy chorzy i ślepi. Niemal wszyscy. I ci z obozu tradycji i pieniądza, i ci z obozu proletariatu i pieniądza. Bo tu i tam rządzi on, symbol materializmu.

Jesteśmy chorzy. Leczymy się! Uczmy się słońca, dobra i miłości. Obalajmy ten mur, który nam zasłania słońeczność i dobro idei! Miłujmy człowieka, a nie naszą korzyść. Miecz tylko tępi, lecz nie zwycięża. Pożar rodzi gruz, a nie buduje. Agitacja rodzi rewolucję, lecz nie ducha.

Obalajmy mur egoizmu i brudnej żądzy, budujmy człowieka! A wtedy, jak w słońcu lata, rozplynie się Zło bytu. A wtedy powstanie obóz trzeci, który nad walczącymi dzisiaj zapanuje, i który jedynie może odnieść pełne zwycięstwo. Bo tamte nie zwyciężą. Nigdy. Będą się wzajemnie niszczyć i obalać, znowu organizować, znowu walczyć i na przemianę górować, lecz nigdy tej walki nie zakończą, bo ją prowadzą w imię hasel i dążeń materialistycznych. Panem et circenses! — wrzeszczą tłumy i tu i tam. I żywią i rozwijają w człowieku niestety nie tylko poczucie godności, ale przede wszystkim apetyt władzy, użycia, dosyту.

Straszny apetyt!

Zwyciężyć może tylko obóz trzeci, obóz, który będzie budował miłością, oświatą i wolą Ducha.

Żet.

Ojczyzna.

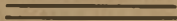
*Jeśli rycerz nieczujny na siodle zadrzemie,
Nie stlały przeto wici, ni zarzewie zgasto...
Nie zmarnieje w Ojczyźnie raz posiane siemię,
Nie zginie od prawiecza w świat rzucane hasło.*

*To słowo pokoleniom iawi się nienowe,
Choćby przez mgłę zapomnień, przez tuman zwidziska,
A chleb Ojczyzny, niby Ciało Chrystusowe,
Tryska wieczyście żywą krwią — i łzami tryska.*

*Przeto zaiste warto płomień wiecznie żywy
Podsycać własnym żarem — a serce spopielać,
Brać Komunię żywota z krwią polanej niwy
I poa chleb, który wzejść ma, znowu krew swą przelać.*

*I tylko wiedzieć trzeba, żeśmy nie na stypie;
Jednem życiem od wieków szumią łany żytnie...
Serce, Ojczyźnie wierne, gdy się w proch rozsypie,
Znowu Ojczyzną będzie, kiedy w kłos wykwitnie.*

Tadeusz Nowlin-Wagner.



Konny Saper Pancerny.

Mówić o życiu i śmierci Stanisława Małagowskiego — nie znaczy pośród lat jednostajnych szukać mozolnie szeregu zdarzeń ciekawszych, któreby w efektownym zestawieniu usprawiedliwiły sam fakt ich wskrzeszenia i dały tytuł do pośmiertnej sławy.

Nie. Mówić o życiu i śmierci Stanisława Małagowskiego, to borykać się z nawalem faktów historycznej miary, to przedzierać się przez bujne piękno tych krótkich lat, których dzień każdy osobno waży. — To wreszcie, przepych jego życia przecinać wygodną ścieżką dla przygodnego widza i nizać nieprzebrane skarby ognia i krysztalu na mizerną nić szarych liter, zgadzając się unieść z nich tyle tylko, ile nić wytrzyma.

Więc mówić trudno.

Spójrz w oczy niedawnym — tak bardzo niedawnym portretem, przypomnij postać, rozwiń młodzieńcze listy, pogładź dłonią skupioną karty pamiętników.

Wstaje. To sama polskość, w pełnem, doskonałem wcieleniu. Z jej czarem i męką, błędem i zasługą, krzywdą i błogosławieństwem.

Oto jest nasza, wyłącznie nasza, (bo któżby się o nią pokusił i któż wytrzymał) bezdomność, włóczęga i tęsknota. Oto zuchwałe junactwo, co tak bujnym kwiatem tylko z polskiej gleby wyrasta. I upór walki, walki wbrew wszystkim i naprzekór światu, codziennie zaczynanej nanowo. I wreszcie tryumf zwycięstwa.

A potem — potem już tylko serdeczny chłopak. Sam czar rozkwitłej ziemi, zapach wiosennej słodyczy, wspomnienie i zapomnienie niosący urok młodości... Młodość jego! Jakież słowo przedziwne znaleźć dla niej...

Była jak przebogaty splot wiosny, jak zawieja spienionej zieleni w głębi

nieprzejranych królewskich borów, gdzie na każdym na rozstaju dróg dzikich czeka talemnica. Była jak serdeczna, siwa okolica wsiowa, pełna rzewności dzwonów kościelnych i rosy poranka. Była też, jak podziemie kopalni, pełne wysiłków tysięcy, gdzie biją pulsa maszyn i młoty serc.

Od pogodnego szczęścia kolorowej łąki, co w słońcu leży piękna, sobie szumiąc, nie komu — aż do gościńców szarpanych, gdzie krwią i potem perli się praca człowieka — wszystko poznała młodość ta, przeczysta zawsze i prawdziwie górna.

Aż przyszedł wiek męski. Zagrały po świecie dawne, lecz wiecznie nowe zawołania rycerskie i miliony słońc srebrnych zabłyśły w ostrzach broni — Wojna!

Odtąd los jego był losem polskiego żołnierza. — Tego, co przez obcy mundur i własną krew parł ku ojczyźnie. Twarda dola bojowa brnęła długo wygnańczą drogą, by dojść nareszcie do otwartej bieli zimowych pól, zrytych niezłomnymi łańcuchami strzeleckich rowów. By dotrzeć do prawa ich bronięcia, do prawa ich posiadania.

I cóż? — Po latach, jakiegoś letniego popołudnia, w pachnącej bieli kwiecistego łąnu, leży serce człowieka, z którego uchodzi krew. — Koniec.

Nie koniec!

Przecie wśród szabel wart honorowych, pośród pełgania świec smukłych, włada martwy profil rycerski, uśmiechnięty spokojnie.

„Skończyłem. Mam prawo odmeldować się z wiernej służby. Słodką jest nagroda i odpocznienie”.

Nie koniec.

Non omnis moriar.

Snać w mniejszej już dzisiaj ojczyzna potrzebie, los jej pośród narodów wywalczony i ugruntowany, przyszłość, choć trudna, ale jak okolica szeroka pod burzami i słońcem w oddal rozefana — śnać walki najcięższe już poza nami, skoro odszedł od roboty komendant Małagowski.

Każda epoka, oprócz milionów ludzi co w niej żyją, wydaje typy, które jej służą i ją tworzą. Potrzeba czasu wysysa krew ich i młodość, na ofiarę przeznaczoną. A że chętnie dają—więc szybko spełnia się ofiara.

Małagowski był typem twórcy niepodległości. Nietylko bojownika, ale i budowniczego.

„Polska to jest wielka rzecz”—pisał kiedyś—„ale wielkich rzeczy nie nazywa żołnierz po imieniu”. To też wszystko od lat najwcześniejszych działało się w życiu jego poprostu, jako zwykle, bierzące zajęcia ucznia, studenta, żołnierza.

A było miłością samą. Nie otaczały go bowiem mury, domy, ulice, otaczały go żywe części Polski, z których każda dopominała się natrętnie o wkładkę jego pracy. Nie mógł być gościem w rodzinnem mieście—musiał być współbudującym robotnikiem. Nie było dlań w kraju spraw dalekich i obcych; były tylko pola twórczości.

Nie miał znajomych, miał kolegów i towarzyszy broni.

W szkole ziemi Mazowieckiej, jako jedni z pierwszych maturzystów szkół polskich, żyją obaj Małagowscy w doborowem, iście filareckim gronie, związani potem ze sobą latami miłości i boju—aż do końca. Ale nietylko „żyją sobie”. Promieniają wokół. Niema hulanki i próżniactwa; jest praca rozważna, pierwsze koła sportowe pośród młodzieży szkół średnich, jest obywatelskie tworzenie życia w małym społeczeństwie „sztuby”. Są wreszcie pierwsze próby wejścia w sprawy narodowe, odezwaniania się własnym słowem nowej młodzieży, tej, która

„wierzy, że jutro inne niżli wczora, i że w naszego miecza rękojeści zamknięte krzepko — zwycięstwo się mieści”.

A tymczasem—wakacje. Na rowery, w ośmiu czy dziesięciu, i tysiąc kilometrów po kraju w przeciągu 6-ciu tygodni. Poco? „Przejechać się”, odpowiedziałby szczerze Staś Małagowski. A jednak nie. Napewno nie.

Poto, żeby spojrzeć w oczy najgłębszej miłości. Tak oto przecie, jak ten lubelski gościnnie biały, biegną w duszy zamiary proste i jasne, ziemi własnej na służbę oddane. W kształt dumy i rzewności, jak domostwo rodzinnego budowania, wniesione jest młode serce. Jak sandomierska ziemia, jest moc jego i przepych marzeń. Więc drzewom się pokłonić, zwierzęta przyhołubić! Więc siermięgi spotkane pozdrowieniem uczcić, zagony wzorzyste pogonić tęsknotą oczu. Na wzór ojczyzny, zbożem wezbranej—siebie zbudować. Poto przybył!...

„Otoś ty, dla której chcę walczyć—ty, dla której umrę”... Szemrały półświatomie myśli chłopaka, kiedy on sam kipiał niezmożoną wesołością, huczał olśniewającą werwą, skrzący się dźwięcem, upajał winem młodości i wiosny.

W r. 1911 skończył szkołę. W dwa lata potem, jako student górnictwa, przywiózł zdobyty, wykupiony, wyproszony, lecz piękny zbiór minerałów dla użytku szkoły. Całe wakacje porał się z kamieniami. „Żeby chłopcy na jesień mieli gotowe”. Tak, bo szkoła nie jest obcym domem, do którego się kiedyś chodziło, a potem chodzić przestało; jest tą częścią ojczyzny, która nas zbudowała, i którą my budujemy wzamian.

Instynkt obywatela, współtwórcy państwa, cechuje każdy postępek 19-letniego chłopaka.

Wielu z nas przechodziło w okresie walki o prawa polskiej szkoły, ów nieznośny, zmarnowany rok „rosyjskiej matury”. Zdawali ją i chłopcy

Małagowscy, gdzieś w głębi Rosji. Biedzili się, mordowali, ścinali i zdawali na nowo. Skończyli z tem narzecz. Na drugi dzień pisze Stasiak list do kolegów — dla jaknajszerszego rozpowszechnienia. „Można tu zdać bez łapówek, bez kłaniania się i jakichkolwiek protekcji”... Pisze, bo przecież ci obcy, co kiedyś tak jak on biedzić się będą w moskiewskich łapach — to swoi, bliscy i najbliżsi, którym winien jest zawsze i wszędzie, organiczną niejako, koleżeńską wierność.

Świadomość społeczna, dyktowała mu, w kraju, owo, tak rzadkie, a tak narodowo przydatne spojrzenie na samego siebie, jako na cząstkę szeregu. Instykt państwowy kazał mu mimo woli stwarzać naokoło siebie na obczyźnie ośrodek kulturalny, przyciągający swoich i obcych.

1912 r. Przybram w Czechach, akademja górnicza, burszowski, niefrasobliwy nastrój. Do wypitki i do wybitki. Jakże to daleko od filarecko-junackiej paczki kolegów szkolnych! Małagowski tego nie ścierpi. Po roku zgryzot, zniechęcenia lecz ciąglej żartej walki — skupi wokoło siebie najlepsze żywioły i razem stworzą własne kulturalne gromadzkie życie, czytelnię, sporty, rozrywki. Wokoło talentu społecznego Staśka, wokoło samej jego obecności, kształtuje się życie, rozkrzewia, plecie wzrost doskonały. Tak właśnie buduje się społeczeństwo. Drobnymi posunięciami, nikłymi środkami, wiecznie żywą pamięcią o celu.

Kiedyś, na studenckiej uroczystości, tradycyjnego „skoku przez skórę” przyjęty właśnie do korporacji górniczej, Małagowski, przemówił do starszych kolegów, przyrzekając im w imieniu „fuksów” wierność ideałom górniczym, a naprawdę im samym ideały te wskazując: „Iść nam wypadnie w kopalnię Zagłębia, w życie pośród żużli i brył węglowych, wśród mroku podziemi i piekła hutniczych pieców. Tam znaleźć sens i przyszłość, no-

wych budzić ludzi, nowe kadry zbierać. Krok nasz każdy będzie etapem walki, będzie czynem żołnierza jednej wielkiej armji, przez trud ciągły idącej ku przyszłości innej, niż dzień dzisiejszy. Bo nie wie nikt, jak prędko nastać może chwila, co zażąda całej naszej odwagi — i rozwagi”.

Tak. Nie wiedział nikt, że „chwila osobliwa”, czekana, a groźna nasuwała się naprawdę — szybka i nieunikniona.

W społeczeństwie studenckiem uczono się zimą, praktykowano przez lato.

W 1913 r. pisze Małagowski z praktyki górniczej z Uralu. „Sam tu jestem, ale dla niejednego „dom” mój, (pokoik na górze, skąd jak wiadomo pochodzi młodość górna) stał się jego własnym domem. Schodzą się tu wieczorami rozmaici „tubylcy” Są gazety, książki, wieści z Europy: „Cóż tam słyhać na dalekim świecie, Stanisławie Kazimirowiczu”?...

A na dalekim świecie wzbierała już wojna.

Miał lat 21, kiegy nagła wieść wojenna, obiegła świat. Z serca tego żołnierza wydobyła odrazu ton pełny i czysty. Wszystkie niezrozumiałe tęsknoty, niedające się nazwać pragnienia, stały się proste i jasne. Owo ciągle, dręczące dotychczas, „czegoś mi brak”, odrazu przestało istnieć.

„Siły ludzkiej niema, coby mnie powstrzymała!” pisze do domu. Nazajutrz górnik zwija manatki i przeistacza się w żołnierza. Bez grosza w kieszeni jedzie na głodno Kamą i Wołgą, aby na ochotnika zaciągnąć się do saperów armji rosyjskiej. W Moskwie, gdy z przyjęciem do wojska zwlekano, zarobkuje jako motorniczy tramwajowy, ale już nie zagłada nawet do Warszawy. Pcha się lokciami się pcha ku tym polom bojowym, na których (zdawało się wtedy), krótki, potężny rapsod wojenny się rozegra. Listy jego z drogi tętnią, musują, skrzą się i szaleją.

Nieomylny instykt polskości, wspinała rasa rycerska wskazuje odrazu mu drogę niechybnie prostą. Młodość, chwilę każdą bawi radością, krok czyni rzeźkim, słowo figlarnem.

„Orientacja, powiadacie?—Zawsze dla mnie od urodzenia jedna: bić złodziejów Europy, bandytów świata i, że tak powiem, typowych psi synów. Secundo: nie ufać nikomu, prócz sobie samym. Tertio: Idjocie tylko perswadować można, aby z godnością neutralnie czekał na swoją kolej, kiedy w jego oczach braci i siostry pierze kułak policjanta. Dla mnie jest już dzisiaj wszystko całkiem jasne: fizjognomję historii maluje się własną krwią i potem (od słowa „pot”, ho, na Boga, nie potym, ale teraz lub nigdy!)

Wierzę, że wypadki będą nietylko bardzo ważne, ale i bardzo pomyślne. A dla nas nietylko Niemcy są wrogami, ale wszyscy podlecą. Teraz rzecz oczywista, że gdziekolwiek będę, nikomu duszy nie zaprzędam, nie dam się związać bardziej, niż sam zechcę. Bo w istocie, wszyscy wstępujemy do tej armji, której niema.

Ale, ale, byłbym zapomniał! Projektuję żeby który z naszej paczki został prezydentem Zjednoczonych Stanów Wschodniej Europy. Liczę, że stać się to może, nim się pożeniemy.

Tymczasem zaś: jestem krepki, tęgi, zdolny i rad ze siebie; zdrowie i humor—końskie. Przysyłajcie więc bieliznę, co najmocniejszą i nie wspominajcie krzywo!”

Nareszcie zaliczono go do saperów. Osadzono w kazarmach Smoleńskich. Trzy miesiące nie ruszał bataljon na front, trzy miesiące twardej szkoły żołdackiej przyszły jako pierwsza wojny nauka.

A potem już ta nauka szła nieprzerwanie po wszystkich frontach.

Wolontariusz Małagowski kierował reflektorami 9-go bataljonu saperów pod Dynaburgiem. Jego to reflektory wyjeżdżały w czas najciemniejszych nocy, by jaskrawym błyskiem wry-

wać z ciemni huczającej kontury tyśiącznych mas, sunących do ataku: „Robota od 6-ej wieczór do 6-ej rano—donosi do domu.—Noce mgliste, strzelanina apatyczna. Śmierci co-prawda ani trochę się nie lękam i błogosławię stan górniczy, żem się na dole w istocie od tego głupiego przesądu odzwyczaił. A do niewoli wziąć się nie dam. Więc też dnie spędzam śpiąc na koniu i lekko-myślnie niebacząc na wszelkie „memento”. Zyję równie bez troski, jak i bez sensu”.

Tak, sokołe. Bez troski, ale i bez sensu. Skończyła się radość pierwszych dni niewiedzy. W pełnym ogniu męki polskiej dojrzewać poczniesz. Dusi mundur obcy, pali obca piosenka, gnębi rozkaz obcy, co do krwi twojej własne prawo rości.

Niema bo tej armji, do której wstąpiłeś...

Nazewnątrz jednak wiodło się wszystko dobrze i już wtedy bodaj budować się począł mit o nietykalności młodego żołnierza.

Po półtorarocznej służbie linjowej, dopiero w marcu 1916 r., idzie do wyższej szkoły wojskowo-inżynieryjnej w Kijowie, przetrzymawszy zaiste wyjątkowo trudne warunki jej konkursu. Znalazłszy się w gronie niemal bez wyjątku ludzi z wyższym wykształceniem, kończy szkołę jako ósmy z rzędu na z górą stu kończących równocześnie. „Budzi się we mnie oficerska żyłka (pisze wtedy) i teraz już coś więcej niż koniec własnego nosa z za roboty widzę. Ej, jeszcze się przyda!”

Po skończeniu szkoły wraca odrazu na linję — w góry Beskidu wschodniego. Tam go zastaje rewolucja rosyjska. Kiedy jeszcze pierwsze jej, niepewne wieści przyszły na linję bojową, a cały skład oficerski przycichł i zmieszal się, podporucznik Małagowski przed frontem swej kompanji wznosi okrzyk na cześć przewrotu i dalszej walki do zwycięskiego końca.

Ale już po kilku tygodniach przekonał się, że owa rewolucja jest nader podłego gatunku, toteż jak sam pisze: któregoś dnia kwietniowego nawymyślałem kacapom w Karpatach, powiedziałem, że się w ich rewolucję nie bawię, bo jest kiepska i nie dla mnie i wyklety zewsząd, bez żadnych dokumentów zjawilem się pod Husiatyn, do kompanji inżynierskiej, jedynej wówczas Polskiej dywizji strzelców. Przyjęto mnie tu na słowo i tak oto rozpocząłem prawdziwą pracę wojskową.

W kilka dni potem wyruszyła kompanja na pozycję pod Berezynę. Warunki były fatalne, rozprężenie ogólne udzielało się młodziutkim polskim oddziałom. One to jednak murem stanęły później na Zbruczu, osłaniając załamanie się nieudanej czerwcowej ofensywy Kiereńskiego. Co sil w nogach zmykały rosyjskie hordy. Nareszcie już rozkazy cofnęły szeregi polskiej dywizji, odeszła już nawet bratnia inżynieryjna kompanja. Przez wielki most na Zbruczu dzień cały pod granatami waliło wojsko. W ostatniej chwili most trzeba wysadzić. Już pusto. Kule gwizdzą. Przy moście wciąż czeka podporucznik Małagowski i podoficer Pająk. Ma bowiem wrócić jeszcze angielski samochód pancerny.

Samochód przejechał, most wyleciał w powietrze. Tak to polak z angikiem osłaniali tyły cofającej się armji rewolucyjnej.

Dywizja polska wycofana została wkrótce na formowanie I polskiego korpusu. Nadszedł okres ciężkiej pracy przygotowawczej — a zarazem złe czasy zmagania z rozkładem rosyjskim.

W październiku wchodzi Małagowski w skład delegacji oficerów i żołnierzy I-go korpusu, której polecono objechać front południowo-wschodni dla wydzielenia zeń polaków. Małagowski pracuje z całego serca. Użera się z moskalami, którzy nie chcą oddawać ze swych pułków najlepszych

ludzi, przekonywa opornych polaków. Tu już po raz ostatni — więc z humorem — obserwuje sławetny bizantyjski ład czerwonej armji. „Jakże oni nam zazdroszczą, pisze w notatniku, że formujemy wojsko, w którym nie będzie komitetów”.

Nad Styrem i Stochodem znajdują się ślady walk i postoju I-ej brygady Piłsudskiego. Kilka dni spędza na odszukiwaniu pamiątek, robieniu zdjęć z „Legjonowa”, słuchaniu opowieści świadków. „Tak, oni szczęśliwi, mają Wodza! (pisze potem). Niechby uwierzyć zechcieli, Ci najdzielniejsi z dzielnych, że nam ta sama idea przyświeca — i niech Bóg ochrania nas od nieszczęścia walki z nimi”.

Po skończeniu roboty delegacja wraca do Mohylewzczyzny.

Nareszcie zwolna staje I-szy korpus. Małagowski do lutego 1918 r. kwaterował w Starym Bychowie nad Dnieprem, gdzie stał się duszą I-szej dywizji I-go korpusu. To też, gdy związał się „Związek broni” — organizacja tajna wojskowa mająca na celu wlanie w formujące się szeregi ducha patriotyzmu — podporucznik Małagowski zostaje komendantem organizacyjnym na I-szą dywizję.

W lutym, wobec groźnej postawy bolszewików, począł korpus gotować się do wojny. Małagowskiemu poleceno sformowanie oddziału konnych saperów w Krasnym Brzegu. „Wkrótce nadszedł wir wypadków — pisze później do brata — który wciągnął nas w odmet jedyny w swoim rodzaju. Sporo już wojny widziałem ale tak paskudną, jedną chyba tylko można w życiu widzieć. Byliśmy garstką, broniliśmy naszej sprawy, jak straconej placówki. Pierścień bolszewicki zacieśniał się z dniem każdym, chłopstwo czyhało, aby się rzucić i „dokończyć”.

A żołnierz I-go korpusu, nie był jeszcze ów świetny żołnierz, któremu w maju 1918 r. kazano kapitulować. Była to zbieranina wszelaka. Piechota wcale nie chciała się bić.

Podporucznik Małagowski jako saper przyłącza się na ochotnika do akcji na Żłobin, którą prowadzi „kochany pułkownik”, obecnie generał Zeligowski.

Żłobin wzięty z trzech stron przez nasze wojska, broni się zaciekle z czwartej, osłoniętej budynkami stacji towarowej. Z wieży wodociągowej sypie sześć kulomiotów. Siedemnastu ochotników, wśród nich ppor. Małagowski, robią wypad pod samą wieżę. Tam przeciw nim wysuwa się kompanja bolszewicka. Co-fają się tedy aż na wał kolejowy i z za niego się ostrzeliwiają. Atak bolszewicki nasuwa się. Nasz jedyny kulomiot, ustawiony na wale, milknie — kierujący nim porucznik Masłowski, pada, trafiony w czoło. Oto już rosyjska atakująca czerń pod wałem. Na czele biegnie dowódca — ogromny drab w kosmatej czapce.

Podporucznik Małagowski kładzie go celnym strzałem na dystans 60-ciu kroków i rzuca się z wału na bagnety. Za nim jeden saper i dwóch podchorążych. Moment dobrze chwycony. Staje atak. Chwieje się. Bolszewicy rzucają się do ucieczki.

Odtąd idzie dzień za dniem walk ciężkich pelen. Siły nasze topnieją, dezercja rośnie. Lepiej jest jeszcze, gdzie legja oficerska, albo kawalerja się potyka. Piechota nie strzymuje jednak. Takie też to i walki. Samotrzeć Samoczwart...

W jednej to z nich ów Pająk, tawarzysz wierny, gdy coś mu się nie złożyło z wysadzeniem toru, wpada pędem do budki dróżnika, gołą ręką chwyta z pieca gorejącą głownię i niesie ją z powrotem. Ręka mu się żywcem pali (miesiąc był potem w szpitalu), wachlarz kul z karabinów maszynowych wrogiego pociągu chodzi koło Pajaka, on przecie z flegmą przykłada ogień i wysadza tor, tuż niemal przed samą już lokomotywą, błyskawicznie rzucając się ku swoim.

„Tak dłużej być nie może” decyduje podporucznik Małagowski, „wygniotą nas temi pociągami jak myszy”.

Na sposób — sposób. Bierze zwykłe platformy, mości na nich spiętrzony wał saperskich worów, piaskiem napchanych, stawia karabiny maszynowe, armaty, dobiera ludzi.

Tak zaczął swą karierę pancerną.

Pociąg nazywa się, jak opiewa szylid „Związek Broni”. Pożal się Boże, co to była za pancerka! Gdy ją zaczynali ostrzeliwać bolszewicy, załoga wyskakiwała i ostrzeliwała się z rowów. A mimo to „Związek Broni” walczył, grzmiał, ze swojej trzycalówki i trzymał — zaiste on tylko — i ochotniczy szwadronik Goltz'a — cały front od Tieluszy po Krasny Brzeg. W pociągu skompletował podporucznik Małagowski 30 koni. Każdy z załogi na pancerce miał swoje funkcje, w polu zaś stawał się „konnym saperem”. Konie były wożone w wagonach towarowych wraz z pancerką, co umożliwiała w każdej chwili wywagonowanie lotnego oddziału saperskiego, opatrzonego odpowiednio w materiały techniczne.

W drugiej połowie lutego szala wygranej przechyliła się na polską stronę. Bohatersko a podstępnie opanowaliśmy Mińsk i Bobrujsk. Tam zwolna koncentrowały się rozproszone oddziały, tam magazynował się pieńiądz, broń i wszelkie dobro wojenne. A że równocześnie żelazna nawała niemiecka, przerwawszy front pod Mołodecznem, ruszyła na Mińszczyznę, więc brać bolszewicka tem szybciej uchodzić poczęła, konno i piechotą nawet, jeśli pociągów brakło. Skończyliśmy z jednym wrogiem. Miejsce jego zajął drugi, groźniejszy. Korpus poszedł na układy. Innego wyjścia narazie nie było. Ale z czem się trochę stosunki wzajemne wygładziły i do opanowania doszło — co pocziwsza dusza, to warknęła w żołnierzu.

„Pancerka” stała właśnie w Bobrujsku. Niespodzianie stację zajęli

Niemcy. Noc ciemna. Podoficer Kępa wraca z urlopu. Niemiecki wartownik pyta „werda?”. Kępa się wzburzył, Niemca w łapach zgniótł, karabin mu potrzaskał o peron. Budzą podporucznika, meldują, że Niemiec zemłodł i krwią broczy, że go do szpitala powieźli. Tak się dopiero dowódca o przyjsciu Niemców dowiedział. Narzucił płaszcz na bieliznę, wybiegł na mróz z harapem w ręku. A tu aż rojno od Niemców. On do pierwszego: „Czemu honorów nie oddajesz, psi synu?” i harapem przez łeb. I tak dalej, dalej, obil z dziesięciu. Warczeli, ale się usiwali, bo szło za komendantem dwu żołnierzy z bagnietami, a wiara na pancerce już się uszykowała.

Mijały tygodnie. Nie było co robić w Bobrujsku. Walki ustały. Bolszewików nie było, Niemców ruszać nie było wolno. Projekt utworzenia legjonu dla wycofania się na wschód—upadł. Organizacja „Związku Broni” zdecydowała trzymać ludzi swych w miejscu i gotować do walki z Niemcami, która prędzej czy później musiała nadejść.

Małagowski rwał się i męczył. Czuł dziwny „świerzb”, wprost fizyczny, gdy patrzył na panoszący się niemiecki mundur. Właśnie w tym czasie przyszła wieść, że Haller front przekroczył pod Rarańczą.

Chciał tedy pociąg wysadzić w powietrze i do Hallera ruszać. Trzeba było wstrzymać go formalnym zakazem. Wraca tedy do rodzzonej 1-szej dywizji, do Rohaczewa. Trzeba przejeżdżać przez punkt węzłowy Złobin. Opowiadał potem nieraz polski komendant stacji, jaką alterację wzbudziła przejeżdżająca pancierka pośród niemieckich oficerów.

Es ist etwas fantastisches durchgefahren! Gance mobile Festung! So was hab ich nie gesehen! Was ist den das?” Dopytywali się Niemcy. Zaden z nich bowiem nie podejrzewał, że „to co przejechało”, te platformy, na których piętrzyły się bezładne

stosy worów saperskich, jest to groźny obrońca Tieluszy i Krasnego Brzegu, pogromca wojsk bolszewickich.

Przejechała to bowiem—polska fantazja bojowa.

Teraz znowu idą znojne dni pracy organizacyjnej, pośpiesznej, gorączkowej. Małagowskiemu zwolna odbierają Niemcy jego pociąg umiłowany. Zastrzeżoną bowiem mieli swobodną eksploatację toru, a pancierka zbyt przeszkadza na linii. Władze korpusu sprzeciwiać się nie chcą, lub nie umieją. Zostaje odebrana wpród jedna lokomotywa, potem druga i ostatnia. Wtedy zabierają i cały pociąg.

Do tego czasu jednak uszykować zdążył już osierocony podporucznik swój oddziałek konnych saperów. Wszystko jednak co wychodzi poza rutynę, choćby było najpotrzebniejsze, jest niewygodne. Nie było dotychczas konnych saperów w korpusie, więc ci zostają najbrutalniej rozformowani i zaliczeni do 2-go pułku ułanów, gdzie Małagowski zostaje przyjęty jako oficer nadetatowy bez żołdu.

„Póki były walki, nie wiedzieli, gdzie umie sadzać”, uśmiechał się gorzko. „Pójdę do legji, czy co?” Ale nie poszedł. Bo związał się z żołnierzami swemi więzami zażyłości bojowej mocniejszej ponad wszystko. Jedyny bowiem i niemal niespotykany był stosunek tego oficera do podkomendnych. Małagowski, surowy niebywale dla siebie, dzień każdy pod pręgierz sumienia stawiający — pisze kiedyś do przyjaciela: „Przeżyłem teraz dobry okres. Czyste serce czuję w sobie i wiem już napewno, że, nigdy nie opuszczą mnie trzy najlepsze na świecie rzeczy: Bóg, ziemia i prosty człowiek”.

To też nie istniał dlań problemat „demokratyczności”. Nie przychodziło mu wogóle na myśl, żeby miał być kimś lepszym od swych żołnierzy i żeby wobec tego zastanawiać się potrzebował nad swoim do nich stosunkiem. Nie wyznawał żadnych demokratycznych zasad, pogardał po-

pularnością. Szedł tylko poprostu za głosem instynktu braterstwa. Nie „starał się”—był bratem naprawdę. Nic to, że posiadał wyższą kulturę, wykształcenie, życiowe aspiracje. Te wartości nie stanowiły dlań bynajmniej miary człowieka. Oceniał i wyróżniał ludzi dopiero zobaczywszy ich twarz w twarz z istotnie ważnymi prawdami. Z potem pracy.

Ze krwią ran. On i jego ludzie przeżyli wspólnie walki, posiadli razem zaufanie Ojczyzny, gryźli te same troski, uctowali razem przy niejednym zwycięstwie. On brał za nich decyzję, oni ryzykowali jej spełnienie. Szerokie piersi ojczystych zagonów tuliły ich sen zmęczony, oddech dobrotliwy Boga kołił spazm trwogi, wzbierający pod huraganem ognia i pozwał mu zamieniać się w okrzyk bohaterstwa. Razem. Zawsze razem. Wtedy dopiero dzielili się dla Małagowskiego towarzysze broni na „swoich ludzi” i na „hołotę”. Wobec tej ostatniej był zaciekłym, zakamieniałym arystokratą. Tak to butnie i po pańsku nosił się był zwykle w wojsku rosyjskim, zarówno wobec kolegów, jak także i przedewszystkiem, wobec zwierzchników. We własnej jednak arniji dobrał sobie wyłącznie „swoich” i wobec nich był już bez zastrzeżeń — bratem. Pomimo to, a może właśnie dlatego, dyscyplinę utrzymał żelazną. Szeregowiec bobrujskiego oddziału konnych saperów w czasie kiedy formy organizacyjne były tam jeszcze nader płynne, zwracał się do dowódcy „druhu poruczniku”, rozkazy zaś — żelazne i, jakie nieraz trudne — sły-szał w formie „druhu żołnierzu”. Ale wpatrzony wiernie w stalowe oczy komendanta, nie znał ani jednego zbytecznego drgnienia powiek, ani jednej chwili wahania, ani jednego ospałego ruchu. Zato, pamiętam, w maju, w dzień imieniny siostry porucznika, saperzy niezdarnie a tkliwie szykowali powinszowania i rozmaite kwiatki, bo przecież święto w rodzi-

nie komendanta było ich najmilszem świętem. Kiedy wypadł kilkudniowy odpoczynek oddziału w mieście, porucznik krzątał się, kłopotał, żeby wieczorami zapewnić swoim chłopcom kilkadziesiąt bezpłatnych miejsc w teatrach; skupywał im książki, prenumerował gazety. Toteż urobił sobie ich tak, że wszelkie porozumienie wzajemne odbywało się poprostu bez wyjaśnień, niemal magicznie.

Pamiętam, kiedy do korpusu wschodniego przyjechał pierwszy Piłsudczyk z kraju, przysłany z Ukrainy przez Lisa i Bartę, jak przywitali go saperzy Małagowskiego. Było to jeszcze wtedy, gdy mu nie odebrano pociągu. Przysłał po nas lokomotywę z wagonem pierwszej klasy. Na stacji w Bychowie czekał nas uszykowany oddział. Porucznik Korkozowicz-Karłowicz był, naturalnie, ubrany po cywilnemu. Mimo to dwuszereg sprężył się na komendę Małagowskiego i salutował cennego gościa. „Macie przed sobą oficera Komendanta Piłsudskiego. Niech żyje”. Wzniósł okrzyk dowódca „pancerki”.

„Niech żyje!” odegrzmieli towarzysze broni. Potem siedliśmy do przygotowanego powozu i pojechaliśmy na wspólną ucztę. Był to bowiem dzień 19-go marca, Imieniny Komendanta... Tak z tętentem i szumem przez stary Bychów eskortowali wysłannika P. O. W., który przekradł się do korpusu.

A na uczcie po bokach umajonego pustego fotelu (dla Komendanta) zasiedli dwaj solenizanci realni: Józef Wilk, wachmistrz srogi i ponury i Józef Ocipka, ordynans dowódcy. Dalej goście i sam dowódca i reszta żołnierzy.

Starką i krupnikiem piliśmy zdrowiej Komendanta i Wilka i Ocipki i por. Korkozowicza, dowódcy i wszystkich kolejno, aż huczały ściany domostwa i rozpromieniły się serca żołnierskie wielką ochotą.

Wkoło byli Niemcy...

Aż gdy przyszła owa noc 21-go maja, porucznik Małagowski zładował wóz z pyroksyliną, który u bram Słuckiej postawił, sformował oddział swych ludzi (mało ich miał, cały bowiem pluton wysłany już był do 2-go pułku ułanów), uzbroił ich w ręczne granaty niemieckie, (model 1918 — jego chłopcy skradli ich Niemcom trzy skrzynie) i miał uderzyć, łącznie z oddziałem Lisa na dworzec; tam zorganizować dwie „pancerki”, jedną pchnąć na Złobin, drugą na Osipowicze, niemieckie załogi po stacyjkach wydusić i we wskazanych punktach, powysadzać tor.

Wiemy, że plany te spelzły na niczem.

Pamiętam twarz porucznika tego szarego poranka. Jakiś bolesny skurcz ust, zmarszczka przez czoło i matowy, chłodny wyraz oczu. „Cóż stary, nie będziemy już Niemców bili?” pyta swego maszynistę, starego żołnierza. „Nie będziemy, panie poruczniku”, mówił wiarus i lży mu ciurkiem płyną po milczącej twarzy.

Ech, Boże!... zawział się tedy do ostatniego. Do Warszawy, do ojczystej Warszawy wyjeżdżały eszelony wojsk tłumnie i gwarnie. Tęsknił do swoich ogromnie. Ale nie pojechał. Z żołnierzami się pożegnał, trzech jeno zatrzymał: Pawłowski — hallerczyk obecnie, komendant konnych wywiadowców, Szymanowski — poznańczyk, w drodze na Murman rozstrzelany, Dreczkowski — poznańczyk, zaginiony bez wieści.

Z tymi, na rozkaz komendy P. O. W. organizuje wyjazd na Murman. Najprzód w Bobrujsku, potem obejmuje punkt etapowy P. O. W. w Homlu. Tak zpośród morza hańby i demoralizacji własnej, z pośród obcej przemocy, wybierał co godniejszych i znowu prostował ich ścieżki, w szeregi ojczyzny zaciągając.

Wreszcie przepłynął wyjeżdżających się kończy. Małagowski zwija komendaturę, zabiera ze sobą Dreczkowskiego (Pawłowski i Szymanow-

ski już przedtem partje poprowadzili) sprzedaje rzeczy, zalutowuje rewolwer w podwójne dno podróznego imbryka i jedzie do Kijowa zdać sprawę z czynności i ruszać na Murman. Przez okazję wysyła do ojca i brata słów kilka: „Ze ściśniętem sercem powzięłem decyzję, aby teraz do Warszawy nie jechać. Ale mam głębokie przekonanie, że pracujemy naprawdę u podstaw i robimy rzecz dużą. Wiem też, że po przeżytej bobrujskiej hańbie, tylko przy takiej pracy odnajdę całego siebie. Zresztą, czemuż lepiej mogę pomódz wam tam w Warszawie, jak przykładając ręki do gruntownej poprawy warunków życia”.

Ale wtedy właśnie sytuacja się zmieniła. Gen. Haller już był z Murmanu wyjechał, czujność bolszewicka się wzmogła, stało się jasnym, iż akcja murmańska na większą skalę się nie uda. Od gen. Smigłego przychodzi rozkaz, żeby robić robotę na miejscu, Lis — komendant P. O. W. na Ukrainie — powierza Małagowskiemu lotny oddział bojowy.

Pamiętam go w te upalne, lipcowe kijowskie dni... Wokoło było państwo hetmańszczyzny i tryumfującego krzyżactwa. Apogeum sławy i chwwały niemieckiej.

Organizacja nie miała pieniędzy. Była nas garstka mała. S. p. Kuba Basiński, rozstrzelany redaktor „Białego Orła”, coraz smętniej patrzył na swój prawy but, but tradycyjny, który rozlaził mu się coraz oczywiście. Brakło na pożywienie, nie tylko na takie „doczesności” (jak mówił, blade uśniechając się, Kuba).

Małagowski miał pięciu ludzi w swoim oddziale lotnym i prowadził wojnę jak umiał. Ludzie byli zdeterminowani, praca beznadziejna. Codziennie rano, wyjeżdżali tramwajem pełnym Niemców za miasto, aby w pobliskim lasku uczyć się wszelkiej mądrości saperskiej. Każdy miał ze sobą ręczny granat w głębokiej kieszeni, ćwiczone się bowiem w ich

rzucaniu. Lekcje nie pozostały bez rezultatu. Przez lipiec i sierpień nieomylna a złośliwa siła popsuła Niemcom ni mniej, ni więcej, jak osiemnaście mostów. Pamiętam kiedyś rano, przyszedł Małagowski do znajomej cukierki na śniadanie, szary, zmięty i niewyspany. Odrazu rzucił się chciwie do gazet i przeglądał jedną za drugą. „Czego tak szukasz, Stasiu?” spytałem. „Ano, wzmianki o sobie”, odpowiedział całkiem serjo. „Napracował się człek całą noc, znalazł po rowach, ślicznie mostek spsocił, huku narobił i kłopotu, a szwabcy nawet wzmianki w gazetach nie przepuszczają, żeby się Kijów zanadto nie ucieszył”...

Kiedy wysadzili swój pierwszy most, „wache” począł pytać „werda”? „Kirgizowi”, co miał podpalać, gasły zapalki na wietrze. Więc wartownik ku niemu szedł, a ten siedział, kłął i wciąż tarł zapalki. Aż wreszcie zatłił sznur Bikforda i znikł z pod samego Niemca. Most poleciał...

Odtąd już szło jakoś. Raz lepiej; raz gorzej. Straszny był jednak podkład psychiczny tej walki. Beznadziejność i poczucie bezsiły. Zerwane mosty naprawiono w 24 godziny, pociągu nigdy nie można było wysadzać, bo któż mógł zaręczyć czy nie uędzie to właśnie pociąg osobowy; kunsztownie obmyślany zamach na składy niemieckie zawiódł, z dużym bowiem nakładem starych sprowadzony od eserów z Moskwy aparat do podpalenia spalił się pięknie, nie podpaliwszy składów.

Małagowskiemu ciążyła ta niby wojna. Tęsknił do pola i do boju. Ale tęsknił też do chwili odpoczynku u swoich, do paru dni przeżytych dla siebie, do rodziny tyle lat niewidzianej. Złożyło się właśnie, że w końcu października Lis zamierzał posłać go z poleceniem do Warszawy. Ślicznie! Urlopu nie weźmie, a jednak swoich zobaczy. Wszystko przygotowane, formalny niemiecki paszport reemigranta wyrzytowany. Promienna,

dziecinna radość bije od Staśka. Wieczorem w przeddzień rozstania (bo kilku nazajutrz ruszało w rozmaite strony: Halicki do Orła, Ogiński do Krakowa, sam Lis wkrótce pod Brody) zebrali się na ostatnią peowiacką herbatkę. Małagowski właśnie opowiadał, jak to do Warszawy wjeżdża. Wchodzi Lis, twarz skupiona, chłodne źrenice, jak zawsze w momencie decyzji: „Zmiana rozkazu; wobec nowoodebranych wieści z kraju, ob. Małagowski jeszcze dziś wieczorem ruszy do Krakowa, zamelduje się służbowo i natychmiast stanie do dyspozycji komendy głównej”. Tylko tyle.

Lecz zanim zagrzmiało stłumione, sakramentalne „Rozkaz” Małagowskiego zdołałem w jednym błysku oczu pojąć, ile, i jak bardzo zasłużonych, nadziei pożegnał on w tej chwili. Było to jednak głupstwo, wobec ogłuszających nowin, które usłyszeliśmy za chwilę. Zaczęła się nowa era.

W pięć dni potem (pierwsze dni listopada) spotkałem na Florjańskiej doborowy, sprawnie idący oddział naszych, z młodym, prześlicznym i aż nadto jawnie rozpromienionym porucznikiem na czele. Ktoby się tu domyślił obdarłej braci peowiackiej z Kijowskiego bruku!

Małagowskiego przyjęto więc do armji w randze porucznika i poleciono mu formowanie konnych saperów dla Beliny, ale że właśnie szykowała się odsiecz Lwowa, więc tymczasem wprosił się na ochotnika na pociąg pancerny Nr. 2 „Śmiały”, ruszający na czele odsieczy.

Śmiały pracuje przy zdobyciu Przemysła, a gdy w kilka dni potem przy zdobywaniu Lwowa, ciężko zostaje ranny jego komendant, kapitan Hickiewicz — Małagowski obejmuje po nim komendę i stale odtąd dowodzi pociągiem — aż do śmierci.

„Śmiały”, po odbiciu Lwowa, zapuszcza się pod Winniki i ostrzeliwuje to miasteczko, pod Niżanko-

wicami rozbija pancerkę ukraińską, walczy nieustannie przez długie zimowe miesiące, kiedy tor kolejowy Przemyśl-Lwów był niby przesmyk wężki w zbrojnym ukraińskim morzu, przesmyk — arterja życiodajna, broniąca głównie przez pociągi pancerne.

W te długie, jak że długie, miesiące, załoga pełniła ciężką i twardą służbę z dziwną brawurą. Komendant „Śmiałego” wyzyskiwał każdą chwilę, aby wykształcić i podnieść swych ludzi, aby trudne życie żołnierskie uczynić bujniejszym i ożywić. Urządził im własnymi siłami kurs podoficerski i przeprowadził oficjalne mianowanie tych, którzy go przeszli. Potem, pamiętam, na zakończenie kursu, urządził bal. Sam właśnie prowadził mazura, gdy rozkaz przyszedł o 2-ej w nocy wyjazd pod Rawę Ruską. „Śmiały” ma o 2-ej minut 30 zacząć ostrzeliwanie tej wsi i dać znak do ofensywy ogólnej.

Ciche, prędkie, pobiegły hasła i rozkazy. A potem mazur, mazur, do zapamiętania, do upadłego, do... 1-szej minut 55. Potem — znak — pustoszeje sala. Gwizd krótki — odjazd.

I znów innym razem w teatrze, gdzie zaprowadził wszystkich wolnych od służby żołnierzy. W czasie drugiego aktu przybiegł zdyszany dyżurny. Rozkaz — ruszać natychmiast pod Gródek Jagielloński.

I znów ciemną nocą huczały podkute nasze buty po bruku lwowskim, w pustych głuchych jego ulicach, w mroku nocnym.

Walczyliśmy wtedy dwa dni.

Aż gdy przyszły najgroźniejsze czasy w Sądowej Wiszni, czasy odcięcia od świata, kiedy leje od pocisków rozkwitały wokół, a człek nigdzie nie miał ukrycia, zdaćby się mogło, że nastały ostatnie dni „Śmiałego”. Przecież wyszedł cało, chociaż ze stratami.

Na pociągu był potem dwóch Małagowskich (Starszego brata, Kazimierza, po tylu latach niewidzenia

spotkał komendant pancerki nocą w jednej z bitew pod lwowskich i przydział do „Śmiałego” mu wyrobił.) Dwóch najwaleczniejszych, dwóch nierozłącznych, dwóch omijanych przez kule. Bobrujska legenda i tu poczęła się tworzyć.

Wreszcie pchnięto pancerkę na front północno-wschodni, do gen. Śmigłego. Dwa tygodnie stali przedtem w Warszawie. Myszkowali po niej od rana do nocy, żywego ducha, prócz wart, nie zobaczyłeś na pociągu. „Robimy parę”, mówił Małagowski.

W Warszawie zastał ich uroczysty dzień imienin Naczelnego Wodza. Małagowskiemu danem było, tym razem już nie wysłannika-Legionistę, ale samego Komendanta w dniu tym powitać w imieniu pancerki. Spotkałem go jadącego do Belwederu i odprowadziłem. Rozradowana mina, iście Kmicicowa fantazja, choć pozornie cała uciecha z galowego munduru i świeżutkich białych rękawiczek. Ale czasem przelatywały mu przez źrenice takie błyskawice zachwytu, takie ognie entuzjazzmu, że widziałeś jasno: Dziś oto, za tyle lat psiej służby zdaleka — upragnioną bierze radość. Powtarzano mi potem, że podczas oficjalnego powinszowania, gładko ułożona mowa splątała się porucznikowi, a on sam splonął nagle, podniósł oczy prosto na twarz Wodza i niespodzianie rzucił ku niemu przenikliwy, drgający szczęściem, zdławiony szept: „Do ostatniego tchu, Komendancie...”

Wreszcie wyruszył „Śmiały” na białoruskie rozłogi. Szedł pierwszy, wjeżdżał na szyny, po których od szeregu miesięcy nie przeszedł żaden pociąg. Była to wczesna wiosna. To też listy z pola dowódcy „Śmiałego”, pełne są wiosennego upojenia. Rozmach i młodość, wiara i entuzjazzm drga w nich, jak rozgrzane powietrze w wiosennem słońcu. „Żyję sobie, jak ptak boży bujnie i swobodnie z dnia na dzień, ciesząc się, że żyję, i martwiąc się, że żyć przestanę. Bo ja

jestem „Śmiały” i jadę prze życie pociągiem pancernym na całą parę”...

Biorą Baranowicze, tor się kończy. Dalej jest szerokotorowa linja rosyjska. Przymusowa bezczynność chwilowa, Małagowski przyjeżdża do Warszawy.

I nareszcie, nareszcie ma kilka nacię dni wyłącznie dla siebie

Wtedy to za wierną służbę Bóg dał nagrodę: zaręczył się.

Odtąd każdy, kto się do niego zbliżał, był niby przeświecony tem jasnym ogromnym szczęściem, jakie biło od jego żołnierskiej postaci.

„Miłość do kobiety” — mówią urywki pamiętnika — to stan szczęśliwości i przyczyna najlepszych natchnień i czynów”...

Wszystkie myśli młodzieńcze, całe dorobek żołnierski, bujność natury, skryzalizowały się właśnie. Był to już człowiek dorosły. Planował na jesień zakładać dom, żenić się... Tymczasem podążył budować „Śmiały” szerokotorowy — „zeby mieć czem jechać po swoje buty do Bobrujska”, które powiadał, że tam zostawił.

W tej pracy wyręcza go brat architekt, obecnie już sierżant artylerji.

Rozstają się chwilowo. Staś — zostaje na wązkim. Kazio — buduje pod Wilnem „Szeroki”.

Niebawem ten ostatni jest gotów i bierze udział w walkach. Porucznik Małagowski jest teraz dowódcą obydwóch pociągów. Obydwa są w ciągłej służbie.

Wreszcie pierwszego lipca obaj bracia mają wyjechać na urlop.

W Lidzie Staś Małagowski czeka na Kazia. Miast brata przyjeżdża ordynans z meldunkiem z „Szerokiego”.

W ten ostatni dzień, Kazio wyładował z pociągu „minierkę” postawił ją o pół kilometra na torze i ostrzeżliwał bolszewików.

Pocisk rozszarpał mu pierś. Żył jeszcze 4 dni. Skonał na ręku brata w Wilnie, 5-go lipca, 1919 r.

A 25-go lipca, porucznik Małagowski, który miał tyle urlopu, byle pochować najmilszego sercu brata, poprowadził patrol ochotniczy z pociągu na wieś, zajęta przez bolszewików, o wiorstę od pociągu odległą. Był to jeden z tych brawurowych wypadków, które zwykle kończyły się tak pomyślnie.

„Szliliśmy tyraljerą przez pole gryki” — opowiada żołnierz Wysocki, który Go konającego niósł z pola bitwy, „raptem jak uszliliśmy jakie sto pięćdziesiąt kroków, dwie naraz maszynki bolszewickie zaczęły do nas prac. Mały taki dystans — gęsto i celnie bili.

Leżymy tak przy ziemi, a kule wierzchem idą, jak pszczoły. Mieli my też ze sobą maszynkę. To porucznik podniósł się wpół i krzyczy do kulomiotaczy. Mała serja! I wtedy go trafiło.

Zachwiał się i padł i zaczął w tył iść. Uszedł sto kroków i upadł. A tu już i nasi się cofają. Maszynka im się zacięła. Podbiegam do porucznika: „Panie poruczniku, pójdziemy? Wziąłem go pod ramiona, prowadzę. A tu kule wkolo aż turkoczą. Podbiegł drugi żołnierz pomagać, to go w udo trafiło. Więc ja spieszę, co prędzej. Żeby za górkę, żeby tylko za górkę. A u porucznika już mętne oczy. Patrzy niemi po naszych. A wszystko to młodzi — sam prawie rekrut, co niedawno na pociąg przyszedł.

„Co wy robicie, Wysocki”: mówi porucznik, „nie spiescie tak, bo oni karabiny porzucają”.

Doszliliśmy tak za górkę. Złożyłem porucznika na trawie. Ale bolszewicy nasuwają się tuż. „Nie mogę iść dalej”, mówi porucznik, zostawcie mnie tu”. Ale jakieżby ze mnie był żołnierz! Więc niosę dalej. Sierżant Sknużył jeszcze ranny w nogę, o ramię mi się opiera. Jakoś idziemy. Potem inni podbiegli, pomogli.

Wyszliśmy wreszcie na tor, gdzie już bezpiecznie było, złożyliśmy porucznika.

Zakrzętnąłem się, żeby czemkolwiek opatrzeć ranę. Dostał ją w brzuch. Otwór wejściowy był duży — cały palec mi wszedł — i broczył krwłą.

— Cóż — mówi porucznik — „tyle razy udawało się, na ten raz nie zeszło. Na to wojna“.

Poczem zesłał.

Deszczyk letni zaczął padać. Rozwarł komendant oczy. „Dobrze... mówi. Schyliłem się, pytam: „Co, panie poruczniku?“. „Dobrze“, mówi, „świeżo, przyjemnie będzie umierać“. I zaraz potem: powiedzcie narzeczonej, żeby mnie tam nie czekała“.

Przenieśliśmy komendanta do pan-cerki, zebrać kazał żołnierzy, zbliżyć i pytał, czy go kochali. Potem że gnać kazał rodzinę, kolegów, przyjaciół, wymieniał każdego z osobna,

pierścionek z ręki kazał sobie zdjąć i narzeczonej oddać, a potem wyśpowiadał się.

Przywieziono go natychmiast do szpitala w Baranowiczach.

Był wczesny wieczór 25-go lipca.

„Pochowajcie przy Kaziu“ — powiedział jeszcze.

Oto wszystko.

Są w pamiętniku jego słowa: „Najpiękniejszą jest śmierć w pełni sił do życia“.

Ale że byli nad grobem jego ludzie, co żalem nieznośnym darcu, wołali ku poległemu: „Wstań“, nie mogąc ani się pogodzić, ani zrozumieć, ani bez niego pozostać — więc dla nich raz jeszcze:

Choć koniec — nie koniec przecie.

NON OMNIS MORIAR.

M. Wańkowicz i S. K. M.

W podziemnej krainie.

Nakładem Instytutu Wydawniczego Inwalidów Wojennych i b. Wojskowych w Warszawie ukazała się nowa książka F. A. Ossendowskiego „Zbuntowane i zwyciężone“, powieść fantastyczna. Fragment poniższy najlepiej ją zaleci. Red.

(Trzej podróżnicy — kapitan Stenersen, uczoney Reinert i dziennikarz Karlson — wylądowali na jednej z wysp w okolicach bieguna południowego, i poszukują śladów zaginionych kobiet — sufrazystek, zesłanych przez sąd międzynarodowy na lody polarne. I oto...)

...To, co ujrzeli, wydało im się snem i majaczeniem. Przecierali więc oczy, spoglądali na siebie, i znów z niedowierzaniem i prawie zabobon-

nym strachem patrzyli na to dziwowisko.

Bo pomiędzy płytami lodu leżała żywa istota.

Była podobna do człowieka i miała na sobie grubą, przypominającą sukno, tkaninę. Zdawało się podróżnikom, że widzą przed sobą potwornego starego karła z bajki.

Ogromna głowa, pokryta rzadkimi siwymi włosami, głowa bez oczu, z czołem, jakby zwisającym nad drob-

na, pomarszczoną twarzą, z trudem, zda się, trzymała się na cienkiej, przezroczystej szyi. Cienkie ręce były również przezroczyste, tak, że można było dokładnie rozróżnić kości.

Więc zdawało się, że to jakaś lodowa półroślina, półwierze, stworzone przez kaprys natury, przybrało na się zewnętrzne formy człowieka.

Na jednej nodze, silnie przytwierdzona do obuwia, błyszczała metalowa skrzynka z rzędem obracających się kółek, na drugiej zaś pozostały tylko strzępy porwanych rzemieni. Ze skrzynki wydobywał się jeszcze dymek, i słychać było cichutkie wybuchy.

Zrozumieli tedy, że jeden z tych motorów wyrwał się z pod nogi niezwykłej istoty i umknął sam, pozostawiając na śniegu ślad, który ich tutaj przyprowadził.

Bezoczna istota była żywa. Oddychała powoli, chwilami głęboko, jak ginąca ryba, rozszerzając bezzębne usta, i nawet usiłowała powstać.

Podróżnicy, nie rozumiejąc, spoglądali na ten dziwotwór, i nagle uczyli, że ta wstrętna, bezoczna głowa przecież na nich z wytężeniem patrzy. Wyczuwali sobą ciężki, kołący wzrok, lecz na tej straszliwej twarzy nie zauważyli jednak niczego, oprócz ciemnych plam tuż pod olbrzymiem czołem.

Dziwotwór poruszył nagle ręką i przyłożył ją do głowy, zwracając ją ku góróm. Następnie machnął ręką w stronę południa, i znowu próbował wstać.

Zbliżył się doń profesor i pomógł mu podnieść się, lecz skoro tylko od niego odstąpił, karzeł zachwiał się i opadł bezsilnie na śnieg, a na jego pomarszczonej twarzy pojawił się wyraz niecierpliwości i bólu.

— Zaniesiemy go tam.. — zaproponował cichym głosem Karlsen i wskazał ruchem głowy pobliskie góry.

— Zaraz, odpowiedział Reinert — Muszę jednak zanotować to wszystko w mej księdze. Jeżeli zginiemy, jak te nieszczęśliwe, niechże choć inni rozwiążą tajemnicę tej dziwnej istoty.

Kiedy profesor ukończył swe notatki, dziennikarz i Stenersen ostrożnie podnieśli karła, i ułożywszy go na jednym z wziętych pledów, ponieśli.

Karzeł milczał, lecz, kiedy podróżnicy zatrzymywali się, niecierpliwie machał rękami i wskazywał na wschód południowy, gdzie łańcuch górski świecił wąskim a krętym korytarzem.

— On nas prowadzi! — szepnął Stenersen — On widzi! — Coś królewskiebyło w ruchach karła, i zmęczeniu długim i szybkim marszem podróżnicy znowu szli naprzód w stronę korytarza.

W głębi korytarza stała okrągła, niewysoka baszta; na jej widok twarz karła ożywiła się — zamachał znów rękami i poruszył ustami, jakgdyby chciał powiedzieć coś ważnego.

Baszta również wydawała się majakiem. Na południowej jej stronie były drzwi, które jednak otworzyć mógł tylko karzeł, znający tajemnicę zamków. Wewnątrz była winda z jasno oświetloną kabiną.

Bardzo grube szyby, pokryte dziwnym dla Europejczyka rysunkiem z łamanych linii, tworzyły ściany tej kabiny.

Lamp tu nie było, lecz świeciły się wszystkie przedmioty i sączyły wkoło jasne, a łagodne światło. Miękkie meble, dziwne swą formą, nadające się raczej do leżenia, niż do siedzenia, pokryte były cienką, jedwabistą materją błękitnawego koloru; takiż dywan, miękki i gruby, pokrywał całą podłogę.

Karła złożono na kanapie, a on natychniast skinieniem ręki poprosił, by weszli, i coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jego twarzy.

Keinert zawachał się wtedy i z trwożą spojrział na Stenersena.

Karsen niepokoił się również i nie zdejmował oczu z twarzy kapitana, a kiedy ten stanowczym krokiem wszedł do kabiny, szczęśliwy uśmiech rozświetlił twarz dziennikarza; obejrzał się na Reinerta i wszedł również do kabiny.

Stary uczoney zaś wydobyl swą księgę, pisał coś dlugo, wreszcie zostawil ją na śniegu i spokojny już i opanowany wszedł za towarzyszymi.

Kiedy drzwi za nim się zatrzasnęły, kabina zadrżała, i coraz zwiększając szybkość, sunęła gdzieś w głab ziemi.

Profesor i Stenersen milczeli, Karlsen zaś podszedł do karła i starał się rozpocząć z nim rozmowę. Lecz dziwotwór kiwał tylko głową i bezdzwicznie poruszał ustami.

Gdy kabina zatrzymała się, karzeł, najwidoczniej tracący ostatek sił, ukazał głową na błyszczącą rękojeść, umieszczoną ponad kanapą.

Stojący najbliżej Stenersen obrócił rękojeść, i w teje chwili uslyszano zgrzytanie zelaza i czyjes ciężkie kroki po metalowym pomoście. Drzwi kabiny szybko się otworzyły, i z mroku błysnęły zielonemi ogniami wielkie, nieruchome oczy.

Podróznicy odstąpili w przerażeniu chwytając za rewolwery, karzeł zaś wyciągnął rękę i zakreślił nią szeroki krąg. Oczy natychmiast pociemniały, i potwór, ciężko stąpając, wszedł za próg kabiny.

Stenersen i Reinert stali bez ruchu, i tylko Karlsen, opanowawszy się prędeej, niż towarzysze, z ciekawością przyglądał się potworowi.

Cóż on mi przypomina? — myślał dziennikarz i starał się wskrzesić w pamięci dawno zapomniany obraz. I nagle wspomnił.

To było dawno. Towarzyszył wtedy bogatemu półwarzatowi w podróży naokoło świata w charakterze człowieka, władającego kilkoma językami.

Błądzili kiedyś na jednej z wysp Malajskich, i tam on to widział! Na mieliźnie leżał topielec — malajczyk, poszukiwacz pereł, a nad jego brzozywym ciałem podniósł się na grubych, jak nie drzewne, mackach, ogromny ośmionóg.

Objął już człowieka i powoli ciągnął w głębinę. Zjawienie się ludzi

doprowadziło go do szaleństwa. Ośmionóg jakby zamarł w natężeniu swych potwornych ramion, a w górze, nad niewielkim, mięsistym ciałem, złym, fosforycznym ogniem zapłonęły oczy.

Taki też był, posłuszny rozkazom karła, potwór. Zdawało się, że ciało jego, a szczególnie kończyny, splecione są z najsilniejszych powrozów; mięskuly poruszały się zwolna, naprężając się i grubiejąc pod gładką skórą.

Piers potężnej szerokości i brzuch leżały na czterech mocarnych podstawach, zakończonych dlugimi i ruchliwemi palcami.

Na tej masie mięskulów straszliwego zwierzka zaledwie widoczną była prawie śmieszna głowa. Płaska, z jakby ściętym, ostro podanym wstecz czołem i prostym tyłem, przechodzącym w silną szyję, głowa ta nie była większą od pięści mężczyzny, i gdyby nie błyskające często oczy, można było tej głowy nie zauważyć.

Potwór, ciężko stąpając, podszedł, i podniósłszy się na tylne nogi, przedniemi ujął karła, podniósł go i wyniósł z kabiny.

I znowu w ciemności błysnęły zielone oczy, i nowy potwór, cięższy i groźniejszy, ostrożnie podniósł profesora i poniósł go w niewiadomy mrok.

Dwa inne podniosły Stenersena i Karlseua, i kołysząc się miarowo, szły wolno za pierwszemi.

W pierwszej chwili wszyscy trzej czuli się źle. Było przecieź rzeczą jasną, że niewielki wysilek tych potężnych rąk może połamać i zgnieść ciało i kości ludzi. Lecz potwory szły ostrożnie i ostrożnie niosły swój ciężar.

Uspokoiwszy się przeto, Karlsen pochylił się do maleńkiego ucha potwora i zaczął wymawiać różne słowa.

Zwierz mrucał cicho, lecz w tych głuchych i chrypiących dźwiękach można było rozróżnić kolejność rozlicznych zgłosek.

— Ha! To ja się może z temi zwierzątkami rozmówię! — wesoło zawołał Karlsen i dobrodusznie poklepał potwora po plecach.

Na końcu długiego i ciemnego tunelu znajdowały się potężne drzwi, a za nimi rozpoczynała się obszerna równina. Nie było widać jej krańców. Rozciągała się daleko, zlewając się z horyzontem, — i tylko gdzieniegdzie

miał. Na brzegach tej dziwnej rzeki, po jednej i po drugiej stronie, rosły wspaniałe lasy.

Profesor pragnął, oczywiście, podejść bliżej i przypatrzeć się rosnącemu tu, pod południowym morzem polarnym, okazom roślin i drzew, lecz w tejże chwili bezszelestnie podjechał długi, błyszczący wóz, z oknami z grubego, masywnego szkła.



stały cienkie kolumny, gubiące się w górze pod sklepieniem, niewidocznym w falach płynącego zewsząd fioletowego światła.

Gdzieś blisko z szumem i pluskiem płynęła bystra rzeka; kiedy podróżnicy zbliżyli się do jej brzegu, owiał ich nagły żar. Woda była gorąca, a nawet chwilami kipiała.

— Oto i wyjaśnienie prądu z południa na północ — zawołał zdumiony profesor.

Nieco dalej rzeka wpadała do szerokiego kanału i znikwała pod zie-

Potwory otworzyły drzwi i wniosły do wnętrza karła. Za nim, posłusznie jego gestom, weszli i usadowili się na wygodnych siedzeniach Reinert, Stenersen i ostatecznie rozweselony, w doskonałym humorze dziennikarz.

— I tutaj istnieją nawet taksometry! — zażartował zaraz.

Wóz szybko pomknął naprzód. W oknach migwały lasy, oświetlone miłym, fioletowym światłem, z głębokimi cieniami, leżącymi pod rozłożystymi szczytami drzew i pomiędzy ich grubymi pniami.

— Zdaje mi się, że są to Sigilary z ich miotłami na szczytach, i przypominające nasze zwykłe plauny, pradawne kalamity. Jeśli tak, to sądzę, że w tych lasach przechowały się jeszcze olbrzymy zwierzęcego świata. — Szybki bieg wozu nie pozwalał jednak na szczegółowe badanie okolicy.

Kiedy zaś ruch ustał, karzeł, z trudem się poruszając, podszedł do każdego z podróżników i podał im małe tabliczki z przeprowadzonymi od nich drucikami do takiej — że tabliczki, przymocowanej na głowie karła. I natychmiast wszyscy trzej usłyszeli cichy, miły głos potwornego dziwotworu, — nie — nie usłyszeli, lecz odczuli dźwięki tego głosu.

On mówił:

— Uratowaliście mi życie! Na ziemi bowiem zamarzlbym, gdyż motor wyrwał mi się z pod nogi, i padając rozbiłem się dotkliwie. Teraz jesteście moimi gośćmi, i ja rad będę, jeśli czuć się będziecie tu dobrze. — Przyjaciele, których ogarnęło zdumienie, nie zdążyli jeszcze ochłonąć, kiedy drzwi wozu otwały się, i oto zobaczyli, że znajdują się u podnóża wspaniałych schodów.

Szerokie stopnie tych schodów ułożone były z grubych płyt kiełzycowego kamienia, i obramione po bokach lekkimi sztachetkami z akwamariny, z misternie rzeźbionymi słupkami.

Karzeł szedł naprzód, podtrzymywany przez profesora, rozglądającego się ciekawie na wszystkie strony.

Na górnej terasie oczekiwały na nich także potwory, jak i te, które niosły ich na brzegu gorącej rzeki.

One upadły przed karłem zupełnie się spłaszczwszy, a on stał nad nimi drżący, poruszając słabymi rękami i chciwie mlaskając wargami.

W ogromnej sali, do której karzeł wprowadził swoich gości, królowało również fioletowe światło, lecz, przechodząc poprzez ściany, zbudowane z płyt różnych minerałów, zmieniało swe odcienia i sprawiało, że ten prze-

piękny pałac stawał się coraz fantastyczniejszym.

Niewidziane nigdzie rośliny, podobne do palm kentji i latanji, lecz z czerwonymi liśćmi i pękami złocistych kwiatów, rozprzestrzeniających odurzającą woń, tworzyły w kątach malownicze grupy; kolumny z berilu, żółtych topazów i ametystów, z kapitelami ze złotych żmij i jaszczurów, wijących się z poza olbrzymich pereł, podtrzymywały lekki z górskiego kryształu strop, niewielkimi krawędziowymi półkolami wznoszący się gdzieś wzwyż, i niknący z oczu. Gzemy sali były zrobione z belek miki, i łączone pierścieniami z turkus. Rozstawione wszędzie, pyszniły się dziwaczne kanapy i krzesła i barwiły się miękkie poduszki, porozrzucane na grubych, puszystych dywanach.

Przy pomocy swoich tabliczek karzeł prosił gości, by czuli się jak u siebie w domu, i zapowiedziawszy szybki powrót, zwolna się oddalił.

Przyjaciele rozpoczęli naradę. Postanowiono wszystkimi możliwymi sposobami przekonać się, czy nie znajdują się tu uwięzione kobiety, i obserwować pilnie tajemniczych obywateli polarnych podziemi i ich dziwne życie.

— Jednakże — zauważył Karlsen — jestem bardzo głodny — i kiwnąwszy na potwora, stojącego przy drzwiach ukazał ręką na usta.

Straszliwy twór nisko się pokłonił, lecz twarz jego skrzywiła się przerażeniem, a oczy zagnała błysły nieważnością.

Potwór szybko skierował się ku drzwiom, lecz wtedy właśnie ukazał się karzeł. Szedł teraz krokiem pewnym i szybkim, i wydawało się rzeczą niemożliwą, że to jego marniutkie ciało utrzymuje na sobie ogromną i ciężką głowę.

— Czy nie pragniecie wzmocnić się? — zapytał, połączwszy się z tabliczkami swoich gości.

— Nawet bardzo — odpowiedział za wszystkich Karlsen.

— Proszę tedy iść za mną.

W wielkiej okrągłej sali poprosił, aby usiedli w głębokich krzesłach i pomógł im nałożyć na twarze szklane maski, połączone rurkami ze ścianą.

-- Otwórzcie krany, powiedział karzeł — i naciśnijcie pedały u krzesel.

Profesor Reinert, który zapisywał swoje wrażenia, mówił tak:

Uczułem, że z zewnątrz wstępuje we mnie nowa a potężna siła. Głód i pragnienie znikły. Przestałem odczuwać zmęczenie. Byłem po prostu odnowiony!

Bo w miarę tego, jak przyjaciele wdychali w siebie powietrze, przychodzące rurkami masek, oczy ich zaczynały błyszczeć, a krew szybciej krążyć.

— Cóż to takiego? zapytał Stenersen.

— Przyjęliście dozę żywej energii — wyjaśnił karzeł i wskrzesiliście utraconą część sił, czyli odnowiliście organizm nie zmuszając go do usilnej pracy około wytworzenia wszystkich tych sił, które przy takim sposobie odżywiania są po prostu nieśmiertelne i służą li tylko do przechowywania potrzebnej energii.

— Lecz skądże bierzecie tę żywą energję? zapytał uczony.

— Od ramisów — odpowiedział karzeł. Od tych istot, które nam służą, pracują dla nas i żywią nas. Ot, zobaczycie!

Z temi słowami karzeł otworzył okno w ścianie, a kiedy Reinert wyjrzał przez nie, zobaczył zaraz kilka znanych już potworów, oplecionych siecią najcieńszych drucików, których końce wchodziły do rurek masek.

Ramisy leżały na białych stołach, blade, wycieńczone. Potężne ich ramiona osłabły, a oczy zakryte były ciężkimi powiekami. Oddychały za ledwie widocznie.

— One przyjdą do siebie! uspokoił profesora karzeł. — Dadzą im zaraz

ich ulubione potrawy, i one wkrótce będą mogły znowu nas karmić...

... Karzeł wprowadził uczonego do komnaty, wyłożonej grubą i miękką materją, ażeby żaden dźwięk nie mógł tu przeniknąć, — a zastawionej rozlicznymi, dziwnymi przyrządami, których uczony nigdy nie widział.

Połączyli się aparatem, odczytującym myśli, i rozpoczęli rozmowę:

— Wiem — powiedział karzeł — że pana niepokoi pytanie, kogo pan właściwie ma przed sobą? Ja znam historję ludzkości. Bywali u nas ludzie różnych epok...

— A gdzie oni teraz? — spieszenie zapytał profesor. — Zamienili się w energję, złączyli się z jej ogólnym oceanem .. — bez pauzy odpowiedział karzeł.

Profesor smutnie opuścił głowę i pomyślał, że śmierć, jakkolwiek ją nazwać, przecież pozostaje śmiercią, lecz karzeł uśmiechnął się uprzejmie i zauważył:

— To tylko ludzie uważają śmierć za koniec osobistych wrażeń i myślą się... Po śmierci życie każdej żywej istoty trwa dalej... —

A pomilczawszy chwilę, mówił znowu dalej:

— Zadowolę pańską ciekawość i opowiem panu, skąd jesteśmy, my kamparci!

— Kamparci... kamparci? — zapytał profesor. — Jakaś znajoma nazwa...

— W średnich wiekach nazywaliście tak na ziemi ostatnią północną gwiazdę „Południowego Krzyża”. Lecz proszę nałożyć na głowę tą siatkę i patrzeć.

Przed oczyma uczonego rozciągała się bezbrzeżna, międzyplanetarna pustka. Czulo się nawet jej milczenie, obojętność i martwy spokój. Lecz z tej pustki występował ciemnoczerwony dysk, rozbryzgujący na wszystkie strony potoki szybko leących cząsteczek. One, jak armatnie pociski, przecinały przestrzeń i padały,

rozpłamieniając i rozpalając się, na drugi dysk.

— To promienie energii — wyszeptał zdumiony chemik. — Tak — odpowiedział karzeł. — Lecz w swym niewygasającym prądzie unoszą one pochwycone cząsteczki istoty. I oto pewnego razu promienie te pochwyciły zarodki żyjących na Kamparcie istot i rzuciły je tu wtedy jeszcze, kiedy ziemia była gorąca. Potem ziemia ostygła, i do kraju naszego przybyli ludzie, pędząc nas dalej i dalej, i ucząc walczyć ze sobą. Wielu nas zginęło, aż wreszcie ojcowie nasi z Kamparty dali nam znać, zapalając i gasząc ognie na południowej powierzchni swej ziemi, ucząc nas, jak trzeba żyć i jak zostać nieśmiertelnymi. Wtedy—to zwyciężyliśmy ludzi, zapędziliśmy ich w podziemia, zmusili do pracy dla nas, wreszcie schroniliśmy się przed chłodem w tych przepięknych krainach, i obecnie ginieemy tylko w razie katastrofy.

— A wieluż zostało kampartów? — zapytał uczony.

— Mało! Zostało nas tylko czterech. Lecz zato istnienie nasze jest rozkoszą. Widzimy obrazy nieporównanej piękności, dostępne nam przy świetle cianych promieni, lub promieniowaniu naelektryzowanych ciał. Zgodne, nie naruszane niczem, ruchy najdrobniejszych składowych części istoty, ruchy z milionami harmonijnych drgań na sekundę, oto nasza muzyka. Cały świat to wielki ocean cudownych widowisk i czarownych dźwięków, przepięknych i majestatycznie groźnych, i tylko zrzadka przerywanych przez ostry, nieoczekiwany szum i grom. To wałą się poszczególne światy, lub też odrazu, wraz z śmiercią wielu żywych istot, szumnie wpada w ocean sił potok oswobodzonej energii... Marni są głusi ludzie! Nie dano wam słyszeć cudnych motywów tego hymnu wielkiej przyrody... My nie wżmagamy słuchu naszego i wzroku elektryzowanymi metalami, rozgrzewanymi minerałami

i powolnie rozkładaną materją... Myśmy osiągnęli najzupełniejszy rozkwit całej nerwowej sieci... I tylko jedna myśl ciśnie nasze serca i zatruwa nam nasz spokój bogów...

Profesor z ciekawością spojrzął na mówiącego.

Ten kończył:

— Marzeniem naszym powrócić na naszą daleką ziemię...

Karzeł westchnął i umilkł.

— Widziałem — powiedział uczony — wasze łodzie podwodne na morzu. To niemal dowód, że możecie wszystko. — Na ziemi możemy wszystko lecz poza nią nie. Ziemia przeżywa swój ostatni okres, ona umiera. Zaszło coś takiego, co na jedno mgnienie naruszyło związek pomiędzy cząsteczkami, składającymi podstawę pewnej materji, a siłami, które je jednoczą. Wy nazywacie to radem, my territem, albowiem zalega centrum ziemi. Ten ruch rozkładowy udzielił się pokrewnym territowi materiałom, a od nich jak tlenie, poszedł i idzie wciąż dalej i dalej. Za ziemią ciągnie się teraz długi ogon cząsteczek materji i promieni uciekającej energii, i ten potok sił i materji odpycha na południowy wschód wszystkie nasze statki i naszych zuchwalców. Oni nie dostali się na Kampartę i w pociskach swoich, pozbawieni żywej energii, dawno już osłabli i wyginęli... O! dlaczego sądzono nam pozostawać tutaj...

— Na wyspie — powiedział profesor — było miasto, które splonęło, a ludność jego przepadła. Coście z niem zrobili?

I profesor, ująwszy dłoń kamparta, opowiedział mu historję miasta i okropności zniszczenia.

Karzeł ze zdziwieniem wzruszył ramionami.

— Rozumiem — powiedział po długim milczeniu. — Nasi niewolnicy wydobyli dla ogławiania płytki podziemi i rzeki ogromną płytę territu. Część jej zużytkowaliśmy, a drugą wywieziono na powierzchnię ziemi...

Prawdopodobnie, promienie territu, rozłożywszy powietrze i lód, najpierw zabiły ludzi, a następnie spaliły miasto .. Zresztą, niedawno przywieziono tu kilku ludzi... Widocznie, nie wszyscy tam zginęli... Ludzie są nam potrzebni dla intelektualnego żywienia ramisów i atrów .. Ludzi tych spotkały przypadkowo ramisy wysłane na powierzchnię dla odnalezienia kamparta...

— Gdzież ci ludzie? Gdzież ci mieszkańcy miasta? Żywi? Zabici? — rzucił spieszne pytania Reinert, nie wypuszczając przezroczystych rąk karła

Ten znowu wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Nie! Oni wszyscy żywi! Lecz próbowali uciekać i napadli na strzegących ich ramisów, a przeto pomieszczono ich w starym domu pewnego dawno zmarłego kamparta, w zachodnim lesie...

Jakieś krzyki, dźwięk i ogłuszający trzask, echa ciężkich kroków, dotarły aż tu, i kampart boleśnie zmarszczył swoje czoło.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, i Stenersen, z rozwianymi włosami i wzburzoną twarzą, wbiegł krzycząc:

— Prędeż! Prędeż! Zdaje się, że znalazłem jeńców...

— Oni w starym domu, w spalonym lesie...—powiedział Reinert.

Z triumfującym krzykiem radości i szczęścia, zapominając, że być może, ukochanej dziewczyny niema wśród jeńców, kapitan wybiegł z komnaty, zbiegł po schodach do ogrodu i poprzez pola, gnany nadzieją i żądzą spotkania, mknął, jak zwidzenie, a za nim, wyjąc i potrząsając pałkami, pędziła gromada ryżowłosych, pijanych krwią i bitwą olbrzymów...

Ta gromada ludzi, gnanych różnemi, uczuciami, w półnroku lasu podobną była do korowodu złych duchów, i napełniła gęstwinę dzikimi, nieludzkimi krzykami, wyciem i ryczeniem.

A tymczasem karzeł i stary profesor przeszli do sali, i zobaczyli ślady zniszczenia i mordu.

Kampart przystanął i na twarzy jego pojawiło się skrzywienie bólu. Przyłożył potem obie ręce do piersi i dał znak profesorowi, aby się z nim połączył przyrządem do rozmowy.

— My — powiedział — jesteście organizacją tak subtelną, że zupełnie nieznaczne zmiany ciepłoty lub chemiczne mózgu, zachodzące przy pojawieniu się myśli czy też zewnętrznego wrażenia, zastępują nam dźwięk głosu... A czuję, że tu atmosfera cała przesycona jest wzburzeniem i żądzą krwi. Boli mnie to... Ciężko...

Podsiedszy do kanapy padł na nią bezsilnie i ciężko dyszał, chwytając się słabemi rękoma za piersi i gardło.

Uspokoiwszy się podszedł do aparatu, wiszącego na ścianie, i nagle odskoczył od niego, i w przerażeniu rozglądał się wkoło.

— Co się stało? zapytał profesor myślą, podchodząc do kamparta.

— Chciałem rozkazać ramisom, aby zabrały zabitych, i wysłać za szaleńcami pogoń... lecz aparat nie działa! Ktoś zepsuł baterję termokumulatorów w roboczych podziemiach...

Na twarzy kamparta i w jego ruchach była zupełna rozpacz. Padł znowu bezsilnie na kanapę.

Profesor milcząc chodził po sali, wyszedł na chwilę na terasę, lecz zobaczywszy i tu kałuże krwi i trupy zabitych ramisów, wrócił do sali.

Dziwnym wydawał się obraz krwawego, okrutnego mordu w tym bajecznym pałacu z jego cichym, drżącym światłem, i przełamującemi jego promienie drogocennemi kamieniami ściany, stropu i kolumn. Aby uspokoić karła, stary chemik zaczął opowiadać mu o zwycięstwach człowieczej wiedzy, a kiedy kampart słuchał go uważnie, nibyto między innemi zapytał:

— Lecz nacóż wam, ludziom podziemi, potrzebne podwodne łódki?

Kampart odpowiedział spokojnie:— Posyłamy je z wielkiego Słonego Jeziora gorących podziemi na ocean.

Nasze łódki podwodne zdobywają jeńców dla intelektualnego żywienia ramisów i atrów, potomków dawnych ludzi. Te morskie wyprawy zdarzają się zresztą rzadko, raz na 25 lat. Wtedy jednak nieuchronnie giną ważne okręty. Zapewne pan pamięta, że prawie u zwoznika Kozierozca zginął wielki francuski okręt kupiecki „Hen-

Rzeczywiście, po schodach szybko ktoś wchodził.

Profesor, namacawszy w kieszeni rewolwer, zwrócił się twarzą ku drzwiom zdecydowany bronić kampaerta. Lecz do sali, ledwie trzymając się na nogach, wszedł i niemal padł na podłogę Stenersen, i oparł się plecami o ścianę.



ri"... Po tej katastrofie 20 ludzi załogi mieszkało z nami... lecz oni umarli, więc musieliśmy...

— Widziałem jak zginęła „Lady Hamilton” smutnie pomyślał chemik.

— Tak, szkoda, wielka szkoda — pokiwał głową karzeł — to było bezcelowe okrucieństwo, albowiem wtedy właśnie wzięliśmy na powierzchnię wielu jeńców...

Nagle karzeł zcichł, i powstawszy, długo nasłuchiwał.

— Ktoś biegnie do nas — powiedział. Boję się!

— Wyprowadzili ją znowu i gdzieś ukryli! — krzyknął nagle z wściekłością, i porwawszy się z miejsca, ruszył ku kampaertowi, podniósłszy pięść zaciśniętą. — Przeklęty twór, marny padalec!

Lecz Reinert wstrzymał pięść jego, która mogła zmiażdżyć głowę maleńkiego, bezbronnego karła.

— Zostaw! — powiedział starzec surowym głosem. — On nie zawinił. Opowiedz, co się stało i uspokój się!

Kapitan szybko chodził po sali, ciężko dysząc i opowiadał:

— Byłem znów w starym domu:

i przetrząsnąłem go z temi dzikusami od góry do dołu! Nie zostało tam nic! Połamano wszystkie drzwi, byłem w wszystkich pokojach, i nie znalazłem nikogo.

Marynarz zakrył twarz rękami, a ciężki płacz przerywał mu słowa:

— Dzikusy znalazły ślady całej gromady ludzi i głęboki ślad ostrych kół samochodu. Ślad ten prowadził na drogę i tam gubił wśród innych śladów. Co mam robić? Powiedz!

I chwyciwszy starego przyjaciela za rękę Stenersen patrzył na niego pełnemi łez oczyma i czekał na odpowiedź.

Przedewszystkiem musimy odszukać Karlsena — powiedział wreszcie chemik. — Weźmiemy ze sobą karła i rozpoczniemy poszukiwania we czterech. Idź i szukaj go!

Lecz nie zdążył marynarz dojść do teresy, kiedy oto sączący się zewsząd blask zaczął mroczyć, i buchnąwszy silniejszą strugą, nagle zgasł.

Głęboki mrok ogarnął wszystko. Bezkształtną, ciemną masą zawisł, zda się, nad wszystkim i przygniótł wszystko swoim ciężarem.

— Niestety! — krzyknął przez aparat Reinerta karzeł. — Rozłączono nas z głównemi elektrycznemi maszynami... Jeśli ktoś z nas, kampańców, widzących przy promieniach ciepła, znajdzie się w podziemiu maszyn, ten zginie. Atrynienawidzą nas. Oni pokonani, lecz nie zjednani, jak ramisy...

— Cóż więc robić? — zapytał chemik.

A nie otrzymując odpowiedzi, wyciągnął rękę w stronę kampańca, lecz karła już nie było.

Niezauważony w mroku, stąpając bez szelestu, wyszedł z sali. Przyjaciele, przerażeni tem, co się stało, nie wiedząc, co czynić, stali w milczeniu.

F. Antoni Ossendowski.

Villiersa de l'Isle — Adama.

É l é n

(fragment) w parafrazie

Zygmunta Kobrzyńskiego

Un rêve...

V. de l'I.—A.

1.

...Gdy paż, przybrany w jedwabie i kwiaty, podał mi napój rzeźwiący w ofierze, tom się w swej głębi rozradował szczerze i myślą w gwieźdnem pogonił zaświaty.

Wnet się mym oczom pojawi skrzydlaty Gherubin, w srebrne przybrany pancerze — i wnet mnie w swoich objęciach zabierze w kraj snów, odległy, nieszczęściem bogaty.

Sen miałem dziwny, straszny, niepojęty, iżem się zbudził, dreszczem lęku zdjęty; — sen dziwnie piękny w swej prostej hypnozie.

Dziś, gdy się w próżnym zatapiam wspomnieniu,
 pragnę odtworzyć go w słów dźwięcznych brzmieniu,
 oddać go w całej potędze i grozie.

2.

Zrazum nie widział nic, — jeno me uszy
 chłonęły morskich bałwanów odgłosy,
 a ponad głową zciemnione niebiosy
 ponurą światłość sączą do mej duszy.

Płynąłem rzeką śród pustynnej głuszy,
 świecącej rankiem srebrzystemi rosy,
 a obok Marja, rozpuściwszy włosy,
 płynęła ze mną... Śnieg nam w oczy prószy.

Postaci nasze śród martwych promieni
 żadnych wokoło nie rzucają cieni,
 gdy tak płyniemy po falach Erebu.

Wkoło pagórków ścieśnione łańcuchy
 stoją rzędami w pomroce, jak duchy,
 ręce błagalnie wznoszące ku niebu.

3.

Statek nasz, ciemny, w nasadzie szeroki,
 o jednym żaglu wód prujący fale,
 płynął był cicho w nieznane nam dale,
 a srebrne piany zbryzgały mu boki.

Więc-żem do steru skierował swe kroki
 i o barjery wsparł się drzewne bale, —
 a obok Marja, w uspieniu, niedbale,
 na pierś mą kładła cień swej ziemskiej zwłoki.

W milczeniu dłonią przetarłem swe czoło
 i sennem okiem powiodłem wokoło,
 żądny się zbratać z fal głuchym łoskotem;

wzrok swój w bezkresne zatapiając ciemnie,
 rozpierzchłe myśli zbierając daremnie,
 by falę wspomnień przygonić z powrotem.

4.

Napróżno! Wspomnień gasnące pochodnie
 zostały nagle zmacone przez cienie,
 jakie w mą duszę wsączyły promienie
 posępnej ciszy, płynącej przygodnie.

Myśl ma w swej głębi nie tonie swobodnie;
 łatwo ją strzyma jedno oka mgnienie;
 a choć ją ziemskie nie brudzi pragnienie,
 przecież w swem sercu jedne czyta zbrodnie.

Myśl moja, dziwnem przeczuciem zmacona,
 gdy ją skroś wichrów zmęczyła ta droga,
 napróżno chłonie wątłą siatkę marzeń.

Lecz na dnie, w sercu zmęczonem gdzieś kona,
u świadomości zatrzymany proga,
przedziwny chaos wypadków i zdarzeń.

5.

Śnią się jej czasem wzburzone odmęty,
oceanowe fale — i w wichurze
nad wąłym statkiem szalejące burze,
w proch druzgocące stalowe okręty.

Przepych zórz, kwiatów w jej głębi zamknięty
i z koralowych raf lądy w purpurze
podzwrotnikowych drzew, rozkwitłych w górze,
a w zorzach klangor ptaków niepojęty.

To znów z bladawą poświatą miesiąca
melodja cicha, w dal senną płynąca,
sześciomiesięcznej, długiej, nocnej ciemni.

Lecz owych wspomnień żeglarze tajemni
łączym się dziwnie z nastrojem tych śniegów,
otaczających mórz, lądów i brzegów.

6.

A!... Już musiała być pora spóźniona,
a także w nasze zmierzch był zapadł dusze,
zniekane, sennie, — w bojów zawierusze
pragnące w ciszę rozpostrzec ramiona.

Woda kanału, sennie skryształona,
miedziane blaski sączyła nam w dusze —
i w nenufarów srebrne pióropusze
tuliła brzeg swój, spoczynku spragniona.

Milczenie! Cisza, której nie zamąci
ni szelest liści, lecących z gałęzi
drzew, czerniejących w oddali, ni z cicha

tej szklanej wody puch lotny nie trąci, —
ni woń się wyrwie z białego kielicha,
w amforze płatków trzymana w uwięzi.

7.

Rdzą zżartę wiosel obrączki ze stali
nie uderzały o haki z łoskotem,
lecz nieruchomo płynęły ze złotem
wód, dwojgiem skrzydeł czerniejąc z oddali.

Tak płynęliśmy w tej łodzi, omdlali,
pod nieruchomym żaglowym namiotem,
a łódź sunęła tym rdzawym nalotem,
nurzając wiosła w heban ciemnej fali.

Kraj się zdał bardzo starym skroś tych cieni,
jakgdyby szczęścia słonecznych promieni
nie znał był nigdy, w ciemną przybran szatę;

a na powierzchni wód głębi, ostrożnie,
kosarze z dolin wbród stąpały trwożnie,
stawiając zwolna swe łapy kosmate.

M i a s t o

(Opowieść o człowieku głodnym)¹⁾

Resztę dnia spędziłem w parku. Wynałazłem tam ustronną ławeczkę. Spałem. Obudził mnie huk wiosennej burzy. Zanim dotarłem do bramy ogrodu, lunął rześisty deszcz. W przeciągu minuty przemokłem do ostatniej nitki.

Burza trwała długo.

Cicho, cichutko wszedłem do „siebie”. Nędzny pokoiczek pod strychem, w nędznym, drewnianym domku, na nędznym przedmieściu. Za płacony za marzec. (Płaszcz!) Niezapłacony jeszcze za kwiecień. Dla tego .. cicho.

Otworzyłem okno. Burza huczała. Schodziła noc. Gorączka opanowała mnie zupełnie. Patrzałem w niebo, a niebo zmieniało się zwolna w czarną toń. Zwały chmur, ciężkich i posępnych, toczyły się grzmotem, z hukiem, z wichru graniem.

O, Boże!

Gdybyż nareszcie porwał mnie ten wicher jako liść zeschnięty, nikomu niepotrzebny! Gdyby mnie poniósł na pola, hen...

Hej! Wicherze, opętańcze--szaleńcze tu do mnie, hej! do mnie! Za włosy mnie porwij, oślepij moje oczy, w serce pędź wszystką krew! Hej! Z tobą ja niezłomnie! Noc duszę moją mroczy, a dusza szatański gra śpiew! Hej, do mnie wicherze, wicherze!! O, tylko takiej rozkoszy!... by z liśćmi

razem pójść w tan... bo może wicher ból spłoszy... bo może polecimy przez lasy, przez pola... i może, może nie zgoni niedola...

Patrzałem w niebo, a niebo to była czarna toń.

Nastaly dziwnie piękne, wiosenne jasne dni. Mile ciepło przeszycało powietrze, i ludzie zjawiali się na ulicach, coraz częściej, bez płaszczy, tylko w kapeluszach. Ten szczegół cieszył mnie niewymownie. Wogóle cieszyłem się teraz poprostu byleczem, i chociaż uświadamiałem sobie niejasno, że we mnie to jest w mym mózgu i systemie nerwowym jest „coś” mocno w nieporządku, nie przejmowałem się tem całkiem i żyłem dalej, jak Pan Bóg dał. Zarobków po staremu nie było, a wycieczki do dworca głównego nie zawsze szczęśliwie się kończyły.

Raz jednak!... Boże mój! Trafi się przecież czasem na porządnego burżuja. Załatwiłem mu jakieś tam formalności bagażowe i w przeciągu półgodziny zarobiłem 5 złotych polskich. Tak jest: słownie, wyraźnie: pięć złotych polskich. To było w sobotę. W knajpce okropnej i podejrzananej najadłem się za „cały złoty”, kupiłem papierosów i zapalek, uczułem się prawie szczęśliwym. Pod wpływem tych uczuć wpadłem także na inny, genjalny pomysł. Oto wy-

¹⁾ Patrz Nr. 1 „Polska-Inwalidom“, str. 26.

nalazłem wśród rupieci! stary, ale cały jeszcze, miękki kołnierzyk, znalazłem także coś w rodzaju krawata! Po długich, długich poszukiwaniach znalazła się i podarta, stara koszula!

Urządziłem wielkie pranie. Nabyłem igłę i nici. Z anielską cierpliwością i mrówczą wytrwałością pracowałem aż do nastania zmierzchu. I oto w niedzielę rano wyszedłem na ulicę dumny i radosny. Byłem w kołnierzyku! I w koszuli! Nie potrzebowałem podnosić kołnierza kurtki, mogłem „ostatecznie“ bez „ostatecznej kompromitacji“ zaczepić kogo ze znajomych, i miałem jeszcze trochę groszy w kieszeni. Przejornie zaopatrzyłem się w żywność (dwie bułki i jakąś tam część funta chleba) i postanowiłem, jak prawdziwy burżuj, mieszczanin, urzędnik, kupiec i t. d., udać się za miasto. Przecież to niedziela, koniec kwietnia, pogoda precudowna! Oczywiście, nie miałem zamiaru korzystać z usług tramwaju czy kolejki, czułem się silny i zdrow, niezależny, wolny!

Poszedłem piechotą.

Słońce szalało!

Czyste, czyste, bezmierne niebo rozciągało się nad zieloną równiną pól, i hen—w tych przestworzach, w tym rozdrzanym złocisto-różanym blasku wiosennego dnia śmigwały o-szalałe ptaki, radowały się lotem błyskawicowym jaskółki, zanosiły się ćwierkaniem wróble, a nawet ociężałe, posępne wrony i gawrony zważewiej zrywały się do krótkiego lotu.

Harmonijnymi szeptami i szmerami grająca, jasna cisza królowała tutaj w ciepłym słończnym, w przymierzu przyrody. Zachwycające, młode życie, czarowna tajemnica nieśmiertelnego odradzania się i wiecznie powrotnej fali wiosennej młodości grała swą pieśń nieuchwytną, przesycala sobą wszystko i wszystko obejmowała w radosne posiadanie. Leciuchny, ciepły wietrzyk, wietrzyk cichy i czysty jak muśnięcie porannego kwiatu,

owiewał czoło, i, zda się, szeptał do ucha dziecinną bajkę radosną, opowieść swobodnych pól. Dobroć i radość wiosenna — niezmierna chwala przyrody — białą mocą kołysała duszę, rozpędzała i usypiała gorczy serca, leczyla, o, tak leczyla, znędzniałego człowieka z miasta, który daleko, daleko odszedł od Matki Ziemi, którego oczy przywykły chłonać szarą i krwawą nędzę, którego usta przywykły kłąć, a kark zginać się przed przemocą, bogactwem i podłością, nie zaś pod trudem błogosławionej pracy, nie zaś nad ożywczym źródłem krynicznej srebrnej wody.

Jakże się uczułem mały, jakże nędzny, jakże zły i słaby.

Łzy, których z mych oczu nie zdołała wycisnąć niedola, zamglily, zasrebrzyły me oczy. W niepojęcie szybkim, zawrotnym kołowrocie przemyslenia ustalał się pewnik wiary w fałszywość i bezmoc straszną człowieczej „kultury”, która duszę coraz grubszym murem odgradza od szczerości, od prostoty i od Dobroci.

A słońce szalało!

Wyciągnięty na młodej trawie — z przymkniętymi oczyma — całym sobą płem jego moc cudowną. Krew moja ożywiała się w rozszerzonych żyłach — czułem jej tętno dawne, młodzieńcze — z dziecinną radością uświadamiałem sobie, że jestem jeszcze młodym, że mogę pracować, walczyć, zdobywać, zwyciężać, że mogę kochać, żyć!

I moje oczy rozplonąć mogą słoneczną pozygą, i moja krew huścić będzie słoneczną rozkoszą, i przez moją duszę przechodzić jeszcze będą świetliste wichry uczuć, a serce na nowo uwierzy w słoneczną drogę życia!

Skupiała się we mnie, rosła i błogosławiła już przyszłe poczynania obudzona duszy moc. Żarliwą modlitwą szczerą stały się me uczucia, żarliwą wiarą w Opatrzność, żarliwą,

plomienną nadzieją. Zapomniałem o niedoli i nędzy, zapomniałem o nędznym, niezapłaconym pokojuk wrujerze, zapomniałem o okropnej obojętności ludzkiej. Widziałem zielone, ciche pola, widziałem w dali lśniąca szybę wody, — ciepło słoneczne niby serdeczność ludzką odczuwałem — zapomniałem o mieście.

A wieczorem...

Nie poszedłem prosto do domu. Siedząc na jakimś opuszczonym wozie zjadłem swoje bułki, napiłem się smacznej, zimnej wody z podmiejskiej studni, zapaliłem papierosa, i znów silny i wypoczęty, ruszyłem do centrum miasta. Bo i cóż zresztą miałem robić? Lampy w pokoju nie miałem już oddawna, kupienie świecy byłoby niesłychanym luksusem, a w mieście, na pierwszorzędnych ulicach jasno płoną lampy, za szymbami redakcyjnymi wiszą gazety — jest gwaro, zajmująco i dziwnie samotnie...

Ulice huczały życiem. Wiosenny, miły wieczór rozzuchwiał, rozbudził, rozpoetyzował ludzi. Czułeś jakiś wspólny, jednolity prąd, płynący przez tłumy z ulicy w ulicę. Blask oczu niezwykły, zuchwałość i polotność ruchów, dźwięk głosów — wszystko to rodziła wiosna. Wiosna płynęła niebem, wiosna huczała we krwi, wiosna upijała tłumy.

Lecz wśród tłumów właśnie bezmierną poczułem samotność. Gorycz znowu wypłynęła z dna serca, i niezwalczony smutek jął brać mnie w surowe władanie. Zapomniałem o postanowieniu przeczytania gazety, zapomniałem o „wiosennem szaleństwie“ pójscia na czarną kawę. Na jakimś rogu przystanąłem i stałem długo bezmyślnie.

...Znagła owionął mnie zapach jakichś „zapamiętanych“ perfum, przesunął się przed oczyma zarys znajomej postaci. Niemal skoczyłem z miejsca. To olśnienie, raz tylko przeżyte a zapamiętane, w nocnych

snach marzeniem tajemnym wracające, to olśnienie, którego siłą chytrze i mądrze sam przed sobą tailem, powróciło, niemożliwością, szaleństwem serce poruszyło, i zwyciężyło na mgnienie.

Tak, to była ona. Ten sam — to był melancholijny uśmiech dziecinny, te same drobne, prześliczne wargi — ta sama żaloba — i ta sama gra pysznych kształtów pod żalobną suknią. Niepokój, półbolesny, półrozkoszny niepokój wstrząsnął słabem sercem. Uśmiech, który był zapewne uśmiechem marzenia, i uśmiechem bezsily — wbrew mej oczywistej woli poczułem na spieczonych wargach. Idąc już teraz wolno, bardzo wolno, skłoniłem się głęboko. Odkloniła się — o, radości! — odkloniła się! Poznała mnie z wszelką pewnością, a nawet w ruchach jej zdradziła się chęć zatrzymania, rozmowy. Lecz ja głupi, ja śmieszny i szalony, gryząc wargi i zbyt jasno pamiętając o wystrzępionym ubraniu i straszliwych butach, przyspieszyłem kroku i poszedłem dalej!

A w dwie minuty później wróciłem. Szukałem. Szukałem, jak szalony. Napróžno. Pochłonał ją i zagubił w sobie ten przeklęty, miejski, wiosenny tłum! Wiosenny!!

Źle się zakończył ten piękny, wiosenny dzień. Źle, bardzo źle i z wielkim dla mnie wstydem. Spotkanie w alejach poruszyło we mnie całe dziwne kłębowisko żąd, namiętności, tęsknot i rozmarzeń. Zrodziło się to we mnie niby palący wicher pustynny, wypaliło w mig i do szczętu wszelką słodycz dnia i spokój myśli, i zamieniło mnie znowu w zwyczajnego niewolnika miasta, tego potwornego zbiorowiska nędzy, krzywdy, wyzysku, rozpusty i zbrodni, poezji i cynu, marzeń i sławy, bogactw i dosytu — tego potwornego, arcydzielnego wiecznego tworu. Byłem znowu synem kultury! A..! Tej kultury, któ-

ra uczy przedewszystkiem obłudy i wyrafinowania! Która ma prawo (ma prawo!!!) i tych przedewszystkiem potężnych, którzy depcząc to prawo, piszą je jednak, bronią jego słuszności i godności (!!!) i per fas et nefas panują! Kultury! Tej, na glinianych nogach, olbrzymki w masce, w łudzaco pięknej masce, świetnej aktorki, wspanialej mówczyni. A nad mrokami panuje złoto—złoto—błyszczące, straszliwe złoto, — nieuchronny zdrajca, żeśmy wpadli w błoto materializmu, że już grzęźniemy, że już się dusimy!

Ach! Powietrza! Tchu! Swobody!

I ja się dusiłem! Dusila mnie hydra uroków tego miasta. Gdyby duszący ból podstępowało mi pod gardło poczucie mojej beznadziejnej nędzy, — poczucie przepaści odgradzającej mnie od wszystkiego, przedewszystkiem zaś od niej!

Ja—i jasna pani! Moja wychudła, zczerniała twarz, moje wyschnięte, popękane wargi, — wydłużony niepomierne nos, i okrutne zapewne, nadmiernie rozszerzone, płonące oczy—i ta twarz czysta i biała, o cerze delikatnej i rzechy się chciało wonnej, o prześlicznie dziecinny, melancholijny uśmiechu drobnych ust purpurowych, i oczach, jak niebo, jak to dzisiejsze niebo!

Ja—i jasna pani!

Wychudły szkielet—suchy i wysoki niezgrabny kańciasty i ta wytworna, silna postać, o kształtach marmurowych posągu, piękna w każdej linii, kusząca i czarowna, — i cóż tu się bawić w obłudę? — zdrowa i dobrze odżywiana!

Ha! ha! ha! Ja i jasna pani!

Moje wykrzywione, komiczne, wspaniale komiczne buty, nałożone wprost na boscie nogi — moje spodnie.. ha! ha! ha!... mój kołnierzyk, jak cudem uratowany zabytek.. ha! ha! ha! mój krawat!... i te prześliczne pończoszki na prześlicznych nogach, ten bez zarzutu kostium żalobny... ten pierścień na rączce białej i miękkiej zapewne, jak puch!

Ha! ha! ha! Ja i jasna pani!

Nie pamiętasz—że, głupcze, słynnego powiedzenia, że każdą kobietę zdobyć można, ale każdą zdobywa się innym sposobem? Czyli, że na każdą jest sposób!?

Ha! ha! ha! Głupcze!

Uczyło cię to straszliwe miasto, uczyło od dzieciństwa?!

Uczyło!

Idź! Tam wszelakiego dobra znajdziesz aż za wiele! Ubierzesz się wspaniale, wykarmisz i utuczysz, nabijesz kieszenie złotem! Tylko trzeba być „po ichniemu“ mądrym. Nie marzenia, a pazury wyhodować wilka! Oto jest prawo niepisane, nagie! Ha! ha! ha!

Działo się ze mną coś potwornego.

Różne uczucia, tęsknoty i drapieżne jak tygrys marzenia wzięły się za bary, zmagaly się w spienionej, jadowniczej walce, napełniły duszę wrzawą, klątwą i szaleństwem! Rozrosło się wewnątrz moje w beskresną arenę walki, że, straciwszy zgola poczucie miejsca i czasu, włokłem się z ulicy w ulicę — błędny niewolnik, nocny włóczęga miejski. Zwalila mi się na barki potworna samotność dręczycielska, i ugiąłem się pod nią, ugiąłem nareszcie, i padłem w proch tęsknoty, pałacej, mocarnej tęsknoty. Niechby się już szaleństwo rozpętało we mnie, niechby już przepojone zawiścią, złością i goryczą, przekłete myśli płomiennymi płachtami obłędu mózg owinęły, niechby żądza życia i użycia demonem mnie uczyniła — o, wolałbym stokroć,—zwyciężyłbym szatana w sobie.

Ale ta tęsknota...

Nie o użyciu mówiła, nie o wygodzie ciała, i nie o rozkoszy jego. Boskie miała promienne oblicze, jasne prosto patrzące oczy—i usta świeże, prześliczne usta dziewicze, cicho, przecicho szepczące o miłości.

W świetle gazowej latarni zajaśniała na mgnienie niepospolita twarz kobieca, twarz, której rysy rzeźbić

musiało twarde a burzliwe, pełne przygód życie, i zatajone cierpienie, i wola, która walkę swoją człowieczą przegrała. Ujrzałem na mgnienie duże, czarne oczy o prześlicznych rzęsach, — i łukami brwi świetnie okolone. Ujrzałem usta zacięte, czerwone, jakby krwawe, — silny zarys brody — i policzków bladość. Otarła się prawie o mnie postać silna, prosta, w kształtach już zbyt bujna, ale jeszcze harda młodością. I zaraz śmiech dziwny, śmiech drażniący, śmiech rzekłbym szyderczo-zmysłowy usłyszałem. Przerwał moją zadumę, przerwał natychmiast, i tak mnie zastanowił, że się zatrzymał.

— Kotku, pójdziesz ze mną?

Ach, to tak! „To tak“ było bolesne, jak wszystko tego wieczoru. Nie spojrzałem już na nią, i aby rzecz odrazu skończyć, ostro powiedziałem;

— Nie mam pieniędzy.

— Naprawdę nie masz? — już się ramieniem o mnie wsparła i zuchwale zaglądała w oczy — nie masz? koda. Takie masz ładne oczy!

— I ty jesteś ładna. Szkoda cię. Sz— Dzisz go! Jaki moralny, bo bez pieniędzy!

— Nawet gdybym miał...

— Ejże! To ty tylko z miłości...

— Czarne oczy, czarne oczy.. Chodź, Anka, ze mną! — rosły, tęgi robotnik owinął ją już ramieniem. Przekręciła się zgrabnie, przyłgnęła na mgnienie ustami do jego ust, i śmiejąc się, pytała: A hopy masz?

— Mam.

— To chodźmy. Do rana jeszcze daleko. Dobranoc, panie moralista!

W świetle gazowej latarni zajaśniała na mgnienie znowu twarz kobieca. Ujrzałem wyblakłe, pokory pełne oczy, niskie czoło, wychudłe lice. Sucha ręka dotknęła mojej dłoni:

— Paniel!

— Co?

— Proszę ze mną. Tu niedaleczko. Tu bardzo blisko.

— Nie, nie. Proszę mi dać spokój.

— Panie — w głosie jej drżała prosto, psia pokora — panie biedna jestem, nieszczęsna, opuszczona. Dziś przy niedzieli taka głodna jestem.

Była chuda, wysoka, brzydka. Była bosa. Poszarpaną na ramionach bluzkę okrywała jakaś nędzna marna chuścina. Drżała.

— Nie kłamiesz? — zapytałem ostro.

— O! mój panie! Nie! Nie! I dziecko mam... i bez to... o, mój panie, nikt nie chce, i nie dziwota... chyba pijus jaki... roboty niema...

— Tu mieszkacie?

— A tu.

— Dziecko duże?

— Trzy lata. Dziewczynka.

Widziałem w jej oczach zapalające się płomyki. Widziałem jej wargi, jak drzą w straszliwej, okrutnej niepewności. W sekundowym zwidzeniu ujrzałem całą jej nieopowiedzianą nędzę, nędzę kochającej matki. Wiedziałem już, że nie kłamię.

— Słuchajcie, jak wam na imię?

— Józefa.

— Słuchajcie Józefo, ja sam biedny jestem. Mieszkam tu, pod 25, w pokoiczku pod strychem. Łanowski się nazywam. Dopytać się łatwo. Zajdźcie czasem, może co pomogę. Dziś to, co mogę...

Dałem jej te dwa ostatnie złote. Niech jej Bóg błogosławi!

— O panie — wrzaskliwie dziękowała — o, panie!

Niech ją Bóg błogosławi.

W izdebce było duszno. Otworzyłem okno. Zapatrzyłem się na mleczną drogę, na gwiazdy, na świąty. Zapomniałem...

...A noc była duszna, noc była gorąca. Pałace sny mnie otoczyły, płomienne śnienia mój przepalały, jadłem złego żaru przesyciły krew, i serce otumanily.

Tonąłem w przepychu i dosycie życia, używałem władzy, byłem jakimś

potęgą w świecie czczącym złoto. Zasiadałem w pysznej, białej sali, zdobnej w kolumny i marmury, zachwycającej dziełami mistrzów, imponującej ogromem. Zasiadałem w złocionem krześle na podwyższeniu, opierając nogi na kosztownym stoleczku, zdobionym kością słoniową. Połyskiwały na moich palcach złote pierścienie, ręka, którą podpisywałem ważne pergaminy, była białą, miękką i wonną. Panowie rada, starcy, którzy mnie otaczali, łańcuchy złote nosili na szyjach, nie przeciwili się żadnemu memu słowu, a odchodząc, składali pokorne, głębokie pokłony.

Rządziłem miastem wielkiem, miastem ludnem i bogatym, i nic nie wiedziałem, nic nigdy nie słyszałem o żadnej nędzy. Usługiwały mi młode niewolnice, piękne jak sen, a jak grzech kuszące, posłuszne każdemu życzeniu, rozkoszy chętne, rozkoszy świadome.

A jednak paliła mnie żrąca tęsknota—do szalu dochodzący ból pożądania—uczucie podobne wichrowi, szukającemu w pustyni ofiary.

I oto, pewnej nocy, kiedyś spoczywał na wspaniałem łożu, rozbudził mnie czarny niewolnik wieścią, że wojska moje zdobyły wrogie mi miasto, że powracają w tryumfie, i że wiodą mi ujętą miasta tego przepiękną królownę.

Tak, to była ona.

Posiadłem ją. Spalonemi żarem namiętności ustami błądziłem po całym jej nagiem ciele, wysysałem z niej rozkosz najdzikszą pieśczętą, lecz, mimo, że była biernie posłuszną i uległą, nie miałem uczucia pewności jej posiadania. Oto spoczywała obok mnie pyszna w swej nagości, bielejąca promieniście w mroku marmurowemi kształtami posągu, oto dotykałem rozpaloną ręką sprężystej jej piersi, obejmowałem jej rozkwitłe uda,—posiadałem ją w palącej żądzy,—a pragnienie moje nie gasło, a tęsknota za nią paliła mnie po dawnemu.

...Trwał ten sen długo palił mnie coraz żywiej, aż w mękę się zamienił i w jakieś przerażające poczucie. Ocknąłem się, zlany potem, niewiedzący, gdzie się znajduję. Dopiero głos mej „gospodyni“ rozkazujący przynieść dwa funty chleba, przywrócił mnie do rzeczywistości. Poczulem głód i przypomniałem sobie natychmiast, że znowu nie mam pieniędzy.

Byłem głodny, byłem strasznie głodny. Można powiedzieć, że nędzą moja doszła do najwyższego szczytu, że wyżej już „iść nie można“, że stąd pozostaje już tylko nieuchronny skok w ciemną, niewiadomą przepaść. Zacząłem się tej przepaści bać. Zimny lęk lepkiemi, węzowemi palcami opasywał me serce, a z serca wypelzał wtedy powolny okrutny dreszcz, żółwim pochodem posuwał się naprzód, rozdwajał się ku stopom i głowie, opanowywał piersi, opasywał szyję, i wreszcie wkraczał do mózgu. I wtedy wszystko się we mnie trzęsło, wszystko się jakby we mnie rozklejało czy rozpadało, i niby błędny ogień, niby isierka wśród nocy jedyna, żyła jeszcze jedna tylko świadomość, ostatnie okropne poczucie, że oto zerwę się zaraz, wybiegnę na ulicę, i z rękoma, wzniesionemi ku niebu, będę przeraźliwie krzyczał, będę ohydnie wyl o swojej nędzy—człowiek oszalały, warjat, obłąkaniec! Plugawy strach chwycił mnie tedy za barki. Lodowe dreszcze najszybszemi drgnieniami obiegały ciało,—błogosławiony chłód dostawał się do mózgu—powoli przwtomniałem i z rozkoszą przymykałem przemęczone oczy. Czulem wtedy w sobie zupełną ciszę i zupełną pustkę. Zdawało mi się, że mam potwornych rozmiarów głowę, i że pod sklepieniem tej olbrzymiej czaszki szumi cicho wielki, zimny mózg, w którym panuje przerażająca jasność. Powiększyły się także ręce moje i nogi,

zgrubiał kark i niepomierne pierś się rozszerzyła, a mimo to czułem się przedziwnie lekki, przejrzysty jakby, i prawie spokojny. Ale te dobre chwile trwały nader krótko. W jasnej, chłodnej przestrzeni mózgu, w samym jego idealnym centrum, błyskała naraz drobniutka iskierka, po chwili pełgał już niewielki płomycek, aż wreszcie w ciszy przekłętego oczekiwania rozlegał się posępny trzask—ohydny ból rozpierał, rozpychał me skronie—świdrował serce—spadały na mnie zewsząd sinawe płomienie—żar przepalał—że kąpiąc się gdyby w ognistej wannie traciłem dech, spalałem się na popiół, dusiłem się, a przecie nie traciłem pełnej świadomości!

Męka ta wreszcie w dziką, przesywającą rozkosz zmieniać się zaczynała, zaczynałem się zatracać w tej męce. Pod przymkniętymi powiekami szalały stubarwne płomienistwarzały się jakieś gigantyczne tęcze — moc nieznana a władna, moc okrutna, bezwzględna, pierwotna wyrwała ze mnie duszę, — w wir ją szalony pędziła pomiędzy te tęcze, pomiędzy te płomienie — a moje ciało bezsilne i straszne, moje ciało żarem buchające leżało na deskach łóżka i opuchłą, okropną głową biło o żelazne pręty, drgało już ostatnią, śmiesznie i tragicznie beznadziejną walką.

Nie wiem, która to była godzina, nie wiem, jaki to był dzień. W jakiejś sekundzie chwilowego uciszenia się męki usłyszałem wyraźny, szydliwy, błazeński szept:

— Ano, zdechniesz jak pies, jak sobaka...

Wtedy—to zerwałem się! Przecież ja nie chcę umierać! Nie chcę!—Na litość Boską!—ja chcę żyć!! A jeśli już nawet... a jeśli już nawet... to ja nie chcę tak umierać!

Zatoczyłem się.

Na szczęście, w miednicy była czysta woda. Ta czysta woda, prze-

chowana w blaszanej, powyginanej miednicy (której nikt nie chciał kupić), zdaje się, ocaliła mi życie. Umyłem się, zlałem kark i piersi tą błogosławioną wodą, i odzyskałem trochę sił.

Wyszedłem.

Słońce-złote, majowe, rozjaśnione słońce — zalewało, zatapiało wprost nędzną uliczkę przedmieścia. Bose, przeważnie tylko w koszulach dzieci bawiły się u wrót domów, biegały po zrujnowanym trotuarze, przewracały się w rynsztokach, którymi dziś nie płynęła cuchnąca woda, lecz stał się drobniutki, biały pył, zwiastnik upałów i lata. Srebrny, beztroński śmiech rozperlał się, rzekłbyś, na brudnych ścianach domków, i w przesłonecznionem powietrzu brzmiał niby zaufane przypomnienie o wiecznym skarbie ludzkości, dzieciństwie.

Wsparłem się o latarnię i patrzyłem, jak zaczarowany. Jakgdyby z najtajniejszego dna serca wypływające — jakgdyby najbardziej męką przesycone — wstydlive, palące łyzy nabiegły mi do oczu a w zgorączkowanym, rozpalonym mózgu rytmicznie a prześpiwnie, słodko a z bezbrzeżnym bólem, zadźwięczały cicho, zapłakały srebrnie dawno gdzieś, bardzo dawno zasłyszane wiersze:

...Snią mi się niewinne oczy cudne,
I piosnka znana w sercu lka—
W proch idą zjawy życia złudne,
Dziś me pragnienia są jak lza...
Snią mi się cudne, cudne oczy,
Ani je zdrada ani żal,
Ani ból winy żadnej mroczy—
I tak niewinnie patrzą w dal...
Sni mi się biała, skromna chatka
I piosnka znana w sercu lka...

Żal, żal bezbrzeżny...

.....śni się... matka...

...A serce nie jest już jak lza...

Odszedłem wreszcie z tego miejsca, które się stało miejscem najstraszliwszych i najświętszych wspomnień i ruszyłem wolno dalej krokiem, zaiste, skazańca. Dokąd i poco?! Czyż mog-

Iem wiedzieć to w tej straszliwej chwili? Gnał mnie dokądś prawie nieprzytomnego przeklęty instykt samozachowawczy, — groźne i nieublagane prawo Wszechbytu, bawiące się teraz mną, jak dzieci piłką, — a w sercu szalała burza, i we mgle krwawego cierpienia jakieś się rysy zwiadywały najukochańsze i lży bolesne paliły oczy, i najwstydlivszy, najbardziej wiotki szept konał na spękanych wargach.

Oblewało mnie żarem złote, majowe, roześmiane słońce — żar palił się płomykami wybuczającymi w każdym miejscu mózgu, — i nogi stąpały jak po rozpalonych płytach — a jednak szedłem naprzód — powoli, bardzo powoli...

...Zaś we mgle krwawej cierpienia, w dali tej najokropniejszej w życiu mojem chwili rysy się najukochańsze wyraźnie zwiadywały i najboleśniej, najwstydlivszy szept konał na zczerniałych wargach:

...matko... mamoo...

Wiedziałem, że na rogu następnej uliczki stoi budka, sklecona z desek, a w niej stara, siwa, półślepa Walentowa sprzedaje wodę sodową, jakieś tam pierniki i cukierki, i bułki, zawsze świeże bułki. Nawet nie wiem, jak długo szedłem, nawet nie wiem, jak długo stałem tam, opodal tej budki, wiem tylko, że wreszcie dwie świeżutkie buleczki białe znalazły się w mej kieszeni, a nogi, nabrawszy nagle siły i sprężystości, uniosły mnie szybko dalej... dalej... dalej...

Wpadłem do jakiejś ciemnej, cuchnącej bramy i znowu bezsilny, osu-

nałem się na lepkie, brudne deski przegniłej, ohydnej podłogi. Dyszałem. Szatan Życia nagle się we mnie uradował, i podszeptował groźne, cyniczne słowa, i podsuwał uroczne, podstępne pokusy. Lecz oto przymknąłem oczy, i nagle w zwiźdzeniu szybkim jak myśl, a przerażającym jak widmo wśród nocy, ujrzałem własną okropną twarz i dziko płonące, mordercze oczy. Zrozumiałem, że oczyma temi byłbym w stanie zabić, i rozumiałem, że z czoła mego żółto-białego jak słoniowa kość, patrzy już śmierć, która czuwa nademną. A jednocześnie tam w najtajniejszej głębi serca srebrzyście lkał najczystszy dziecienny żal, a rytmicznie a prześpiwnie, a słodkoi z bezbrzeżnym bólem dźwięczały przeciche słowa:

...śnią mi się cudne, cudne oczy,
ani je zdrada, ani żal,
ani ból winy żadnej mroczy...

...żal, żal bezbrzeżny...

.....śni się... matka...

...A serce nie jest już jak lza...

A ze wspomniem dziecka, a z krwawiącą anielskością duszy walczył już teraz tryumfujący Szatan Życia i prześmiechem wspomnienia gnał precz.

Obolałemi, chwiejącemi się już w dżiąstach zębami rozrywałem białą, bielutką buleczkę, jadłem powoli, powoli, z wzrastającą, zwierzęcą rozkoszą.

(ciąg dalszy nastąpi).

Wiktor Przewłowski.



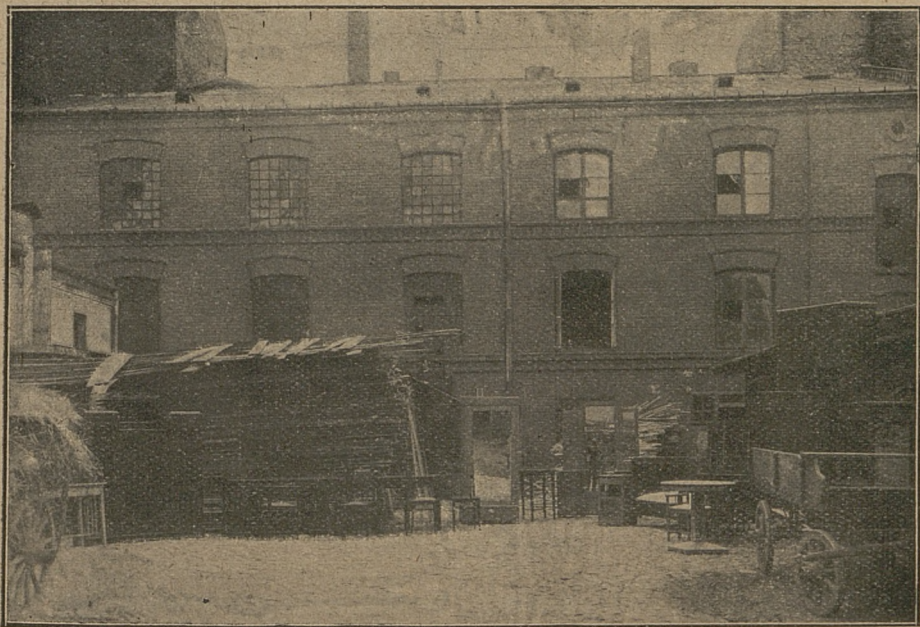
Wytwórnia Mech. Stolarska Inwalidów Woj. w Warszawie

Artykułem tym rozpoczynamy szereg sprawozdań z rozwoju i działalności istniejących dziś inwalidzkich warsztatów pracy. *Red.*

Wytwórnia została założona w roku 1919 przez Sekcję Opieki Min. Spraw Wojskowych z inicjatywy p. d ra Bogackiego. Kierownictwo Wytwórni zostało powierzone p. inż Skwareckiemu.

grabi. Zatrudniono przy tej produkcji około 15 tu inwalidów.

Po pewnym czasie zaczęły wpływać zamówienia na roboty po większej części urządzeń biurowych. To wymagało powiększenia warsztatów



Wytwórnia Mechan.-Stolarska dla Inwalidów Woj. w Warszawie, ul. Pawia 77
Ekspedycja mebli.

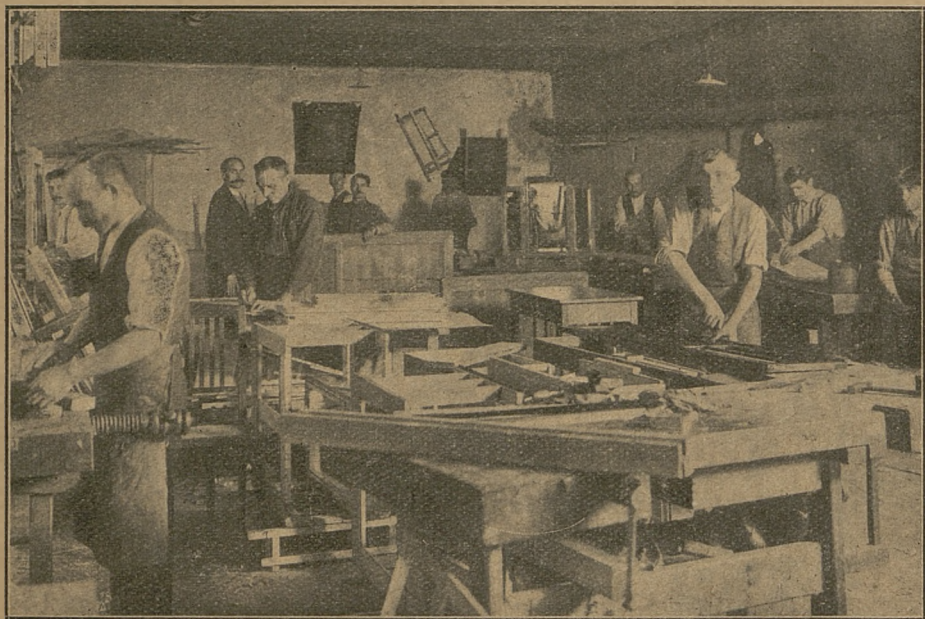
Wytwórnia miała za zadanie zatrudnić i jednocześnie szkolić inwalidów stolarzy. Kapitał jej składa się po części z funduszu Min. Spraw Wojskowych oraz z dobrowolnych składek społeczeństwa. Kapitał ten był bardzo mały, to też o szybkim rozwoju gospodarczym nie mogło być mowy. Środki materialne Wytwórni pozwalały na produkowanie jedynie...

i zaangażowania już wykwalifikowanych stolarzy. Niewątpliwie znaleziono ich wśród rzeszy inwalidzkiej. Natomiast napotkano trudności w technice Wytwórni, której kierownictwo spoczywało w ręku p. Sobiraja. Widząc to kierownik, niezwłocznie zwolnił technika z zajmowanego przezeń stanowiska, a na jego miejsce zaangażował inwalidę woj. p. Stef. Bor-

kowskiego. Dla współpracy technicznej p. St. Borkowski powołał na stanowisko brygadzysty p. Ad. Krukowskiego również inw. woj., jako dobrze wykwalifikowanego stolarza. Wytwórnia posiadając siły fachowe, mimo braku kapitału rozwijała się jednak dosyć pomyślnie do roku 1920. W roku 1920, podczas inwazji bolszewickiej, nastąpiła stagnacja, co ujemnie wpłynęło na dalszy tok spraw gospodarczych.

zdolni prowadzić Wytwórnię. Vice-minister akceptował przedłożony mu memoriał i przesłał go do Sekcji Przemysłu Wojennego dla ostatecznego załatwienia kwestji.

Pertraktacje w tej sprawie z Sekcją Przemysłu Wojennego, a p. Ad. Krukowskim, napotykały na cały szereg trudności ze strony Sekcji Opieki Min. Spraw Wojsk. Pan Krukowski zdając sobie sprawę, że nie dojdzie do porozumienia z Sekcją Przemysłu



Oddział warsztatowy.

Zmiana kierownika, a mianowicie powołanie w 1921 r. na to stanowisko p. inż. Saneckiego nie polepszyło sytuacji gospodarczej. Wegetacja trwała nadal, co skłaniało Min. Spraw Wojskowych do wykonania zamiaru likwidacji. Widząc to, inwalidzi, zatrudnieni w Wytwórni, wyłonili z pośród siebie delegata w osobie p. Ad. Krukowskiego, który udał się na konferencję Min. Spraw Wojskowych, odbywającą się w sprawie Wytwórni inwalidzkich. Ten przedstawił memoriał viceministrowi Spraw Wojskowych, w którym dowodził, że inwalidzi są

Wojen., wiedząc, że Wytwórnia teoretycznie została już przekazana do Demobilu postanowił w porozumieniu z p. Borkowskim, zwrócić się do Min. Pracy i Opieki Społ., które miało przejmować od Min. Spraw Wojsk. wszystkie instytucje, rekrutujące się z inwalidów. Minister Pracy p. Darowski po wysłuchaniu delegacji i rozpatrzeniu przedstawionego mu memoriału, wyraził zgodę przejęcia Wytwórni od Min. Spraw Wojskowych i przekazania jej na spółdzielnię Wytwórczą, na warunkach przedstawionych przez Min. Pracy i Opieki Społ.

W 1922 r. po przejęciu Wytwórni przez Min. Pracy i Opieki Społ., na kierownika ze strony Ministerstwa został mianowany p. M. Kamiński. Dzięki indywidualnym zdolnościom p. M. Kamińskiego i doborowi zespołu administracyjnego, a przedewszystkiem działu technicznego, udało się dźwignąć Wytwornię z grożącej jej ruiny likwidacyjnej i doprowadzić do pomyślnych rezultatów i rozwoju gospodarczego.

dzenie Wytwórni i intensywną pracę ofiar wojny.

Nadmienić należy, że Wytwornia prowadzona jest o własnych siłach, bez jakichkolwiek subsydjów, lub pożyczek tak państwowych, jak i prywatnych.

Dotychczas nie jest nawet unormowany stosunek prawny dla Wytwórni, co do wystawiania weksli itd.

Wytwornia masowo produkuje całe komplety: syp. stoł. gabinet., meble



Oddział warsztatowy

ciągły spadek waluty, brak kapitału i niemożność robienia zapasu surowca, co było jedynym punktem wyjścia w ówczesnym czasie, hamowały szybki rozwój Wytwórni w końcu roku 1922-go i 1924-ym, wszystko to nie wpłynęło zbyt ujemnie na stan gospodarczy, który jednak powoli, lecz stale rozszerzał się we wszystkich działach.

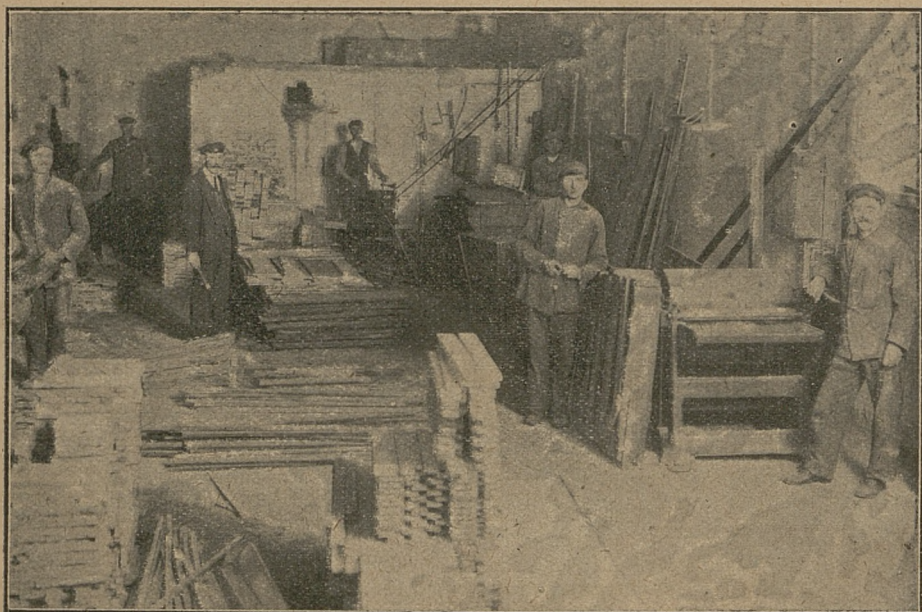
Obecnie Wytwornia zatrudnia około 50-ciu pracowników, kapitał zakładowy wynosi zgorą 70,000 złotych, obrót roczny jest milionowy, oto dorobek wytworzony przez fachowe prowa-

biurowe oraz wszelkie roboty wchodzące w zakres stolarstwa np. ścianki—przepierzenia, półki i t. d.

Poważniejszymi odbiorcami Wytwórni są: Min. Pracy i Opieki Społ., Min. Wyznań Rel. i Ośw. Publ., Min. Spraw Wewn., Izba Skarbowa, Mennica Państwowa, Szkoła Budownictwa i kilka biur meblowych pośredniczących, oraz niektóre instytucje samorządowe i społeczne (Robotniczy Wydz. Wych. Dziecka, Uniwersytet, kilka gimnazjów i t. d.) Poza wymienionymi ministerstwami, pozostaje cały szereg instytucji państwowych,

które prawdopodobnie, zaopatrują się prywatnych przedsiębiorstwach. Jeżeli tak jest, to trudno sobie wytłumaczyć, co ich skłania do tego. Nie może tu wchodzić w grę ani cena konkurencyjna, ani solidność wykonania, ponieważ przedmioty wykonywane w Wytwórni są solidnością dorównyującą, a nawet przewyższają pierwszorzędną firmy prywatne. Ale cóż! „Brak szczęścia!”

Gdyby Wytwórnia posiadała własną autonomię, ewent. gdyby unormowano cały szereg metod prawnych, które jej uniemożliwiają szybkie i skuteczne zaiatwienie spraw, jak np.: protestów i wystawiania weksli, wydawania zobowiązań, zaciągania pożyczek, wyboru lokalu na magazyn i t. d., toby rozwój gospodarczy uległ znacznemu polepszeniu i pomyślne rezultaty możnaby otrzymać o wiele



Oddział maszynowy.

Niedawno, na przetargu Min. Spraw Wojsk. na urządzenie Lotniczej Szkoły Oficerskiej w Dęblinie, pomimo iż Wytwórnia na cały szereg przedmiotów miała ceny konkurencyjne, to jednak nie otrzymała żadnego zamówienia. „Brak szczęścia!!!”

Od chwili założenia Wytwórni, aż do dnia dzisiejszego stale się boryka z trudnościami finansowymi. Obecna stagnacja w przemyśle meblowym szalenie utrudnia prowadzenie przedsiębiorstwa bez większego kapitału i kredytów, to też Wytwórnia ma twarde orzechy do zgryzienia.

Perspektywa pomyślnej przyszłości.

szybciej, a niżeli dotychczas. Zadane przedsiębiorstwo przemysłowe nie mające powyższych elementarnych warunków nie mogłoby egzystować jednego roku, a Wytwórnia w tych warunkach znajduje się lat kilka.

Obecnie zostało zainicjowane przez kierownictwo Wytwórni otwarcie dwóch działów szkolenia fachowego inwalidów: stolarski i tapicerski, do czego Min. Pracy odniosło się przychylnie, obiecując dawać naten cel wszelkie subsydia przewidziane w Dzienniku Ust. Po otwarciu tych dwóch działów, przy napływie kandydatów, będą otwarte inne działy, o których w

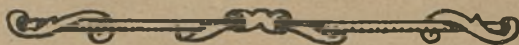
przyszłości nie omieszkam skreślić słów kilka.

Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jaknajpomyślniej, gdyż załatwienie kilku wyżej wymienionych punktów, przyjdzie z pomocą materialną i moralną ofiarom wojny. Wytwórnia, rozszerzając swą działalność gospodar-

czą, da możność zatrudnienia i wykszolenia dziesiątkom inwalidów oraz zaopatrzenia w przedmioty wytworzone przez nią całemu szeregowi instytucji państwowych, samorządowych i społecznych.

Warszawa, dn. 15.VII 1925 r.

Stanisław Wojtowicz.



Przez piekło.

Pod powyższym tytułem wyjdzie niebawem nakładem Instytutu Wydawniczego Inwalidów Wojennych i b. Wojskowych w Warszawie, książka dzielnego podróżnika, Kamila Giżyckiego. Jest to arcyciekawy i barwny opis podróży przez Azję Środkową w latach 1920—21, odbytej w warunkach bardzo niezwykłych. Dajemy tu, za pozwoleniem autora, wyjątki z części trzeciej.

Red.

W obozie Generała Ungerna von Sternberg.

...Posuwaliśmy się brzegiem Selengi, zwanej przez Burjatów „rzeką śmierci”. Nazwa ta jest zupełnie uzasadnioną, gdyż rok rocznie brudne jej a wartkie wody pochłaniają setki ludzi i tysiące sztuk bydła. Dzięki wylewom rzeki, brzegi stanowią najżyźniejszą glebę w całej Mongolji. Dolina rzeki Kezulenu zajmuje już drugie miejsce pod względem urodzajności. To też nasze konie brodziły po brzuchy w wysokiej so czystej trawie.

Nad brzegiem rzeki często widziałem czarne bociany z czerwonym dziobem i nogami, są one w tej stronie pospolitem zjawiskiem, jak również i czarne łabędzie. Dzięki wskazówkom tatarów, żołnierzy stanowiących ochronę intendenty barona, znaleźliśmy ją i jej przewodniczącego porucznika Baranowa, osobistego przyjaciela essauła Bezrodných.

Widok intendenty był imponujący. Całe stada koni, wielbłądów i wołów pasły się w stepie, karawany wielbłądów niosły na północ wozy krup i mąki, a na placu w zacisznej dolinie Selengi między górami, piętrzyły się stosy skrzyń i worów, pokrytych brezentem. Opodal w gaju brzozywym rozpościerały się jurty administracji i żołnierzy.

Mimo ulewnego deszczu ruszyliśmy nazajutrz dalej i po paru godzinach stanęliśmy w obozowisku żandarmerji polowej, skąd wylegitymowawszy się, ruszyliśmy pod eskortą paru żołnierzy przed oblicze naczelnika dywizji Barona Ungerna, zwanego tutaj „Die-duszka”. Teraz spotykaliśmy co krok oddziały konnych w strojach mongolskich, którzy oddawali nam ukłony wojskowe i usuwali się z drogi. Wreszcie wydostaliśmy się na obszerną polanę nad brzegiem Selengi, okoloną stuletniami sosnami, gdzie rozpościerały się majdany i płonęły

ogniska. Na uboczu stał niewielki namiot, na którym trzepotała na wietrze jedwabna żółta chorągiew ze znakami Czingischana — było to mieszkanie generała. W obozowisku panował ruch. Kilkunastu oficerów biegło tam i z powrotem, rozsyłając ordynansów w różne strony. Po chwili zawezwano essauła Bezrodnych do generała, zaś w pół godziny potem przybiegł essauł wzywając mnie spieszenie do naczelnika dywizji.

W namiocie ujrzałem mężczyznę w średnim wieku, blondyna, siedzącego na pół nago przed nikłym ogniskiem, na którym stał mosiężny czajnik. Z pod wysoko sklepionego czoła patrzyły na mnie oczy jasne, świecące, chłodne jak lód.

Z lewej strony namiotu zauważyłem starego lamę trzymającego na otwartej dłoni wróżbiarskie monety chińskie.

Baron Ungern patrzył na mnie nie mrużąc powiek, ja zaś uprzedzony przez essauła Bezrodnych, czyniłem to samo. Po upływie kilku chwil baron zwrócił się do mnie z pytaniem:

„Czemu jeździ pan po Mongolji, zamiast wracać do domu?”

„Po pierwsze nie mam środków na zapłacenie koni, powtóre zmobilizowano mnie bez mojej woli raz w Ułankomie, drugi raz w Uljasutaju”, brzmiała moja odpowiedź.

„A dlaczego pan wojował z bolszewikami w Urjanchaju, zamiast przedzierać się na Wschód?” zapytał Ungern.

Odpowiedziałem, że jako wojskowy czułem się w obowiązku szkodzić nieprzyjacielowi, który rabował i niszczył moją ojczyznę.

Baron chwilę siedział w milczeniu, trąc silnie palcami czoło, potem wstał i podając mi rękę, rzekł:

Dziękuję. Chciałbym aby ci wszyscy, co mnie otaczają byli tacy, jak pan.

Poczem klasnąwszy w dłonie rzekł do nadbiegającego szefa sztabu:

„Ten pan zamieszka w sztabie — osobne rozporządzenia później”.

Tak się skończyło pierwsze moje spotkanie z „krwawym generałem”, przed którym drżeli bolszewicy.

Baron Ungern von Sternberg.

Roman Fiodorowicz Ungern von Sternberg, był ostatnim potomkiem magnackiej rodziny Sternbergów, baronów bałtyckich.

Dziad Romana, pirat, na wyspie Dagö wybudował latarnię morską, którą świecił podczas burzy, zwabiając w ten sposób statki handlowe walczące z żywiołem. Statki te jednak miały znaleźć pomoc i ratunek w cichej przystani, wpadały na skały — Ungern zaś ze swą drużyną mordował kupców i rabował towary. Trwało dosyć długo, wreszcie aresztowano go i wysłano w kajdanach na Syberję. Ród Ungernów nie stracił jednak przywilei rodowych i potomkowie pirata kończyli szkoły w Moskwie lub Piotrogradzie.

Roman Ungern, po ukończeniu wojskowej szkoły morskiej w Piotrogradzie, czas jakiś przebywał przy dworze carskim, lecz za jakąś awanturkę miłosną, przeniesiono go na Zabajkalje. Tutaj wstąpił do pułku kozackiego, gdzie jako młody chorąży walczył z japończykami. W czasie wojny światowej Ungern dał dowody niezwykłej odwagi i okrucieństwa. Zkozakami swemi podchodził oddziały Niemców i wycinał je w pień z taką starannością, że musiano go przenieść na inny front. Kilkanaście razy ranny, odznaczony krzyżem oficerskim św. Jerzego, baron dostał się podczas rewolucji rosyjskiej na Zabajkalje, gdzie z towarzyszem frontu, essaułem Siemionowym, późniejszym hetmanem Zabajkalja, walczył z bolszewikami.

Ungern był buddystą, którą to wiarę przekazał mu umierający dziad. W czasie swego pobytu w Mongolji w 1912 r., Ungern zawarł liczne znajomości z lamami, którzy uczyli go języków

wschodnich, co ułatwiało baronowi, znającemu dobrze języki i literaturę zachodnią pogłębianie swej wiedzy przez czytanie kronik i ksiąg, zawierających mądrość Wschodu.

Przed wojną europejską dopuszczał się Ungern tak ekscentrycznych wybryków, że współkoledzy oficerowie mieli go za warjata.

Awanturnicza natura tego potomka „Raubritterów” i piratów, nie nadająca się zupełnie do wąskich ramek codziennego życia, zarysowała się

wików na sąd generała, który krótkim „kończyć” rozstrzygał los schwytanych. To też trupy pokrywały gęsto okoliczne wzgórza.

Ungern nie znosił obecności kobiet w obozie, a żona jego, księżniczka chińska, stała mieszkała w Pekinie.

Dzięki strachowi i nienawiści, jakie wzbudził wśród prześladowanych, wkrótce osobę jego otoczyły niesamowite legendy.

W okresie upadku rządów generała Kołczaka i „lodowego” pochodu wojsk



Urga.

Nogon-Ławran z grupą lamów.

bardzo wyraźnie w walce ze śmiertelnym wrogiem ludzkości — bolszewizmem.

Za czasów pierwszego bolszewizmu na Syberji, Zabajkalje tworzyło osobne państewko pod rządami hetmana Siemionowa. Wtedy baron rozpoczął antibolszewicką akcję i jako generał dowodził brygadą w obszarach Daurji. Krwawą sławą rozbrzmiewało imię barona od Daurji aż po Mandżurję. Agenci sprowadzali tysiące bolsze-

generała Kappela, baron został zmuszony przez koppelowców, a później bolszewików do opuszczenia Daurji i musiał uchodzić w stępy Mongolji. Zdążył jednak zburzyć olbrzymie forty i składy amunicji, ze sobą zaś zabrał broń, karabiny maszynowe, kilka armat i 700—1000 żołnierzy. Zatrzymawszy się na granicy Mongolji, staczał boje z bolszewikami w nadziei odrzucenia wroga z Zabajkalja przy pomocy powstańców. Niestety, bol-

szewicy, chwyciwszy kraj w żelazne szpony teroru, byli nie do zwalczenia.

Cofnął się więc Ungern nad rzekę Kerulen, próbując skłonić chińczyków, by przepuścili go na Ałtaj dla połączenia się z generałem Wranglem. Gubernator Urgi stanowczo odmówił. Wtedy Ungern postanowił podbić Mongolję, zrobić ją niezależnym państwem, cesarzem zaś obrać Bogdo-gegena w Urdze. Wywoływanie ruchu powstańczego u Mongołów szło z początku opornie, lecz generał, działał wśród masy, przy pomocy niechętnych rządowi chińskiemu lamów i kniazi, rozsyłając jednocześnie niewielkie oddziały z 200 lub 300 ludzi złożone dla konfiskaty chińskich transportów na drodze między Kałganem, Urgą lub Uljasutajem. Wkrótce stał się posiadaczem wspaniale zaopatrzonej intendury i olbrzymich stad koni, wielbłądów i owiec. Liczono 2.000 wielbłądów; zapasy żywności mogłyby starczyć na całe lata dla tej niewielkiej ilości wojska. Jedną z charakterystycznych była ekspedycja 250 ludzi pod odważnym essauem Zabijakinem i zdolnym artylerzystą podporucznikiem W. Ekspedycja ta miała na celu schwycenie na trakcie Kałgańskim karawany chińskiej, złożonej z 700 wielbłądów, eskortowanej przez 500 gaminów chińskich. Oddział, zaopatrzony w jedną armatkę, dwa dni oczekiwał przybycia karawany w miejscu zasadki. Trzeciego dnia nareszcie ukazał się długi sznur jucznych wielbłądów, poprzedzany zbrojnym oddziałem gaminów, jadących wolno i swobodnie, nie mogli bowiem zauważyć ukrytych w falistościach gruntu ungernowców. W chwili, gdy ozwały się karabiny i zaklekotał kulomiot, panika powstała wśród otulonych w długie szuby chińczyków i kilkanaście koni bez jeźdźców pognało w step. Gdy essau Zabijakin, pewny zwycięstwa rozkazał kozakom ruszyć do konnego ataku, a reszty kawalkaty uformowała się tyraljerka, która celnymi strzałami poczęła razić

nacierających, grożąc zniszczeniem. Wówczas, armatka rozstrzygnęła losy zagrożonych kozaków. Pociski armatnie padając w środek taboru wznęcały rozpaczliwą panikę, rozrywały na sztuki ludzi i zwierzęta, podnosiły w górę słupy ognia, szczątków rozbitych towarów i strzępy porozrywanych ciał... Kulminacyjnym punktem okazał się moment, gdy pocisk upadł na grzbiet wielbłąda, dźwigającego skrzynię amunicji i wywołał szalony wybuch. W powietrzu wprost zakłębiło się od szczątków ludzkich i zwierzęcych. Po ogłuszającym huku zapanaowała chwilowa cisza i zupełne obezładnienie całej karawany. Wówczas kozacy, korzystając z oszołomienia przeciwnika, wśród okrzyków „ura”, wpadli na wroga, urządzając rzeź kompletną. Wkrótce miejsce pola walki znaczyła krwawa plama pobojowiska, a zwycięzcy usiłowali opanować rozszalałe wielbłądy i gromadzili zdobywcę, która przechodziła wszelkie oczekiwania. Zdobyto skrzynie kosztownych win i koniaków francuskich, kompotów, mięsnych i rybnych konserw, ciast, cukru i kawioru. Na 150 wielbłądach znaleziono wyborną białą mąkę, dalej całe masy materiałów wybuchowych i amunicji, mundurów, sukna, kilkadziesiąt tysięcy srebrnych tojanów i skrzynię jamb srebra, co stanowiło nielada bogactwo. Późną nocą dopiero zwycięzcy zasiedli przy roznieconych na skrwawionym śniegu ogniskach, racząc się wyborną strawą.

Zdobycie Urgi.

Główne siły wojsk chińskich koncentrowały się w Urdze t. j. stolicy Mongolji, mniejsze zaś oddziały rozrzucone były po większych osadach i ważniejszych punktach terytorjum. Na północnej granicy bolszewickie oddziały pomagały gaminom tępić „Białych”, dzieląc się z Chińczykami zrabowaną zdobyczą. Chińczycy byli bezlitośni dla uciekinierów z raju bolszewickiego. Sami gubernatorzy polecali

starostom chińskim przedstawiać dokładne spisy ludności europejskiej, w szczególności zaś wojskowych przybyłych z Sowdepji. Tych, którzy nie posiadali chińskiego paszportu ani pozwolenia na pobyt i przejazd w Mongolji aresztowano i osadzano w więzieniu. Kto mógł, chronił się pod opiekę wrogich chińczykom Mongołów, inaczej, jeśli nie poniósł natychmiast śmierci spotykały go nieludzkie katusze. Aresztowanych zakuwano w drewniane belki przez szyję i nogi, bito bambusem w pięty i morzono głodem. Więzieni w zimnych wilgotnych piwnicach, gnili we własnych nieczystościach, lub żywcem byli pożarani przez szczury. Jedynie na zachodzie, gdzie kręciły się liczniejsze oddziały „Białych” bezpieczniej było europejczykowi.

Pierwsze oblężenie Urgi przez barona było niefortunne. Przybywszy z Kerulenu po wstępnym boju musiał się cofać, zostawiając kilkadziesiąt trupów i armatę. Udało mu się tylko w okolicy Chara-goł stoczyć zwycięską walkę z wielkim oddziałem chińczyków i czacharów, idącym na pomoc oblężonym. Równie bezskuteczne było następne 3 dniowe natarcie. Położenie Ungerna było bardzo trudne, gdyż Mongołowie chętni do walki z chińczykami w otwartym polu, odmawiali udziału w zdobywaniu miasta, gdzie mieszkał Bogdo-Gegen. Podniesienie ręki Mongołów na to święte miejsce było wedle wierzeń mongolskich świętokradztwem.

Wówczas w głowie generała zrodził się szalony plan wykradzenia z Urgi, aresztowanego przez chińczyków, Bogdo-Gegena.

Poinformowawszy wprawdzie Bogdo-Gegena o swym zamiarze, przeprowadził Ungern kilkadziesiąt śmiałości przez świętą górę Bogdo-Uła i wyciąwszy do nogi straż otaczającą aresztowanego „boga”, uciekł z nim z pośród 12,000 gaminów chińskich, tworzących garnizon Urgi. Teraz można było prowadzić swo-

obodnie oblężenie i Mongołowie nie stawiali co do pomocy żadnych zastrzeżeń. W tych warunkach rozpoczęło się trzecie oblężenie, wspomagane przez okopaną artylerję na świętej górze Bogdo-ula. Chińczycy ufortyfikowali okalające Urgę wzgórze i razili celnymi strzałami z karabinów żołnierzy Ungerna, jednak artylerja chińska była prawie bezsilną, wobec dzielnych puszczarzy barona. Sytuacja dla oblegających była ciężka i jedynie szalona śnieżycą, mrozącą do szpiku kości, dopomagała do rozstrzygającego ataku Ungerna. Widząc, jak chińczycy tracą pozycję za pozycją, generalicja ich rzuciła się do ucieczki, co znów zupełnie zdemoralizowało gaminów.

Na czele kilku sotni kozaków pułkownik Laurjonow wyciął broniących się w Urdze gaminów. Korzystając jednak z zamieszania ukrył znalezione wówczas zapasy złota, za co poniósł z rozkazu barona śmierć. Ungernowcy zdobyli wielkie skarby w pieniądzach, amunicji i odzieży, sześć pudów złota w monecie i piasku, 80 pudów srebra w jambach i sztabach, monecie chińskiej i rosyjskiej, znaczną ilość papierowych chińskich banknotów, wystawionych przez Bank w Kołganie, kilkanaście pak banknotów carskich rosyjskich, pozatem wiele wyrobów jubilerskich i brylantów. Nie brakło i broni, a więc 8 armat, w tem 3 japońskie, górskie działa „Arisaka” 2 połowe rosyjskie „3”, 2 niemieckie górskie „Maksima” i kilka starożytnego rosyjskiego systemu, zaopatrzone w 12,000 sztuk pocisków!

Zdobyto niezliczoną ilość karabinów maszynowych prawie wszystkich systemów europejskich, a nawet parę chińskich wyrabianych w Szanghaju o cudacznych nazwach. Składy zawalone były bronią ręczną i amunicją, jak również bielizną i umundurowaniem. Nie brakło także warsztatów mechanicznych i samochodów. Niepojętem wprost się zdaje, jak Ungern ze swą garstką mógł zdobyć

tak silnie obsadzoną wojskiem Urgę. Przyczyna leżała w samej naturze chińczyków, którzy byli nie żołnierzami, ale kupcami i dlatego posiadali na 12 armat zaledwie 3 szóstki koni artyleryjskich, a w sztabie zamiast planów operacyjnych, znaleziono rachunki i kalkulacje handlowe. Nawet w chwili popłochu, pamiętali oficerowie chińscy o pakowaniu futer i kosztowności, a za ich przykładem gamin, zamiast stawiać opór wchodzącemu nieprzyjacielowi rabowali domy kolonistów.

Owładnąwszy Urgę, rozpoczął baron pościg za pokonanym wrogiem na północ w stronę Majmaczenu i na południeku Ude. Chińczycy, uzbrojeni w karabinki i pistolety Mauzera, nie mogli stać czoła strasznej białej broni kozaków, przyczem jako marni jeźdźcy, rzucali się często do pieszej ucieczki.

Jeden z oddziałów, złożony z 4000 gaminów uciekał w pełnym uzbrojeniu w okolice Sair-Ussu, podążając bezdrożami do Kałganu. Ściągał go z 280 ludźmi i baterją, pułkownik K., który zgubiwszy ślady wśród zawiechy śnieżnej znalazł się w pustyni Gobi. Tu przypadkiem tylko odnalazł ścigany oddział i zmusił go kilkoma armatnimi salwami do kapitulacji.

Trudniej wojować było z Czacharami na północnym odcinku, ci bowiem dzielni synowie stepów, nawykli byli od dzieciństwa do walki. Po pewnym czasie i oni zrezygnowali z oporu i weszli jako wierni sprzymierzeńcy na służbę do Ungerna.

Urga przez kilka dni przeżywała krwawy chrzest, lecz gdy za grabież i gwałty Ungern zaczął karać śmiercią—zapanował spokój. Stolica Mongolji powoli zmieniała swój wygląd. Zniknęły tamujące



Księżna mongolska.

czął karać śmiercią—zapanował spokój. Stolica Mongolji powoli zmieniała swój wygląd. Zniknęły tamujące

przejścia kupy śmieci, naprawiono mosty, puszczono w ruch elektrownię, oświetlając ciemne dotychczas uliczki, montowano radjo-stację, budowano warsztaty mechaniczne i garaże, uruchomiono garbarnię w celu przygotowania skóry dla dywizji.

Jednocześnie odbywano uroczyste obchody na cześć „Chana-Dżandzin Barona”. Generał otrzymał jako chan mongolski 11 białych wielbłądów i 40 siwych koni. Złożono dziękczynne ofiary z racji oswobodzenia Mongolji od tyranji chińskiej, a sędziwy Bogdo-Gegen odznaczył godnościami i orderami oficerów Ungerna. Wkrótce oddziały kozackie wróciły z pościgu i rozlokowały się w mieście, którego komendantem był essaul Bezrodných, a po jego wyjeździe pułkownik Sipajłow, zwany przez żołnierzy „Makarka duszegubiciel wielki”. Był to człowiek pozbawiony zupełnie sumienia. Mordował ludzi z sadystycznym wyrafinowaniem, i często przechwalał się swemi zbrodniczymi czynami. W piwnicy domu, w którym mieszkał, znajdowała się przez niego wynaleziona maszyna do duszenia ofiar, często jednak pracę maszyny zastępował jego pomocnik. Kto tylko miał jakikolwiek dobry wpływ na generała, ten ginął z ręki Sipajłowa.

Okrutny ten człowiek chciał również zamordować Ossendowskiego, lecz Polak dowiedziawszy się o tem, zdołał szczęśliwie uniknąć zasadzki.

Oficerowie, żołnierze i koloniści w Urdze do tego stopnia bali się pułkownika, że za ukazaniem się jego milkły rozmowy, towarzystwo zaś rozchodziło się. Baron brzydził się Sipajłowem, lecz czuł przed nim jakiś fanatyczny strach.

Po wszystkich uroczystościach podróżował często generał samochodem do Majmaczenu i Wan-hure, gdzie przebywał pomocnik jego generał Riezuchin i gdzie odbywano wspólne narady z pułkownikiem Kozagrandi i Szyłowem.

Baron, otoczony jeszcze innemi podobnemi do Sipajłowa ludźmi, jak: Zenia Burdokowski, Wiesiołowski i essaul Matwiejew, zwany dla małego wzrostu „Makar mały”, zdobył, dzięki ich postępowaniu, przydomek „krwawego”. Po powrocie oddziałów z pod Iro i Majmaczenu, które między innemi zdobyczami przywozły cyanek potasu, używany do poszukiwań złota, wysłano nową ekspedycję w okolice Eginkołu, przeciwko gaminom i Czacharom, pod dowództwem sławnego „lwa” Dżan-bałona, wiernego towarzysza generała z różnych potyczek przeciw bolszewikom. Według opowiadań ziomków, kniaź miał łączyć męstwo „barsa”, przebiegłość lisa z gwałtownością ataków orła. Towarzyszył mu znakomity znawca Mongolji, nieustraszony w bojach sotnik Szydłow.

W Ta-Hure.

Urga, owe święte miasto Mongolji, założone zostało przez Chutuchtu Dżebsum Damba Taranatha, drugiego syna Tuszetu chana.

W 1760 r. spalił Urgę doszczętnie Gołdan Baszachtu chan, wódz Dżungarów.

W obecnym czasie Urga zajmuje wielką przestrzeń, dzieląc się na kilka dzielnic, z których największą jest dzielnica klasztorna, następnie zaś europejska (nieco na wschód leży dzielnica chińska) „Majmaczeng”.

Dzielnica klasztorna pełna jest świątyń, pałacyków różnych dygnitarzy, duchownych i świeckich, klasztornych mieszkań i jurt duchowieństwa. Mieszka tutaj kilkanaście tysięcy różnych mnichów, zajmujących się modlitwą, wróżbiarstwem lub leczeniem chorych. Do Urgi zjeżdża tysiące pątników i na klęczkach czołga się do białego domku, zajmowanego przez Bogdo-Gegena. Wokoło tego domku rozciągnięta jest czerwona taśma, przy pomocy której wierni otrzymują błogosławieństwo. Każdy pątnik dotknąwszy czerwonej

taśmy (które) koniec trzyma jakoby Bogdo(-Gegen) składa ofiarę, za co otrzymuje od dyżurnego lany skrawek czerwonej materji, znak odbytej pielgrzymki.

Bogdo-Gegen najwyższy dygnitarz duchowny Mongolji odegrał w jej życiu politycznem ważną rolę. W 1912 r. gdy Mongolja korzystając z rewolucji chińskiej, wyłamała się z pod jej jarzma, Bogdo został ogłoszony chanem i mimo ślepoty prowadził rządę sprężysto. Później jednak, gdy Rosja zajęta była wojną europejską, chińczycy uzyskali swe dawne wpływy i obsadzili Mongolję wojskiem, redukując władzę chana do godności duchownej. Kilkakrotnie chińczycy starali się pozbyć niewygodnego „boga” przy pomocy trucizny, lecz starania te spełzały na niczem.

Gdy w 1921 r. baron Ungern zmusił chińczyków do opuszczenia Mongolji, Bogdo-Gegen został znowu władcą swego kraju, mianując Ungerna chanem.

Wedle przepowiedni Bogdo-Gegen miał być ostatnim wcieleniem Taranathy, oraz ostatnim Bogdo zasiadającym na tronie Mongolji. Przepowiednia ta sprawdziła się w 1924 r.

Listy do inż. Wojciechowicza ułatwiły mi znalezienie kwatery i zaznajomienie się z życiem Urgi. Z inżynierem zbliżyła nas przedewszystkiem wspólność fachu; zawdzięczając jego uprzejmości mogłem zwiedzić warsztaty, elektrownię, garbarnię oraz radjostację. Przy kolacji zebrało się grono oficerów żądnych wiadomości o baronii i dywizji. Nagle do pokoju wpadł komendant miasta pułkownik Sipajłow. Towarzystwo umilkło, Sipajłow zaś zwracając się do obecnych oznajmił, że na rozkaz barona wyjeżdża do Wan-hura. Spuściłem wzrok, aby pułkownik nie wyczytał w nim zdziwienia, gdyż wiedziałem, że generał miał posłać do Urgi rozkaz powieszenia komendanta. Skąd więc ta nagła zmiana rozporządzeń?



Dziewczyna mongolska w stroju świątecznym.

Po wyjściu pułkownika rozmowa toczyła się na temat zbliżania się wojsk bolszewickich do Urgi. Jedni spodziewali się odsieczy ze strony Ungerna, inni wspominali o potrzebie szybkiej ewakuacji miasta. Wielu ludzi nie czekając rozkazów pakowało swój dobytek i uciekało w stronę Buir-noru.

W nocy ruch się zwiększył. Szukano Sipajłowa, aby dokonać na nim egzekucji, w myśl nadesłanego przed chwilą rozkazu. Dobrych jednak miał pułkownik szpiegów w sztabie barona, gdyż dowiedziawszy się wcześniej o wyroku umknął z pomocnikiem, zabierając całą kasę. Dla zmylenia śladów, wymyślił rozkaz wzywający go do dywizji.

Następnego dnia pojechałem za Tołę, gdzie znajduje się właściwy klasztor, świątynie i mieszkanie chana Mongolji Bogdo Gegena. Pczakazano mi kilka świątyń, wśród nich „Majdari”, wybudowaną jako ofiarę mającą ślepemu Bogdo-chanowi wrócić wzrok. W świątyni tej znajduje się olbrzymi posąg Buddy, czy też „bodisatwy”, spoczywający w kwiecie lotosu.

Naokoło ścian starej świątyni rozmieszczony jest szereg bębnow obklejonych papierem z wypisanymi modlitwami. Pielgrzymi i wierni kręcą te bębny, odmawiając w ten sposób modły.

Wnętrze obu świątyń uderza zwiedzającego bogactwem rozwieszonych chałyków, posągów i obrazów „bodisatw” oraz różnych bogiń.

Niektóre z nich siedzą w obłokach na koniach o kilku głowach, lub na słońcach o formach częstokroć potwornych. Wiele bodisatw posiada kilka lub kilkanaście par rąk, w których trzymają różne insygnia swej władzy. Na wspaniałych jedwabnych chorągwiach widnieją wyszyte srebrem symboliczne znaki, lub tybetańskim pismem malowane modlitwy. W nowej „Majdari” wzdłuż ścian stoją szeregi figurek Buddy, rżnięte w drzewie lub kamieniu.

Z pułapu zwieszają się wspaniałe świeczniki, zaś przed olbrzymich rozmiarów posagiem Buddy, zrobionym ze złoczonego brązu, tlą się w bronzowej urnie węgliki, na które lamowie sypią wonne ziola.

Górnej części świątyni nie zdołałem zwiedzić z powodu braku czasu.

Z domu chana Mongolji wyszedłem obdarowany talizmanem w postaci srebrnego jajka, z wrytem imieniem Bogdo-Dżebzung Dambo Chutuchty. Talizman ten miał mnie chronić przed chorobami oraz kulą wroga.

Wyjechałem późną nocą pędząc bez wypoczynku do Wan-hure.

W osadzie panował wielki niepokój, gdyż wiadano tu już o zbliżających się szeroką ławą, wojskach bolszewickich. Książę chosunny Dajcyn-wan zorganizował zbrojny napad na kapitana T. Napad się nie udał, a główny organizator książę, przeszedł do nirwany.

Ogólne wszakże zdenerwowanie nie udzieliło się lamom, którzy świętując doroczne święto obchodzili z procesją kapliczki otaczające hure.

Procesja ta odbywała się przy udziale tłumów odświętnie ubranych mężczyzn i kobiet, harcujących na dzielnych koniach.

Z mieszkania kolonisty K. miałem sposobność przyjrzeć się dobrze całości. Na przodzie procesji szły straszliwe maski lwa, tygrysa i smoków, otoczone tłumem i bandą chłopaków mongolskich, maski te torowały sobie drogę za pomocą pletni i bambusów, a wchodząc na podwórze domów, wymuszały daninę z herbaty, pieniędzy i jedwabnych materji.

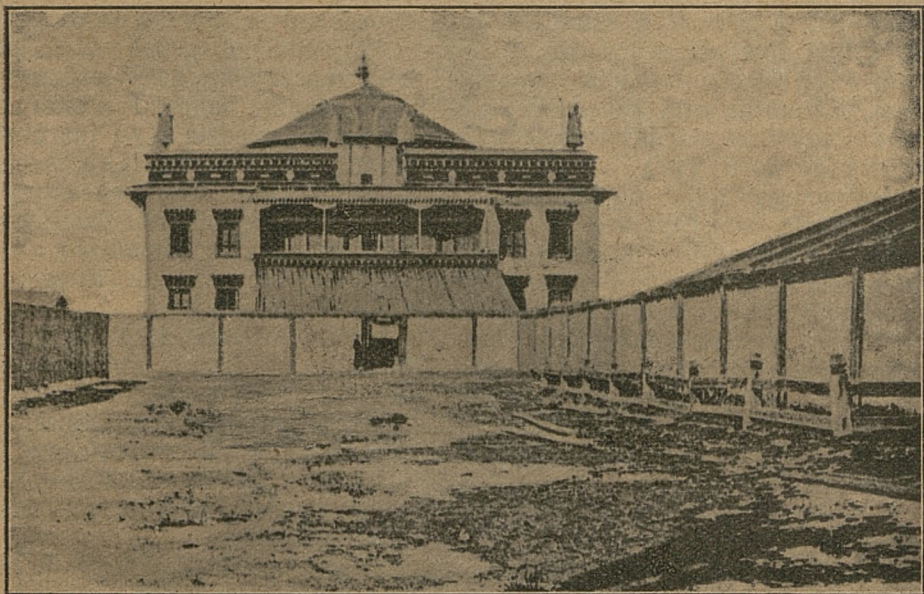
Następne maski, wyobrażenia ludzkich potworów - olbrzymów były mniej natarczywe, ale za to bardziej odstrasające. Wyobrażały one grzechy ludzkie. Dalej ciągnął się podwójny sznur lamów pod baldachimami z żółtej materji. Za nimi postępowali duchowni z pałacami się pochodniami w szatach z czerwonymi szarfami. Mali, uczący się w hure chłopcy, nieśli na barkach kilkume-

trowe trąby, w które dęli potężni mężczyźni, z całych sił, wydobywając tony miękkie, basowe. Srodek pochodu zajmował ołtarz kolarskich rozmiarów, lśniący w promieniach słońca złotymi ozdobami i ciągniony na niskim wozie przez kilkudziesięciu lamów. Między przepyszniemi rzeźbami wznosiła się statua Buddy i symboliczne znaki księżyca, otoczone mnóstwem smoków

czom. Koniec procesji stanowiły zwarte szeregi konnych, przybranych w odświętne, narodowe szaty.

Po skończonej uroczystości odbywały się wyścigi konne, zapasy atletyczne, oraz strzelania z łuków, tej tradycyjnej broni mongolskiej.

Zdumiewałem się patrząc z jaką szybkością i celnością wbijano strzały na odległość 50 kroków w glinianegołowu chińczyków.



Stara świątynia w Urdze.

i potworów. U podnóża posągu siedział siwy i poważny gegen, dusza i mądrość hure, ubrany w powłóczęstą żółtą jedwabną szatę, lamowaną złocistym brokatem. Na głowie miał czapkę, żółtą z jedwabiu, podobną do dragońskiej. Otaczał go aromatyczny dym kadzideł, które sam sypał na żarzące się węgle. Lamowie najwyższych stopni, ubrani w czapki podobne do czapki gegena, lub berety, bogato haftowane, otaczali ołtarz. Za wozem postępowała orkiestra, złożona z piszczałek, fletów i bębnow, wydająca chaos dźwięków stokroć gorszy od „kociej muzyki”, sprawiająca jednak widoczną przyjemność słucha-

Tegoż wieczoru przybył do huresetnik Szydłow, wysłany przez Barona dla objęcia dowództwa jednego z oddziałów pułkownika Kazagrandi. Nazajutrz zaś w dzień imienin kolonisty K. przywiózł essaul Pawelcow rozkaz powrotu mego do dywizji, a polecenie dla kapitana T. wyjazdu do Szabi z rodzinami wszystkich wojskowych z oddziałów Urgerna i Kasagrandi.

Wojska bolszewickie były już podobno koło urtonu Bargataj i zajęły osadę „Fanza” 2-oma brygadami piechoty. Niepomyślnie te wiadomości rozproszyły zebraną u solenizanta gromadkę gości, a mnie skłoniły do

natychmiastowej podróży w towarzystwie kozaka i przewodnika. W drodze spotkałem intendenturę podporucznika Baranowa, uciekającą przed bolszewikami w stronę hure Tset-sen chana.

W obozie, dokąd przyjechałem około północy, panował wielki ruch, przeprowadzano pierwszą brygadę na lewy brzeg. Z powodu zniszczenia mostu przez niedawny wylew, musiano na tratwach przewozić mąkę, cukier, amunicję i armaty. Przeprawa odbyła się pomyślnie, jedynie kilkunastu chińczyków, porwanych prądem rzeki, utonęło. Składając generałowi raport z odbytej podróży, wspominałem, że w Urdze oczekują odsieczy—lecz Baron, patrząc na mnie prawie wesoło, rzekł:

„Czy zna Pan przepowiednię, która zmusza mnie iść w Zabajkalję? Nie? A więc niech pan słuca:

„Przyjdzie z północy człowiek biały, a oczy jego będą jak kawałki lodu. Przejdzie po ziemi jak płomień i śmierć. To będzie bóg wojny, który da szczęście i spokój narodowi Mongolskim. Aby się ta przepowiednia sprawdziła, muszę iść nie do Urgi, ale zalać krwią Zabajkalję—bo stamtąd przyjdzie ów bóg wojny”, mówił Baron, a oczy jego błyszczały fosforycznym blaskiem.

Następnego dnia przeprowadzano jeszcze bydło rogate, co zabrało masę czasu. Barany przewieziono promem, resztę zaś, około 1000 sztuk puszczono wplaw. Nie szło to łatwo, kilkakrotnie bydło zawracało, lub zносиła je woda. Nareszcie z niewielkimi stratami udało się dosięgnąć drugiego brzegu.—Sam Baron w otoczeniu sztabu pilnował konno przeprowadzania. Nagle koń jednego Mongoła zaczął tonąć, pociągając za sobą jeźdźcę. Generał, będąc znakomitym pływakiem, pospieszył z pomocą i w pół przytomnego wyciągnął na ląd. Po przeprowadzeniu się na drugi brzeg rzeki przystąpiłem natychmiast do fabrykacji pocisków gazowych i min

wybuchowych, których próby dały znakomite wyniki.

Tymczasem, cały obóz szykowano do wojennego pochodu i ruch panował we wszystkich oddziałach.

W tym czasie odkryto spisek bolszewicki, zorganizowany przez komunistę, który podawał się za polaka, doktora Jezierskiego. Był to zwyczajny aferzysta, którego po dokonanym śledztwie, wraz z współnikami spisku rozstrzelano.

Jednocześnie przybyło poselstwo od Dalaj-Lamy z Tybetu z bogatymi darami.

Tybetańczycy byli wysokiego wzrostu o szlachetnych rysach twarzy, zwłaszcza piękne były ich czarne głębokie oczy. Różnili się od lamów Mongolskich gęstymi, fryzowanymi czarnymi czuprynami, które spinali srebrnymi kłamrami.

Nowi goście, z którymi szybko zawarłem przyjaźń, zaproponowali mi wyjazd do Lhasy i obiecywali mi stanowisko przy dworze Dalaj-Lamy.—Poniważ Baron nie protestował, więc cieszyłem się niezmiernie, iż będę miał możliwość dotrzeć do serca okultyzmu, zakrytego przed oczami zwykłych Europejczyków. Niestety, Baron w dzień odjazdu Tybetańczyków, niepuścił mi w podróż, tłumacząc to brakiem innego specjalisty. Otrzymałem tylko od moich nowych przyjaciół cenne upominki. Mongołowie otaczali Tybetańczyków niezmierną czcią. Zastępy pielgrzymów błagały o porady lekarskie, wróżby lub błogosławieństwo. Padano przed lamami natwar z i całowano skraj ich szat.

Pewnego dnia przyszła wiadomość o wzięciu Urgi, przyniesiona przez zbiegów ze stolicy. Baron z dnia na dzień był coraz bardziej zdenerwowany, i zmieniał wciąż szefów sztabu. Pułkownika Lwowa posadził na odwach 24 godzinny. Następę jego Tomaszewskiego obił tohurem i odesłał do pułku.

Miłość żołnierzy do nowego Barona jeszcze nie osłabła, chociaż obawiano się go jak ognia.

W pochodzie do Rosji

Niespodziewanie pewnej nocy zatrąbiono na alarm. W ciągu jednej godziny wyruszyły w drogę pułki kawaleryjskie, artylerja, stada, wreszcie tylna straż. — Ja ze swą komendą gazowo-wybuchową, miałem oczekiwać osobnych rozkazów. Po paru godzinach okazało się, że alarm wszczęto dla wypróbowania sprawności wojsk. W 2 dni potem wyru-

zmiany pozycji dział. Korzystając z tego nasz pierwszy pułk rzucił się do ataku. Powitany gęstymi karabinowymi strzałami, nie zachwiał się, lecz dopadłszy bolszewików, jał ich ciążą białą bronią. Pod takim naporem zachwiały się kolumny bolszewickie, lecz natychmiast otrzymały pomoc całej brygady. Groźną sytuację uratowały szrapnele pierwszej baterji porucznika Balka, którego spokój i zimna krew przyczyniła się do



Jurta mongolska.

szliśmy jednakże w stronę Dżun-Dżaszaku, gdzie przodowe oddziały nasze toczyły bój z bolszewikami. Przybyłem tam z 3 ciążą baterją z kapitanem na czele, złożoną z dwóch wybornych dział „Arisaka” i opatrzoną kruppowską amunicją.

Zajawszy wskazany przez Barona punkt, udaliśmy się z kapitanem dla obrania miejsca obserwacyjnego na jedno ze wzgórz. Armaty czerwonych zasypywały ogniem naszą spieszoną konnicę, a karabiny maszynowe siekły ją gradem kul. Kapitan O. zmusił celnymi strzałami tyraljerę bolszewików do cofnięcia się i do

ocalenia pułku. Niespodziewane jednak przerwanie przez wrogów lewego skrzydła chińskiego dywizjonu i zajęcie nam tyłów przechyliło znów szalę zwycięstwa na stronę czerwonych. Walka przeszła w krwawy morderczy bój, ostatecznym rezultatem którego było zdobycie przez chińczyków bolszewickich armat. Jednocześnie bitwa tocząca się na prawym skrzydle zaczęła przybierać zatrważający dla nas obrót. Rozbicie dywizjonu mongolskiego wzbudziło panikę w szeregach Ungernowców, pierzchających w popłochu pod naciskiem wrogów. Na widok blizkiej klęski rzucił się

Baron, na czele sławnej 5-tej sotni Orenburców, do ataku, wskrzeszając ducha w ogarniętych paniką szeregach. Sytuacja została uratowana. Bitwa pod Azun-Azasakiem skończyła się zupełną porażką bolszewików. Od jeńców dowiedzieliśmy się, iż sztab generalny 5 tej armji sowiec-

kiej był tak pewny pojmania Barona, iż obsadziwszy wojskami wszystkie drogi prowadzące z Mongolji do Rosji, obchodził już 3 lipca 1921 r. w Irkucku święto zwycięstwa nad Ungernem.

Kamil Giżycki.



Wielka opowieść

O osadach żołnierskich w Republice Obietnickiej, czyli
NAGRODA ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ.

Jan Wszędyraj i Paweł Małolepszy nierozdzielni byli przyjaciółmi. Razem ku wielkiej swej ucieście, a utrapieniu rodziców, kształcili się w gimnazjum i razem też poszli wycierać pewną część spodni na ławach Wyższej Szkoły Agronomicznej. Cztery lata zaledwie, a skończonemi zostaną ludźmi.

Na szczęście, w pięć lat po wstąpieniu na studia, wybuchła wojna światowa; jak z pod ziemi wyrosły legiony.

Wszędyraj, dowiedziawszy się o wojnie, wpadł do mieszkania jak wichler, krzyząc: Paweł! Wojna! Idziemy do wojska. Jaka wojna, gdzie, z kim? wypytywał się Małolepszy, a dowiedziawszy się nieco szczegółów, rozpromieniony jak pensjonarka, czytająca oświadczyły miłosne wierszem, pobiegł wraz z przyjacielem zapisać się do legionów.

Minęło sześć lat.

Jasny dzień wiosenny obudził naszych przyjaciół, wypoczywających na wygodnych, choć niewyścielanych ławkach, jednego z dworców kolejowych w Warszawie. Zerwali się więc obaj rzeźcy i wypoczęci, poprawili swój ubiór, przypominający umundurowanie jazdy Budiennego,

wyglądzieli wstążeczki orderów i ruszyli w drogę.

Szczęśliwie po upływie zaledwie czterech godzin odnaleźli odpowiedni urząd, który poinformował ich, gdzie znajduje się urząd, mogący udzielić im wiadomości o miejscu urzędowania — Wydziału Osad Żołnierskich.

Obaj przyjaciele dostawszy się narreszcie do właściwego urzędu, zwrócili się do odpowiedniego referenta o wskasówki, jak dostać ziemię.

Pan referent Matolkiewicz, pomocnik naczelnika 197-go oddziału Wydziału Osad Żołnierskich, człek niezmiernie przyjemny, wyjaśnił im:

— Hm. Osady? Ziemia? Zdaje mi się, że coś wiem, ale zaraz sprawdzę. I rzeczywiście, przejrzawszy pobieżnie 23 grubych tomów rozporządzeń w tej materji, zdecydował:

— Tak, tak. Ziemia jest, jest. Muszą panowie złożyć podanie z opłatą stemplową:

- 1) Zaświadczenie o odbytej służbie wojskowej.
- 2) Dowód otrzymania orderu „Virtuti Militari“.
- 3) Dowód zwolnienia z wojska.
- 4) Świadcstwo niekaralności sądowej od prokuratorji.

5) Świadcstwo moralności, poświadczone przez policję i miejscowego proboszcza.

wszystkie przeszkody, ruszyli w drogę do raju, zaopatrzeni w odpowiednią ilość papierków urzędowych.



6) Świadcstwo ubóstwa.

7) Zaświadczenie o posiadaniu odpowiedniego kapitału na założenie gospodarstwa.

Nasi przyjaciele potrosze mdleli, ale, że byli zahartowani w bojach, więc wytrzymali.

Upłynęły malutkie 4 miesiące, a nasi bohaterzy, przewyciężywszy

Wesoło im było na duszy i bardzo lekko w żołądku, gdy poczuli hamowanie pociągu na stacji „Zabytoja” końcowym etapie, podróży w wygodnym wagonie 3-ej klasy. Wysiedli tedy z pośpiechem i radością.

Za chwilę zobaczą własną ziemię, rozpoczną pracę na własnym gospodarstwie...

Wyszli za stację, nie było żywego ducha. Nie było rady. Zwrócili się o informację do zawiadowcy stacji, jak mają iść do „Hadów Pohanych”. Pójdą panowie tą drogą na wschód.

A jak to daleko, rzucili nieskromne pytanie.

Będzie ze 120 wiorst z okładem — brzmiała odpowiedź.

Ruszyli tedy w drogę oświadczeni, ale nie ucieszeni.

Szli jeden dzionek, szli drugi, a w drodze przyświecała im światłość, niby słup ognisty, wyprowadzający Mojżesza wraz z ludem izraelskim z domu niewoli, a na onej światłości stało jak drut „Osady Żołnierskie”. Szli więc dalej, aż wreszcie dnia piątego, nocą, dostali się do wioski. Zastukali do jednej z chałup, a gdy na zapytanie „czego” wytłumaczyli, że chcą spać, wyszedł chłop rośły, do zbója podobny, wypytał się, czy aby nie są osadniki i dokąd idą, wpuścił ich do chaty, a sam poszedł przynieść słomy.

Wypoczęli więc dwaj przyszli obywatele ziemscy przez całą dobę, poczem ruszyli na własne śmiecie, jak mawiał Wszędyraj.

Parcele osadnicze oddalone były zaledwie o wiorst 30 ci, następną więc noc spali już na własnej ziemi, przykryci wspólną derką i płaszczem z gęstej mgły.

Obudził ich ranek słoneczny, choć nieco chłodny. Porwali się tedy na równe, a skostniałe nogi i pośpieszyli obejrzeć swe posiadłości.

Widok nie był pocieszający. Wokół kamienie polne większe i mniejsze gęsto pokrywały rolę.

Wszędyraj, jak zawsze, nie tracąc na minie, jakby tłumacząc sobie i przyjacielowi, rzekł: — Oho, trochę dużo, ale to nic, będzie z czego budować, zaraz weźmiemy się do zbierania, to czysty zarobek, tylko trzeba zebrać i zwieść, a konia i wozu niemamy.

To się zrobi Pawełku, rzucił Janek, ale najpierw trzeba urządzić legowisko do spania, wszak do wsi

spacerować nie możemy, a na deszczu spać nie myśle.

Wzięli się więc do roboty rażno i pod wieczór gotowe było schronisko piękna ziemianka, kamieniami kryta, dla upiękśzenia zaś obłożona darnią.

Spracowani i głodni legli spać na wygodnych tapczanach z mchu, ożywieni nadzieją lepszego jutra.

Upłynęło może ze trzy tygodnie żmudnej pracy, gdy otrzymali zawiadomienie, że w miasteczku powiatowym mają do odebrania, przydzielonego im przez Osadnictwo, konia.

Ruszył tedy Małolepszy w drogę, gdyż nogi miał mocniejsze, a do powiatu było 275 wiorst.

Oplaciło się jednak, gdyż szkapa była rośła, dobrze zbudowana, choć nieco wychudzona i trochę kulawa.

Paweł, że nie zniechęcał się nigdy, więc kupił wózek za resztę gotówki i ruszył z powrotem.

Chwilowo wątpił nieco czy dojedzie, zastanawiał się więc, czy wózek zostawić, a konia zanieść, czy też odwrotnie uczynić; obeszło się bez tej ostateczności, gdyż szkapina podkarmiona kilkakrotnie w przydrożnym owsie nabrała nieco sił i na dziesiąty dzień dociągnęła wózek wraz z Pawłem do osady.

Dnie płynęły za dniami w ciężkiej i mozolnej pracy, przy zbieraniu kamieni i zwożeniu ich na miejsce przyszłej budowy. Nazbierali już tego budulcu sporo, a nie ustawali w pracy.

Szkapa, zaprzęgana stale do wózka, dziwiła się ciągnąc wózek z kamieniami, dziwiła się też, gdy ją puszczano na kamieniste pole zwane pastwiskiem, nie rozumiejąc poco to czynią, gdy tam nic prócz kamieni niema.

Nadeszły zniwa. Przyjaciele wystarali się o jakiś stary sierp i poczęli przyspasabiać swoją chudobę do zbioru plonów.

Wszędyraj, naostrzywszy sierp, nałożył binokle i ruszył szukać po polu kłosów do zżęcia. Małolepszy zaprzął szkapinę do wozu.

Po dwudniowej mozolnej pracy, cały plon przedstawiał w sumie 23 snopków, co po wymłóceniu dało pół korca żyta.

Zamyślił się Małolepszy, a i Wszędyraj nawet zwiesił głowę i szepnął po chwili „To na zimę i na zasiew trochę za mało”. „Hm. Jakoś tam będzie, najwyżej schudniemy trochę”, — mruknął Małolepszy.

Zbliżała się zima mroźna i ostra, pokrywając ziemię całunem białego śniegu.

Co będzie? — pytał Paweł Wszędyraj „Zima coraz cięższa, jedzenia coraz mniej”.

„Głupstwo” — słyszał odpowiedź. — Piecyk mamy przecież, jedynie drzewa i węgla brak, a żywność? Furda. Jeszcze trochę schudniemy, po śmierci psuć się nie będziemy, ale wyschnięci i zamrożeni, przeobrazimy się w mumje. Jeśli nas potem znajdą, będzie wielki krzyk, że mają „rodzimych Faraonów”...

W początku 1927 r. jedno z najpoczytniejszych pism codziennych „Sno-



Szkapa wynędziała, jak i jej dziadzi, a spracowana zwózką kamiennych plonów, czuła dla nich miłość prawdziwą, — wzięła i zdechła, nie chcąc przez długi okres zimowy, uszczuplać ich skromnych zapasów.

Osieroceni przyjaciele zdarli z niej skórę i próbowali uszczypnąć kawałeczek mięsa. Niestety... Nic podobnego na jej starych kościach nie znaleźli.

Całym ich pozywieniem były pieczone „wrony z różną”, których upolować nie było trudno, a czasami na deser kawałek chleba lub pyrka pieczona w popiele.

Mimo to, zapasy zmniejszały się szybko.

by” doniosło o niezwykle odkryciu uczonych historyków. Sprawozdanie brzmiało, jak następuje:

„Dnia 27/VII r. b. wobec licznie zebranej publiczności, z wyższych sfer inteligencji, profesor X... wygłosił sprawozdanie z odnalezienia grobów z przed paruset tysięcy lat. Oto, co mówił:

„Jak stara jest nasza kultura, świadczą odnalezione przez nas groby z przed paruset tysięcy lat, w których oprócz wielu narzędzi żelaznych, zupełnie podobnych do używanych jeszcze niedawno przez naszą ludność, znaleźliśmy dwie doskonale zakonserwowane mumje, prawdopodobnie jakichś znakomitych wodzów,

z których jeden był inwalidą. Mumje ubrane są w mundury, zupełnie podobne do używanych przez naszą armję w roku 1920-m, a na piersiach mają ordery.

Podkreślić należy fakt zadziwiający, już nie samej kultury naszego ple-

dzia rolnicze i medale wojskowe, znalezione przy wykopanych mumjach!!.

Ten rząd nasz i parlament, to prawdziwe, przepowiadane 444 + 111. Cześć im! Niech żyją! Sto lat! Sto lat! Sto lat!



mienia w tak odległych wiekach, bo ją przeczuwaliśmy, ale dzisiejszy właśnie dobór rządu i parlamentu, które wiedzione instykiem plemiennym, zastosowały te same urządzenia państwowe i system administracyjny, jakie stosowali nasi przodkowie przed paruset tysiącami lat, na co wskazują: mundury, broń, narzę-

Na zakończenie, korzystając z obecności kilkuset przedstawicieli wielkiego przemysłu i bogatego ziemiaństwa, urządzono zbiórkę pieniężną na fundusz „Budowy Mauzoleum”, przyczem zebrano 6 pecyn 37 grajbarów (co na walutę polską stanowi 7 zł. 21 groszy).

Rajmund Dżisiewski



Ubezpieczenia na wypadek choroby w Polsce.

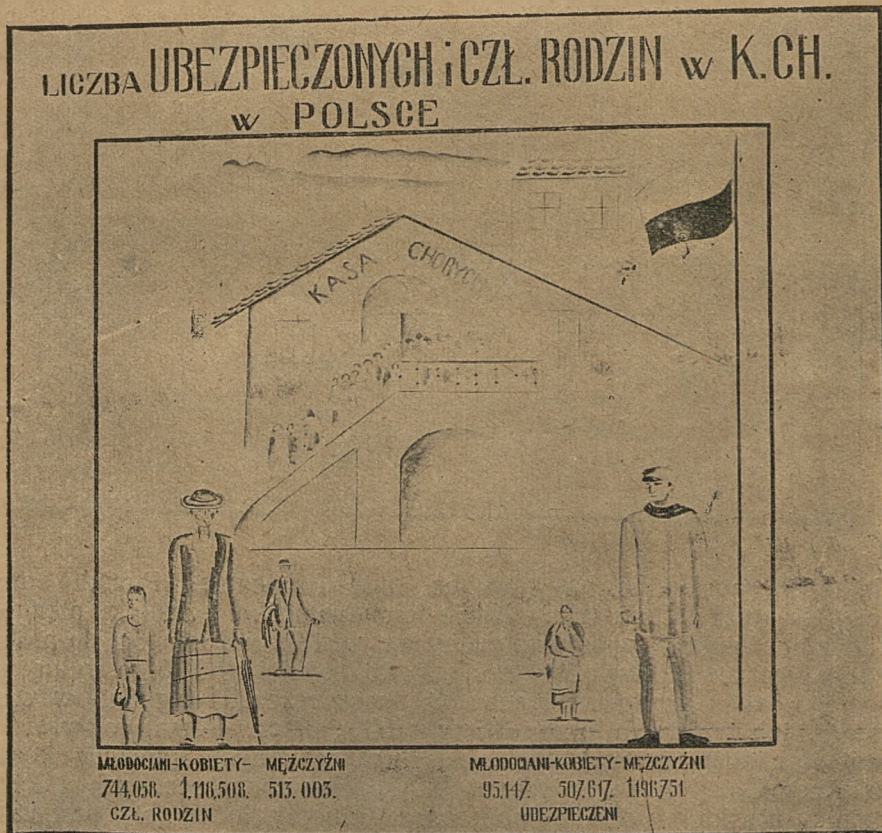
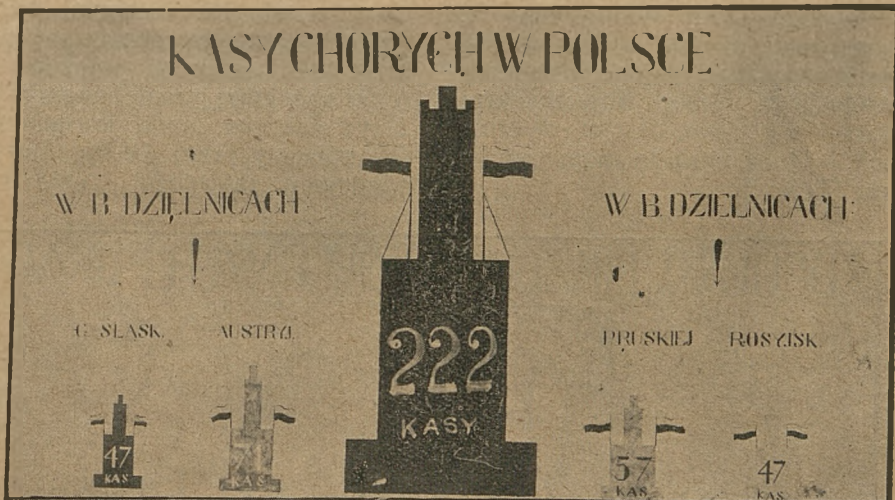
Ubezpieczenia na wypadek choroby są jednym z działów pracy obywateli instytucji zwanej ubezpieczeniami społecznymi. W Państwach Europy Zachodniej ubezpieczenia społeczne są instytucją starą. Kraj nasz aż do uzyskania niepodległego bytu dzielił i w tym względzie losy swych zaborców. Mielśmy więc ubezpieczenia społeczne w b. dzielnicy pruskiej i austriackiej, natomiast w b. dzielnicy rosyjskiej, największej i najbardziej uprzemysłowionej, nie było ich wogóle.

Wojna, okupacja, bezrobocie i choroby dotknęły najbardziej b. dzielnicę rosyjską. Ludność pracująca, nie mając pracy ginęła z powodu złego odżywiania, choroby dziesiątkowały przede wszystkim niasta. Rezultatem tego smutnego faktu była stale zwiększająca się śmiertelność dzieci i coraz większa liczba chorych (i umierających) na gruźlicę, choroby weneryczne, tyfus plamisty i t. d. W innych dzielnicach polskich stosunki były nieco lepsze (szczególnie w b. dzielnicy pruskiej). Już w pierwszych dniach niepodległości okazało się, że R. P. musi stworzyć instytucję o charakterze społecznym i przymusowym, która dawałaby chorej i zmniejszonej wojną ludności pracującej, dobrze zorganizowaną pomoc lekarską, lekarstwa i zasiłek pieniężny na wypadek choroby. Poszliśmy utartym i wypróbowanym wzorem państw Zachodnich, tworząc ubezpieczenia społeczne na wypadek choroby. Rozumiejąc ważność (dla Państwa i ludności) ubezpieczeń na wypadek choroby już pierwszy Rząd ludowy inż. Moraczewskiego wydał dekret „o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby” z dnia 11 stycznia 1919.

Dekret ten stał się podstawą uchwalonej, z nieznacznymi zmianami przez Sejm Ustawodawczy „ustawy o obowiązkowym ubezpieczeniu na wypadek choroby” z dnia 19 maja 1920 r. czyli, jak ją w życiu codziennym nazywamy „ustawy o Kasach Chorych”.

Na podstawie tej ustawy w każdym powiecie państwa tworzy się Kasę Chorych, w której wszyscy ludzie, trudniący się zawodowo pracą najemną (z wyjątkiem urzędników państwowych z nominacji, pracowników kolei państwowych oraz dyrektorów przedsiębiorstw, zarabiających powyżej 7.500 zł. rocznie), są obowiązkowo ubezpieczeni w Kasach Chorych. Ponadto podlegają ubezpieczeniu t. zw. „chałupnicy” i robotnicy niestale zatrudnieni. Na podstawie odnośnych rozp. władz państw. nie podlegają niestety ubezpieczeniu robotnicy rolni i leśni w b. dzielnicy rosyjskiej, a po części także w b. dzielnicy austriackiej. Praca organizacyjna po uchwaleniu ustawy biegła w dwóch kierunkach: w b. dzielnicy austriackiej i pruskiej dostawiano Kasy tam istniejące do nowych wymogów ustawowych, przez łączenie ich w Kasy Powiatowe, zaś w b. dzielnicy rosyjskiej stworzono zupełnie nowe instytucje. W ciągu niespełna jednego roku zakończono prace w b. dzielnicy austriackiej i pruskiej, zaś w b. dzielnicy rosyjskiej organizacja ma być ukończona do I.VI.1926 r. W województwie warszawskim, łódzkim i kieleckim mamy już Kasy we wszystkich powiatach, zaś w innych województwach jest jeszcze wiele do zrobienia. W dn. 1.I.1925 stan organizacyjny K. Ch. w R. P. przedstawiał się w sposób następujący.

W ciągu r. 1925 liczba Kas w b. dzielnicy rosyjskiej wzrosła, albowiem powstały Kasy w woj. warszawskiem, po prawym brzegu Wisły. Tablica Nr. 2 ukazuje nam liczbę ubezpieczonych i ich rodzin, którzy mają



prawo korzystania ze świadczeń K. Ch.

Cyfry te dają nam obraz olbrzymiego dzieła, jakie stworzyła niepodległa Polska! Każdy siódmy człowiek w kraju naszym miał prawo korzystania z bezpłatnej pomocy lekarskiej ew. zasiłków. Stan zdrowotny kraju poprawił się znacznie w ostatnich latach. Dużą zasługę mają w tem Kasy Chorych.

przychodniach. Ambulatorja te uważać należy za wielki postęp w dziedzinie lecznictwa społecznego, albowiem dzięki im można zapewnić chorym należyte leczenie, odpowiadające wymogom dzisiejszej wiedzy lekarskiej. Kobiety położne otrzymują specjalną pomoc lekarską przez 8 tygodni, zaś matki karmiące zasiłek mleczny przez 12 tygodni, odpowiadający zazwyczaj cenie 1 litra

OGÓLNA LICZBA UDZIELONYCH PORAD

W POLSCE



12.649.265.

W B. DZIELNICACH
ROSYJSKIEJ



7.771.701

PRUSKIEJ

AUSTRJACKIEJ

2.798.337

1.785.793

G. SŁASK

293.434

Jakie obowiązki ma Kasa wobec ubezpieczonych i ich rodzin? Udziela ubezpieczonym bezpłatnej pomocy lekarskiej przez 26 tygodni, zaś od trzeciego roku istnienia przez 39 tygodni, ich rodzinom przez 13 tygodni oraz lekarstw bezpłatnych. Nasze Kasy Chorych (z wyjątkiem b. dzielnic pruskiej) udzielają pomocy lekarskiej w t. zw. ambulatorjach czyli

mleka dziennie. Ponadto otrzymują ubezpieczeni zasiłek pieniężny na wypadek niezdolności do pracy przez 26 tygodni (od 3-go roku istnienia kasy przez 34 tygodni) w wysokości 60% płacy. Kasa pokrywa również (w ustalonych sumach) koszty pogrzebu ubezpieczonych i ich rodzin. Chorzy leczą się przeważnie w ambulatorjach kasowych, albowiem

na 12 milionów porad, udzielonych w Kasach naszych w roku 1924 udzie- lono 10 milionów porad ambulatoryj- nych

Rady swych mężów zaufania, mają gwarancję, iż ci Kasę dobrze popro- wadzą. Ponadto praca w Zarządach i Radach i poczucie odpowiedzial-

OGÓLNA LICZBA UDZIELONYCH PORAD W AMBULATORIACH

W POLSCE



10.903.539

B. DZ. ROSYJSKA



← 6.802.000

B. DZ. AUSTRIACKA



1.177.510

B. DZ. PRUSKA



2.264.405

G. SŁASK

359.596

Podstawą dochodów K. Ch. są składki członkowskie, z których $\frac{2}{5}$ opłacają ubezpieczeni, resztę ($\frac{3}{5}$) pracodawca. Wysokość składki zależy od wysokości płacy (zarobku) ubezpieczonego i wynosi $6\frac{1}{2}\%$ od płacy.

Kierownictwo Kasy spoczywa w rękach ubezpieczonych i pracodawców. Wybierają oni w głosowaniu proporcjonalnym i równym Radę ($\frac{1}{3}$ pracodawcy, $\frac{2}{3}$ — ubezpieczeni), ta zaś wybiera Zarząd (w tym stosunku), którzy przy pomocy dyrektora kieruje Kasą. Oddanie kierownictwa ubezpieczonym ma b. wielkie znaczenie, albowiem ubezpieczeni wybierając do

ności za instytucję społeczną staje się szkołą wyrobienia obywatelskiego.

Wszystkie Kasy łączą się przymusowo w Związki Okręgowe, a te zaś tworzą Związek Ogólno-Państwowy. Związki te zakładają sanatoria, rozmaite zakłady lecznicze i t. d. W ten sposób na drodze samopomocy Kasy ulepszają swe urządzenia. Ponadto Związki te i państwowe urzędy ubezpieczeń kontrolują Kasy i ich gospodarę.

Przedstawiliśmy w najogólniejszych zarysach działania Kas Chorych. Już przedtem stwierdziliśmy, jak wielkie znaczenie posiadają one dla naszego życia społecznego. Dzięki nim

kilka milionów ludzi, którzy dotychczas szukali porady u znachorów lub „babek” położnych otrzymuje bezpłatne porady lekarskie, lekarstwa ew. zasilek w czasie choroby. Nasze Kasy są jeszcze instytucjami młodem, posiadają dużo braków wynikłych z ogromu zadań, jednak mimo to stwierdzić możemy, iż Kasy Chorych są jedną z największych zdobyczy niepodległej Polski.

Red.

KASA CHORYCH W ŁODZI.

Kasa Chorych m. Łodzi istnieje od dnia 3 kwietnia 1922 r. Jest ona po Kasie Warszawskiej największą Kasą Chorych w Polsce. Teren jej działalności obejmuje nie tylko samo miasto Łódź, lecz również i powiat łódzki wraz z jego czterema ośrodkami przemysłowymi: Zgierzem, Aleksandrowem, Rudą-Pabjanicką i Konstantynowem. Stan liczebny uprawnionych do świadczeń wykazywał na dzień 1 czerwca 1925 r. 145,833 członków, opłacających składki oraz 160,416 członków rodzin, razem osób 306,251, co odpowiada 60% w stosunku do ogółu ludności, zamieszkałej w okręgu Kasy.

Ster instytucji spoczywa w rękach władz autonomicznych, t. j. Zarządu i Rady, wybranej drogą powszechnego głosowania ubezpieczonych i pracodawców w dniu 17 kwietnia 1924 r. Przewodniczącym Rady jest wiceprezydent m. Łodzi inż. Wacław Wojewódzki, jego zastępcą p. Marjan Andrzejak. Na czele Zarządu stoi, jako przewodniczący p. Franciszek Kałużyński, przywódca miejscowego klasowego ruchu zawodowego. Mandat zastępcy przewodniczącego sprawuje p. Andrzej Kazimierczak, kierownik Polskich Związków Zawodowych.

Dyrektorem Kasy jest dr. med. Jakób Arct, lekarzem naczelnym Dr. Henryk Kluszyński, szefem sekcji finansowo-gospodarczej inż. Lucjan Szuster.

Kasa zatrudnia 238 lekarzy, 58 dentyistów, 47 felczerów, 48 pielęgniarek, 393 urzędników, 103 farmaceutów, 10 chemików, 4 laborantów, 235 akuszerki i 214 osób służby, w tem 50 rzemieślników.

Pomoc lekarska udzielana jest chorym w 6 ambulatoriach miejskich, 4 ambulatoriach powiatowych, oraz 42 ambulatoriach fabrycznych. Ambulatorja miejskie i powiatowe odpowiadają typowi poliklinik, obejmując po kilka lub kilkanaście specjalności lekarskich. W 4 większych lecznicach udzielane są porady we wszystkich specjalnościach.

Przy jednej z lecznic funkcjonuje zakład fizykalnych metod leczenia, składający się z 3 działów, a mianowicie: 1) Oddział Roentgenowski (2 aparaty do djaгностиyki i 1 aparat do powierzchniowej i półgłębokiej terapii), 2) Oddział lamp kwarcowych (4 lampy kwarcowe i 6 „Solluxów”), 3) Oddział elektroterapii (2 aparaty do dja-termji, 3 pantostaty, 1 kąpiel 4-komorowa i 10 kąpeli żarnych)

Ambulatorja fabryczne udzielają porad z zasady tylko w chorobach wewnętrznych, jednakże przy ambulatorjach, obsługujących większe zakłady przemysłowe, zaprowadzone są również poszczególne ordynacje specjalne. Porady dentystyczne udzielane są w osobnym centralnym zakładzie dentystycznym. Niezmiernie doniosłą rolę w lecznictwie kasowym odgrywa własny zakład dla badań klinicznych i bakteriologicznych, należący według opinii rzeczoznawców, do najlepszych tego rodzaju instytucji w kraju. Leki wydawane są w 6 aptekach kasowych, obok których Kasa posiada także własną składnicę apteczną, oraz laboratorium farmaceutyczne. Chorzy obłożnie obsługiwani są przez lekarzy rejonowych, których liczba ma być wkrótce znacznie powiększona. W nagłych wypadkach Kasa udziela pomocy przez 2 pogotowia, w tem jedno specjalne-położnicze. W szerokich rozmiarach stosowane jest leczenie szpitalne,

przyczem chorzy umieszczani są we wszystkich łódzkich szpitalach publicznych oraz licznych prywatnych. Ze względu na ogromne rozpowszechnienie gruźlicy w Łodzi, Kasa nie ograniczyła się do udzielania tej kategorii chorych porad w ambulatorjach, w domu i w szpitalu, lecz założyła własny „Dom Zdrowia” w Zakopanem, gdzie stale przebywa 50 kuracjuszy. Prócz tego Kasa wysyła chorych do innych miejscowości klimatycznych i zdrojowych, jak Oborniki, Smukała, Otwock, Krynica, Rabka, Wodzisław, Busk, Ciechocinek, Zegiestów, Iwonicz i Truskawiec. Specjalną opieką otacza Kasa dzieci członków, wyćylając je do niektórych z wyżej wymienionych miejscowości, jak również na kolonie lub półkolonie letnie.

O ogromie ruchu chorych, który przelewa się nieustannie w ramach naszkicowanej wyżej organizacji pomocy lekarskiej świadczą następujące cyfry, zaczerpnięte ze statystyki za rok 1924.

Porad ambulatoryjnych udzielono 1,621,720, domowych 261,422, w szpitalach leczyło się 10,814 pacjentów Kasy Chorych przez ogólną liczbę 242,469 dni szpitalnych. Przeciętnie na jednego chorego przypadało 22 i pół dnia pobytu w szpitalu. Akuszerki Kasy Chorych odebrały 10,104 porodów. Za niezdolnych do pracy uznano 38,104 osoby, które też pobierały podczas choroby zasiłki pieniężne. Leczone elektroterapią 7,764 osoby, przy ogólnej ilości 41,275 zabiegów (galwanizacja, faradyzacja, kąpiele świetlne i djatermja). Roentgenem leczono 2,102 osoby, wykonywując 11,650 zabiegów djagnostycznych oraz 4,533 zabiegów terapeutycznych. Lampą kwarcową leczono 4,116, wykonywując 35,231 zabiegów. Porad dentystycznych udzielono 316,710, badań bakteriologicznych wykonano 30,847, lekarstw wydano 1,526,203. Z podanej wyżej ogólnej liczby porad domowych przypada na wezwania pogotowia położniczego

2,946, na wezwania pogotowia do nagłych wypadków — 3,822. Do miejscowości klimatycznych i zdrojowych wysłano ogółem 1,577 ubezpieczonych, z tej liczby 400 pacjentów przypada na kuracjuszy kasowego „Domu Zdrowia,” w Zakopanem.

Warunki ogólne, w jakich Kasie przypada prowadzić swą działalność, niemal od pierwszych chwil jej istnienia, są bardzo trudne, a to ze względu na chroniczny kryzys, jaki przeżywa oddawna łódzki przemysł włókienniczy. W szczególności ostatnie półtora roku zaznaczyły się ostrym nasileniem kryzysu, który doprowadził do zamknięcia znacznej ilości fabryk i przedsiębiorstw, oraz zmniejszenia dni lub czasu pracy w zakładach czynnych, a co za tem idzie i do poważnego obniżenia się dochodów Kasy.

Niemniej jednakże, pokonywując krok za krokiem piętrzące się przeszkody, Kasa Chorych powiększa nieustannie swój dorobek.

Najwięcej środków i energii pochłaniać muszą z konieczności wysiłki w kierunku zapewnienia ambulatorjom Kasy Chorych, które po dzień dzisiejszy mieszczą się przeważnie w nieprzystosowanych do swego celu lokalach prywatnych — lokali odpowiednich pod względem rozmiarów i warunków higieny.

To też należy, jako ważny krok naprzód, powitać zakupienie przez Kasę 2-ch wielkich placów, w najrozleglejszych dzielnicach robotniczych Łodzi, a mianowicie na Chojnach i na Bałutach. Na placach tych stanąć mają, miejmy nadzieję, w niedalekiej przyszłości, obszerne, nowoczesnie urządzone lecznice. Z ważniejszych inwestycji wymienić jeszcze wypada zakupienie 8 włók lasu pod Tuszynem, niedaleko od Łodzi, gdzie zamierzonym jest wybudowanie uzdrowiska dla lekko gruźliczych i domu dla uzdrowieńców oraz urządzenie kolonji letnich dla dzieci członków Kasy.

1. Powiatowa Kasa Chorych
w Ciechanowie.

Czynna od 17 Sierpnia 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Celestyn Dylewski*. Zastępca Kierownika *Zenon Jabłoński*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy, prowadzi 2 Oddziały w powiecie w Kraśniku i Głinojecku. Kasa ma gabinet lek. chir.-gin. i dentyst

2. Powiatowa Kasa Chorych
w Mławie.

Czynna od 21 Września 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Celestyn Dylewski*. Zastępca Kierownika *Marian Majdocki*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. i dentyst.

3. Powiatowa Kasa Chorych
w Przasnyszu.

Czynna od 19 Października 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Celestyn Dylewski*. Zastępca Kierownika *Ludwik Grudziński*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. i gin.

4. Powiatowa Kasa Chorych
w Płońsku.

Czynna od 1 Stycznia 1926 r. Władze Kasy i Kierownik *Celestyn Dylewski*. Zastępca Kierownika *Ignacy Stefaniak*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. gin.

5. Powiatowa Kasa Chorych
w Pułtusku.

Czynna od 30 listopada 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Celestyn Dylewski*. Zastępca Kierownika *Aleksander Raczyński*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. gin.

6. Powiatowa Kasa Chorych
w Makowie.

Czynna od 11 Stycznia 1926 r. Władze Kasy: Kierownik *Celestyn Dylewski*. Zastępca Kierownika *Pawet Dams*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. i gin.

7. Powiatowa Kasa Chorych
w Wołominie.

Czynna od 23 Listopada 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Janusz Pryliński*. Kasa zatrudnia 3 lekarzy i posiada gab. lek. chir. gin. dent.

8. Powiatowa Kasa Chorych
w Mińsku-Mazowieckim.

Czynna od 30 Listopada 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Apolinary Porębski*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. gin.

9. Powiatowa Kasa Chorych
w Grójcu.

Czynna od 11 Stycznia 1926 r. Władze Kasy: Kierownik *Aleksander Radomski*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. gin.

10. Powiatowa Kasa Chorych
w Siedlcach.

Czynna od 25 Stycznia 1926 r. Władze Kasy: Kierownik *Henryk Jan-kielewicz*. Kasa zatrudnia 6 lekarzy i posiada 2 gab. lek. chir. gin. dent.

11. Powiatowa Kasa Chorych
w Białej Podlaskiej.

Czynna od 30 Listopada 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Mitosz Przyborowski*. Kasa zatrudnia 2 lekarzy i posiada gab. lek. chir. gin.

12. Powiatowa Kasa Chorych
w Łunicy.

Czynna od 15 Lutego 1925 r. Władze Kasy: Kierownik *Feliks Frankowski*. Kasa zatrudnia 3 lekarzy i posiada Oddziały w Miluszowiczach.

13. Powiatowa Kasa Chorych
w Stollnie.

Jest w stanie organizacji, czynną będzie od marca r. b. Kierownik *Antoni Staniszewski*.

14. Powiatowa Kasa Chorych
w Sarnach.

Jest w stanie organizacji, czynną będzie od 1 marca r. b. Kierownik *Jerzy Krukowski*.

Powiatowa Kasa Chorych w Sosnowcu.

(dla powiatu Będzińskiego)

Sosnowiec, 19.XII 1925 r.

Powiatowa Kasa Chorych w Sosnowcu, obejmująca swoją działalnością całe Zagłębie Dąbrowskie, była pierwszą z Kas Chorych zorganizowaną na terenie byłego zaboru rosyjskiego. Powołana do życia dekretem Naczelnika Państwa, już w marcu 1920 r., rozpoczęła swoją działalność. Moment powstania Kasy był równocześnie chwilą, kiedy przemysł Zagłębia Dąbrowskiego, pełną parą pracował, kiedy istniał urząd węglowy dla regulowania rynkiem węgla i jego dyrygowaniem poza granice państwa, kiedy wielkie piece przetapiały dziesiątki tysięcy ton. Wówczas stan ubezpieczonych robotników, rzemieślników i pracowników unysłowych w Kasie sosnowieckiej był bardzo liczny i sięgał sumy 137.058 członków, z czego mężczyzn było 110.548, kobiet 26.510, członków, zaś rodzin było 185.289. Dziś kiedy życie ekonomiczne powoli zamiera i kiedy w samym Zagłębiu Dąbrowskiem w pierwszych dniach grudnia 1925 roku było 24 744 bezrobotnych, pobierających zasiłki, również i liczba członków Kasy zmalała znacznie i sięga cyfry 80.406, z czego mężczyzn 63.572, kobiet 16 834, członków rodzin zaś 115.328.

Cechą charakterystyczną Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu to szpitalnictwo. Żadna z Kas Chorych w państwie polskim nie może poszczycić się taką ilością szpitali jak Kasa sosnowiecka. Liczba łóżek w szpitalach sięga cyfry 600. Kasa ma następujące szpitale: w Sosnowcu 3, „Hr.

Renard“, „Pogoń“, i Zakład Położniczy; w Dąbrowie Górniczej 2, „Sw. Wincentego“ i „Barbary, szpital na Saturnie, w Grodźcu, Niemcach i w Zawierciu, w których w roku 1924 leczono się 12 205 osób w 148.345 dniach. Kasa posiada szereg zakładów specjalnych, a mianowicie:

1) 45 ambulatorjów wraz z 75-ma gabinetami lekarskimi,

2) 1 gabinet Roentgena z dwoma aparatami, gdzie dokonuje się prześwietlań, fotografowania oraz terapeutyczne naświetlania.

3) gabinet do elektryzacji,

4) gabinet do leczenia ciepłym powietrzem i lampą Finsena,

5) 3 gabinety lamp kwarcowych wraz 8-ma lampami (ogółem w instytucie Roentgena i fizjatrji w Sosnowcu, w roku bieżącym do 15-go grudnia udzielono różnych zabiegów 43.165 osobom)

6) laboratorium analityczne i farmaceutyczne.

Prócz tego w myśl planu opracowanego przez Zarząd Kasy posiada Kasa Sosnowiecka 15 pełnych aptek, rozrzuconych po różnych miejscowościach Zagłębia Dąbrowskiego, które obsługiwane są przez siły fachowe. W aptekach Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu wydano w 11-tu miesiącach 1925 r. lekarstw 1.124 435, co miesięcznie przeciętnie wynosi 102 221 lekarstw.

Ponieważ, cyfr bilansowych, za rok 1925 uzyskać jeszcze nie mogliśmy, przeto ograniczyć się musimy do da-

nych z roku 1924. Otóż w roku 1924 wpłynęło do Kasy tytułem składek członkowskich 7.635.417 i 41 gr. Minimum płacy było 0.75, a maximum 12.50. Grup zarobkowych było 14, w roku zaś 1925 14 i 28. Wysokość procentowa składki wynosiła do 1-go sierpnia 1925 r. $6\frac{1}{2}\%$, a od 1-go sierpnia 1925 r. $7\frac{1}{2}\%$. Zasiłków wypłaciła Powiatowa Kasa Chorych w Sosnowcu w r. 1924 1.842.677,45.

Kasa zatrudnia 85 lekarzy, 19 dentystów, 17 felczerów, 19 stałych akuszerów, 244 sanitariuszy i służby szpitalnej, 91 aptekarzy i prac. pom., 39 służby apłecznej, 234 urzędników administracyjnych, 92 służby niższej

i furmanów, oraz 10 rzemieślników i szoferów.

Powiatowa Kasa Chorych w Sosnowcu zarządzana jest przez Komisarza rządowego p. Kazimierza Osiońskiego, który od czterech lat w tym charakterze kieruje tą instytucją, a któremu ma to do zawdzięczenia, że w tym tak ciężkim okresie jaki przeżywa przemysł, instytucje ubezpieczeniowe, samorządy i t. d. potrafił bez uszczuplenia agend Kasy utrzymać jej poziom na europejskim stopniu. Lekarzem Naczelnym Kasy jest Dr. Józef ZELENAY, odznaczający się dużą wiedzą lekarską, taktem, pracowitością i charakterem kryształowym.

W szczęściu wszystkich — są wszystkich cele.

SPÓŁDZIELNIA URZĘDNICZA

w K u t n i e

UL. PREZYDENTA PARUTOWICZA № 129.

Artykuły spożywcze i dystrybucyjne.

K a s a C h o r y c h w Skierniewicach.

Skierniewice, 20. XI. 1925 r.

Kasa Chorych w Skierniewicach powstała w 1923 r. 10 września, jako oddział Żyrardowskiej Kasy. Z dniem 1 czerwca 1925 roku z rozporządzenia Ministerstwa Pracy została usamodzielniona. Powstanie tej nowej placówki ubezpieczeniowej, mimo, że pracownicy nieposiadali ze strony pracodawców żadnej pomocy lekarskiej, było przez podlegających ubezpieczeniu pracowników przyjęte niechętnie, którzy w zasadach ubezpieczeniowych dostatecznie się nieorientują. Mimo trudnych warunków, w jakich Kasa powstała, szczególnie z powodu wrogiego usposobienia się tak pracodawców, jak i pracowników do tej Instytucji, Kasa Chorych krok za krokiem wywalczyła sobie jaknajszersze kręgi zaufania, w wyniku czego społeczeństwo Skierniewickie już z innej strony przygląda się tej Instytucji, jak w początkach założenia. Kasa naogół jest mała, bo zaledwie liczy do 1300 członków ubezpieczonych i do 800 członków rodzin. Stan członków by się znacznie powiększył, gdyby nie bezrobocie i ogólny zastój, który na gruncie Skierniewickim jest duży. Finansowo, dzięki bezrobociu, Kasa stoi dosyć źle, gdyż ogólne wydatki Kasy wynoszą przeciętnie za miesiąc lipiec i sierpień do 120% ogólnych należności ze składek. W następnych miesiącach dzięki wprowa-

dzeniu wszelkich możliwych oszczędności wydatki te zmniejszyły się znacznie, bo za wrzesień wynosiły 97,7%, zaś w październiku już tylko 74,6% ogólnych należności. Za miesiąc wrzesień 1925 r., wysokość przypisanych składek wynosiła 9367 zł. 97 gr. W miesiącu październiku wydatkowano na zasiłki pieniężne 887 zł. 10 gr. Zwrotów pieniężnych 38 zł. 9 gr. Płace personelu leczniczego wynoszą 2352 zł. 72 gr. Leki, pobrane, z aptek 1571 zł. 76 gr.

Koszty szpitalne 684 zł. 13 gr. i koszty administracyjne wogóle 1522 zł 68 gr. Jak świadczą cyfry to największej gotówki pochłaniają płace personelu leczniczego i lekarstwa, w czym jest nadzieja, że od Nowego Roku i te znacznie się zmniejszą. W miesiącu wrześniu udzielono w ambulatorjum porad lekarskich 1.056, dentystrycznych 321, u chorych w mieszkaniu 61, skierowano do szpitali 5. Kasa posiada dwa gabinety lekarskie, jeden dentystryczny i jeden z lampą kwarcową. Lekarzy ordynuje 7, wszelkich specjalności. Ogólny nadzór nad Kasą wykonywuje P. Komisarz Rządu wy Stanisław Prasałek, pod którego to kierownictwem Kasa doskonale się rozwija, i w zupełności odpowiada swemu zadaniu. Nadzór lekarski pozostaje w rękach Naczelnego lekarza dr. Skwary.

Działalność Kas Chorych w Polsce.

POWIATOWA KASA CHORYCH W SO- CHACZEWIE.

czynna od 15-go kwietnia 1925 roku.

Władze Kasy: komisarz Rządowy Bolesław Mrozowski, p. o. dyrektora Franciszek Sierantowicz.

Kasa posiada centralę w Sochaczewie wraz z przychodnią (gabinet lekarski i dentystyczny) składnicę apteczną przy centrali i przychodnię w Boryszewie, czynną 2 razy w tygodniu.

Kasa liczy 920 członków—posiada 3-ch lekarzy i 1 dentystę.



POWIATOWA KASA CHORYCH W RY- PINIE.

czynna od 17-go sierpnia 1925 roku.

Władze Kasy: komisarz Rządowy Libchen, p. o. dyrektora Aleksander Nowakowski.

Kasa znajduje się jeszcze w okresie początkowej organizacji tworząc, poza przychodnią przy centrali, oddziały w Dobrzyniu i przy cukrowni w Ostrowitem.

Członków liczy Kasa dotychczas 900, lekarzy 6-ciu.

POWIATOWA KASA CHORYCH W SIERPCU.

czynna od 1-go września 1925 roku.

Władze Kasy: komisarz Rządowy Libchen, p. o. dyrektora Waław Karzewski.

Kasa znajduje się w początkowej organizacji — licząc dotychczas zaledwie 600 członków i 3-lekarzy.



POWIATOWA KASA CHORYCH W KUTNIE.

uruchomiona 15-go czerwca 1925 roku.

Władze Kasy: komisarz Rządowy Kaz. Kuczewski, Lekarz Naczelny: dr. Władysław Epstein.

Kasa posiada centralę w Kutnie przy ul. Sienkiewicza Nr. 203-A, gdzie również mieści się przychodnia Kasy posiadająca dwa gabinety i salę opatrunkową. Nadto czynne są oddziały w Żychlinie, Krośniewicach i przy cukrowniach w Strzelcach, Dobrzelinie, Tomczynie, Sójkach, Łaniętach i Ostrowach.

Ilość członków wynosi obecnie 5.240.

Lekarzy w Kutnie pracuje 6 - ciu;
w Żychlinie 2-u, w Krośniewicach 1.



POWIATOWA KASA CHORYCH W GOSTYNINIE.

uruchomiona 1-go września 1924 roku.

Władze Kasy: komisarz Rządowy
Bolesław Mrozowski, p. o. dyrektora
Jan Bluhm-Kuratkowski.

Kasa, poza centralą i przychodnią
centralną, zaopatrzoną w gabinet le-
karski i dentystyczny, posiada od-
działy z przychodniami w Soczewce,
Gąbinie, Sannikach i przy cukrowni
w Modelu.

W oddziale w Gąbinie znajduje
się przychodnia i gabinet denty-
styczny.

Ilość członków wynosi 2.600 osób,
lekarzy ogółem 5 - ciu, dentystów
4-ch, felczerów 4-ch, sanitarjuszy 1.

Przy centrali czynną jest składnica
apteczna zaopatrująca wszystkie od-
działy w niezbędne leki.

POWIATOWA KASA CHORYCH W ALE- KSANDR. -KUJ.

czynna od 18 września 1924 roku

Władze Kasy: komisarz Rządowy
Kaz. Kuczewski: zastępca Kom-
isarza Franciszek Kochański, lekarz
Naczelny, dr. Władysław Jastrzębski

Poza centralą w Aleksandrowie,
posiadającą przychodnią (gabinet le-
karski, dentystyczny i opatrunkowy),
Kasa posiada oddziały wraz z przy-
chodniami w Ciechocinku, Nieszawie
i przy cukrowni w Dobrem oraz bez
przychodni w Radziejowie, Piotrkowie
i Osiecinach.

Przy cukrowni w Dobrem posiada
Kasa nadto swoją aptekę, i w Ale-
ksandrowie składnicę apteczną.

Ilość członków wynosi 2.620, leka-
rzy ogółem 8-miu i 3-ch lek. den-
tystów.

POWIATOWA KASA CHORYCH W ŁOWICZU.

czynna od 15 go listopada 1924 roku.

Władze Kasy; komisarz rządowy
Bolesław Mrozowski, zastępca Kom-
isarza Franciszek Sierantowicz.

Kasa posiada jedynie centralę w Ło-
wiczu wraz z przychodnią (gabinet
lekarski, dentystyczny i opatrunkowy).
Oddział w Łyszkowicach z powodu
zamknięcia, cukrowni został zwinięty.

Członków liczy Kasa 1.269, leka-
rzy 6-ciu, dentystki 2, sanitarjuszka.

POWIATOWA KASA CHO- RYCH W LIPNIE,

czynna od 1-go marca 1925 roku.

Władze Kasy: komisarz Rządowy
Libchen, zastępca Komisarza Karol

Bochenek, lekarz Naczelny: dr. Górnicki.

Poza Centralą w Lipnie posiadającą b. dobrze rozmieszczoną i obszerną przychodnię, Kasa posiada od-

działy w Dobrzyniu n/W., Kikole i Lubiczu.

Ilość członków wynosi 1.260, lekarzy 5-ciu.



Kronika inwalidzka.

Walny Zjazd Delegatów Zw. Inwalidów woj. R. P. w Warszawie.

Na Zjazd powyższy przybyło z górą 450 delegatów ze wszystkich stron Polski, reprezentujących olbrzymią 320 tysięczną rzeszę inwalidów wojennych, wdów i sierot po poległych.

Zjazd ten odbył się, że tak powiemy, z należytą pompą, a przebieg jego, takie jest nasze skromne wrażenie, był dobrze przygotowany przez Władze Naczelne Związku. Uroczystości zjazdu miało poprzedzić nabożeństwo w katedrze św. Jana, które się jednak nie odbyło z powodów nam nieznanych.

W przepelnionej sali Rady Miejskiej otwarto zjazd nader uroczystie. Obecni byli reprezentanci ciał ustawodawczych, władz rządowych, samorządowych, wojskowości, organizacji społecznych i prasy. Widzieliśmy na sali podsekretarza stanu (z Rady Ministrów)

Studzńskiego, podsekretarza stanu Karśnickiego, dyrektora departamentu Czechowicza, szefa departamentu sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych gen. dr. Składkowskiego, postów Polakiewicza, Gawlikowskiego, Bigońskiego i Smołę.

Zagał obrady p. M. Kantor, przewodniczący Wydziału wykonawczego Zarządu Głównego Związku, wybrano prezydium w osobach: dr. Proszak z Krakowa (przewodniczący), p. Mechliński z Poznania, p. Szlimm z Płocka, i p. Kuluszko z G. Śląska (sekretarz), — a następnie wysłuchano b. licznych mów powitalnych.

Mówił więc najpierw gen. Składkowski, który odczytał odręczne pismo ministra spraw wojskowych do zjazdu, mówił poseł Polakiewicz, witany i żegnany owacyjnie, a istotnie dla spraw inwalidzkich niezwykle zasłużony, przemawiali posłowie Gawlikowski, Bigoński, Cistak (N. P. R.) i Smoła (Wyzwolenie), przemawiali przedstawiciele różnych instytucji, zrzeszeń, grup i stowarzyszeń, przemawiali przedstawiciele prasy (nieliczni), i w tym potoku mów i frazesów, błyszczących i błyskotliwych, szczerych i napuszonych, tonęła biedna

sprawa inwalidzka, o której tyle się mówi, którą się tak (w dniach zjazdów) poważa, i która, mimo wszystko, kuleje ustawicznie, jak ten biedny b. żołnierz-delegat, który przykuśtykał do wspaniałej sali i nadziei się nie mógł, jak-to wszyscy pięknie mówią i inwalidów kochają, a przecie, mimo, że nogę utracił i grozi mu ślepotą (był zatruty gazami) pełnej renty dać nie chcą, i od Anasza do Kaifasza już trzeci rok odsyłają.

Ale... było pięknie. Mówiono dobrze i dużo, i dużo i dobrze. To też co chwila brzmiały oklaski, wznoszono okrzyki, i czekano, co to dalej będzie.

Po tych powitaniach wreszcie udzielono głosu przesowi Kantorowi, który złożył wyczerpujące sprawozdanie z działalności Zarządu Głównego, i mówił wytrwale przeszło dwie godziny. Słuchany był z uwagą przez wszystkich, co mu się bezwzględnie należało, jako człowiekowi, który nietylko zna najdokładniej stan sprawy inwalidzkiej, ale i zasługi którego dla tej sprawy są istotnie znaczne.

Mówca zwrócił uwagę szczególnie na sprawę zaopatrzenia inwalidów, ich warsztatów pracy, koncesyj i banku inwalidzkiego, o powstaniu którego donosiliśmy już w poprzednim numerze. Zaznaczył, że sprawa wejścia w życie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o koncesjach rządowych, jest sprawą najbardziej palącą, i że przy realizacji tych właśnie koncesyj bank inwalidzki odegrać może niezmiernie ważną rolę, do której się przygotowuje, wypracowawszy już plan zakresłony na szeroką skalę. Cóż wynikało z tego sprawozdania i z tego przemówienia, nacechowanego niewątpliwie dużą pewnością siebie, i nadzieją na bardzo pomyslną przyszłość?

Wynikało bezsprzecznie to, co zaraz podkreśliły usłuszne i nieznające zupełnie położenia większości inwalidów gazety, że sytuacja inwalidów już się poprawiła. Nie wiem, czy takim jest także zdanie Zarządu Głównego, wiem z pewnością, że tej poprawy większość inwalidów dotąd zupełnie nie odczuła, i że pisma codzienne oddały sprawie niedźwiedzią przysługę. Bo o inwalidach w góle pisze się rzadko. Wprawdzie kronikar-



Pochód Delegatów na Zjazd Krajowy.

skie wzmianki o samobójstwach wśród inwalidów pojawiają się dosyć często (a to nie świadczy o polepszeniu), lecz na te wzmianki nikt uwagi nie zwraca. Natomiast obszernie sprawozdania ze zjazdu czyta bardzo wiele osób, i mówi: Ach, to przecież nie jest tak źle. Więc czegoż jeszcze ci inwalidzi chcą, do djabła!

Tak czegoż jeszcze chcą!

O tem usłuzne gazety codzienne milczą. I oto ustala się obecnie opinia (w stolicy już bardzo szeroko rozprzestrzeniona), że inwalidom jest dobrze. Lecz sami inwalidzi mówią co innego i fakta mówią co innego.

* * *

Po przerwie, poprzedzonej wyborem komisji zjazdowych, odbył się wspólny obiad. Jak on tam się odbył, tego nie wiemy, — słyszeliśmy, że w nastroju miłym i harmonijnym, — natomiast uważając, że w sprawozdaniu tem obowiązuje szczerść, zaznaczyć musimy, że salę Rady Miejskiej opuszczaliśmy z uczuciem dosadnego nawet rozczarowania. Bo, jeśli odrzucimy wszystkie te mowy i błyskotki frazesów, jeśli nawet przejmemy się najupełniej optymizmem prezesa Kantora, to i tak nie możemy opędzić się silnemu wrażeniu, że wszystko — do wyborów komisyjnych włącznie — było tak dobrze przygotowane, jak jakieś przedstawienie teatralne, a nie zjazd, który winien wykazać wolną, swobodną inicjatywę, no i przypomnieć komu należy ogrom niedoli inwalidzkiej bez przesady, ale szczerze i silnie

* * *

Prace komisyjne trwały dwa dni.

Nastąpiły znowu obrady plenarne, którym przewodniczył dr. Prostek, a które odbywały się w gmachu tow. higienicznego.

Zanim pokrótce zdamy z nich sprawę, chcemy jeszcze zwrócić uwagę na zbagatelizowaną najzupełniej odezwe inwalidów i byłych wojskowych, odezwe ważną i szczerą, i podpisaną przez ludzi, którzy na terenie inwalidzkim nie śpią, lecz pracują. Odezwa stwierdza: „Życie organizacyjne Związku Inwalidów stanęło na martwym punkcie, przestało się rozwijać, bo przestało się swą rozszerzać, przestało wzmacniać się napływem sił nowych i twórczych. Wielu naszych kolegów inteligentnych i zdolnych usuwa się od pracy, nieliczne zaś szeregi ofiarnych budowniczych gmachu naszej organizacji nie są w stanie podołać ogromowi zadania. Całe przecież powiaty, a nawet województwa nie są dotąd zorganizowane, cały szereg ogniw naszego Związku śpi snem sprawiedliwego, i tysiące, tysiące inwalidów pozostaje dotąd bez opieki Związku. I ci Wasi niezorganizowani i nieuświadomieni koledzy, którzy nie wiedzą nawet, jakie im w Polsce przysługują prawa, wołają do Was o pomoc, o pomoc szybka! I natychmiastową. Ludził! Ludzi! nam dajcie, którzy nas

zorganizują i poprowadzą. Ludzi tych mamy, i to ludzi chętnych, pełnych najlepszej woli i chęci do pracy. Są to koledzy nasi, byli wojskowi, ci, którzy wraz z nami, ramię przy ramieniu, walczyli o wolność kraju, o niepodległość i prawo, a więc i o naszą prawa. To są ci, którzy przeżyli wspólną z nami dolę i niedolę! Czemu przeto ich odrzućcie?! Czemu uważacie ich za członków tylko drugiego rzędu?! Czy nie chcecie iść z duchem czasu?! Pomyślcie! Zdecydujcie! Czy należy czekać momentu, w którym byli wojskowi odsuną się od Was zupełnie i stworzą własny Związek bezpartyjny, potężny i zdrowy? Pomyślcie! Byli wojskowi i Wy inwalidzi, to potęgali! Przywileje inwalidów są zagwarantowane ustawami rządowymi, a nie Statutem Związku, przeto zmieniając jeden z paragrafów Statutu, nietylko nie naruszacie praw swoich, lecz kładziecie pod gmach Związku nowy fundament, rozpalacie ognisko nowej siły, stwarzacie wielką potęgę!”

Odezwe tą, nietylko szczerą, ale i jasną, wyraźną, podpisali między innemi; R. Dziewicki, inwalida, obecnie przewodniczący Warszawskiego Zarządu Wojewódzkiego, — Frankowski, inwalida, sekretarz tegoż Zarządu, — J. W. Jaroszyński, b. wojskowy, oficer rezerwy, kierownik Sekcji Dochodów Niestałych tegoż Zarządu, — Witold Majewski, b. wojskowy, — Lucjan Suchecki, inwalida, — Wiesław Batorski, b. wojskowy, — T. Czuchaj, inwalida, — E. Oracz, b. wojskowy i Andrysiak, inwalida.

Domagano się więc zmiany statutu w tym kierunku, aby b. wojskowy mógł być członkiem zwyczajnym Związku, i mógł przyjmować udział czynny w jego pracach wszelkiego rodzaju. Ale wniosek ten został zbagatelizowany. Powody? Było ich zapewne jak zwykle, tysiąc i jeden, ale najważniejszy to chyba ten, że wniosek nie wyszedł z grona tych, którzy ten zjazd tak dobrze przygotowali. A szkoda! Mamy dane przypuszczać, że odpaleni bez żadnych poważnych powodów byli wojskowi, którzy są bezsprzecznie potęgą, dadzą sobie radę sami, a mogą także pociągnąć za sobą bardzo znaczne grupy inwalidów.

* * *

Wznowione obrady plenarne wyjaśniły, że tak powiemy, położenie ogólne. Okazało się, że nie jest tak dobrze!

Tak więc referent komisyjny p. Stachecki stwierdził, że nie wykonuje się ustawy z 1921 r., gwarantującej opiekę społeczną nad inwalidami. Inwalidzi bowiem i rodziny poległych korzystają tylko w tym wypadku z bezpłatnej pomocy lekarskiej, o ile choroba „pozostaje w związku przyczynowym ze służbą wojskową, czego, rzecz jasna, nie można udowodnić, a więc i zastosować w znacznej części wypadków, a nigdy wogóle względem wdów i sierot po poległych. Również przed-

siębiorky nie stosują się do ustawowego obowiązku zatrudniania inwalidów (1 na 50 pracowników), i w urzędach państwowych dzieje się nie lepiej.

Sprawy koncesyjne referował p. Kikiewicz. I tu znowu położenie się wyjaśnia: referent stwierdził, że ogromna ilość koncesyj znajduje się w rękach ludzi, wrogo usposobionych względem państwa, i że monopol państwowy, chcąc zwiększyć liczbę koncesyj, stwarza w danym miejscu 4 — 6, zamiast jednej, co powoduje, że wszystkie te koncesje nie rentują, że, dalej, wykonanie rozporządzenia prezydenta Rzplitej, mimo poparcia Sejmu, wciąż wisi w powietrzu i t. d. i t. d. I znowu: jednak nie jest tak dobrze. Pan premier Grabski, który zaszczycił swą obecnością to posiedzenie, powiedział, że zawsze poprze te usiłowania inwalidów, które dążą do stworzenia samodzielnych warsztatów zarobkowych. Otóż na to właśnie inwalidzi czekają. „Dość już długo i t. d.” Tak, tak. Słów i rozporządzeń było już bardzo wiele. Ale czyni!!!

* * *

Ostatni dzień zjazdu przyniósł uchwalenie kilku wniosków, które dość jasno ilustrują położenie. Oto one:

1) Domagać się ostatecznego wprowadzenia w życie ustawy o przymusie zatrudnienia przez przemysłowców w fabrykach i przedsiębiorstwach jednego inwalidy na każde 50 pracowników.

2) Domagać się wprowadzenia w życie rozporządzenia z grudnia 1924 r. o rewizji koncesyj.

3) Żądać przekazania inwalidom księgarni kolejowych,

4) Żądać zabezpieczenia prawnego inwalidów i byłych wojskowych przy rozpatrywaniu obecnie ustawy o reformie rolnej.

5) Zwrócić się do M. S. Wojsk. o dokładniejsze określenie procentu niezdolności inwalidów do pracy na komisjach superrewizyjnych.

* * *

Ożywioną dyskusję wywołała sprawa banku inwalidzkiego. Postanowiono wreszcie, aby akcje były imienne z prawem ich kupna tylko przez inwalidów.

W sprawie budowy domu inwalidzkiego postanowiono zwrócić się o pomoc do rządu.

Obrazy zakończył przemówieniem pożełgalnym przewodniczący dr. Proszak, a wreszcie prezes Kantor odczytał listę wybranych do wydziału wykonawczego Zarządu głównego związku. Pod tym względem zostało wszystko po staremu.

O. O.

Czwarty zjazd warszawski- wojewódzki w Płocku.

Czwarty Zjazd Delegatów Kół i Grup Warszawskiego Okręgu Wojewódzkiego Związku Inwalidów W. R. P. odbył się w Płocku, dnia 24 maja 1925 r. pod przewodnictwem kol. Szlimma, prezesa Koła Płockiego, które zgłosiło delegatom nader gościnne i miłe przyjęcie.

Po otwarciu Zjazdu przez kol. Szymańskiego, przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego, po mowach powitalnych, ogłoszonych przez przedstawiciela Zarządu Głównego Szyllera i przez redaktora naszego kwartalnika, Wiktora Przecławskiego, przystąpiono do obrad, które odbywały się w szybkim tempie i bez poważniejszych incydentów.

Zjazd ten można nazwać udanym.

Obecni byli delegaci Kół: Aleksandrów, Ciechanów, Kutno, Łowicz, Sierpc, Skierniewice, Maków, Nowy Dwór, Płock, Płońsk, Rawa Mazowiecka, Rypin, Warka, Włocławek, Grodzisk, Warszawa, oraz przedstawiciel Wydziału Wykonawczego. Tak więc w osobach 39 delegatów reprezentowych było Kół 16.

Ustępujący członkowie Zarządu Wojewódzkiego złożyli obszernie sprawozdanie na podstawie którego stwierdzić można, że praca organizacyjna Zarządu, aczkolwiek w bardzo trudnych przeprowadzana warunkach, wydała już poważne owoce, i budzi jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

Z wniosków, przyjętych na tym Zjeździe, a jak zwykle malujących wciąż niewesołe położenie ogółu inwalidzkiego, wymienić należy następujące:

1) Zjazd domaga się zapewnienia inwalidom wojennym bezpłatnego leczenia na koszt państwa, lub też przywrócenia skreślonego art. ustawy z 18.III.21 r. o przymusowym nałożeniu inwalidów wojennych do Kas Chorych. Domaga się też wykonania tych przywilejów ustawowych, które zapewniały inwalidom wojennym możliwość bezpłatnego leczenia się w uzdrowiskach krajowych i zagranicznych, tem bardziej, że Szefostwa większości podań w sprawach kuracyjnych, załatwiają odmownie.

2) Zjazd domaga się jak najszybszego przeprowadzenia rewizji koncesyj zgodnie z rozporządzeniem Prezydenta Rzplitej. Zarazem zwraca się do Rządu o umożliwienie koncesjonariuszom inwalidom prowadzenia koncesyj przez uruchomienie odpowiednich kredytów, bądź też danie kredytu towarowego na artykuły monopolowe. Również domaga się wykonania postanowień ustawy o kapitalizacji rent inwalidzkiej.

3) Zjazd domaga się jak najszybszego przeprowadzenia waloryzacji rent inwalidzkiej i uwzględnienia przy waloryzacji ustawowo przyznanych inwalidom dodatków: pie-

łegnacyjnego dla ciężko poszkodowanych i kwalifikacyjnego. Zjazd domaga się jak najszybczego wprowadzenia w życie ustawy sejmowej o przerachowaniu rent, które były niewypłacone w swoim czasie lub w należytej wysokości.

4) Zjazd protestuje przeciwko ostatnim zarządzeniom Rządu, co do niewypłacania inwalidom, zajmującym posady państwowe, dodatku rodzinnego do renty, ponieważ powyższe zarządzenie nie znajduje uzasadnienia w ustawodawstwie inwalidzkim. Część żądań powyższych życie już spełnia, jak dotąd jednak, przeważnie na papierze. Czy ustawy i rozporządzenia przejdą z kart dzienników ustaw w czynne życie, przyszłość pokaże.

Rezultat wyborów jest następujący: do Wydziału Wojewódzkiego weszli: kol Żuk, Zagański, Obrzydowski, Dzisiewski, Szymański i Frankowski, — jako zastępcy: Czuhaj, Smoleński, Kozłowski i Wróblewski, — do Rady Wojewódzkiej: Garbowski, Szlimm, Niedzielski, Szymański, Konopka, Andrysiak, Hanecki, Krukowski i Fiszer, jako zastępcy zaś: Skarzyński, Proch, Krasoń, Dębicki i Pankowski.

Przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego obranym został kol. R. Dzisiewski.

—
Red

Oryginalna demonstracja inwalidów w Wiedniu.

Wiedeńskim inwalidom niewesoło się dzieje. Zbierają się, wietują, żądają poprawy bytu, żądają pierwszeństwa przy koncesjach, i niewiele, jak dotąd, mają.

Zakończeniem niezwykle burzliwego ostatniego wieceu, była oryginalna demonstracja na Ringach, gdzie byli żołnierze i oficerowie austriackiej armii rozłożyli się na szynach tramwajowych i zatamowali wszelki ruch kołowy i pieszy na przeszło trzy godziny.

Protezy z kulami, laski, pałki, wózki zajęły środek jezdni, a zdumiona policja dowiedziała się z ust inwalidzkiej delegacji, że represje żadne nic nie pomogą, bo inwalidzi tu właśnie, na Ringach, a nie gdzieindziej, oczekiwać będą na spełnienie swych minimalnych żądań.

Jak to się tam wtedy skończyło, dokładnie niewiadomo w każdym jednak razie ruch na Ringach odbywa się już normalnie, a inwalidzi oczekują na spełnienie żądań w swych nędznych pomieszczeniach.

Ano tak jak prawie wszędzie.

„Sir“ Ignacy Paderewski pamięta o inwalidach.

Inną znowu, bardzo oryginalną i w pysznym otoczeniu odbyłą, wykonał demonstrację

„Sir“ Ignacy Paderewski, były prezydent polskiej Rady Kinistrów, mistrz tonów sławy wszechświatowej. „Sir“ Padesewski zapewne zapomniawszy o tem, że inwalidom w potężnej Anglii jest nienajgorzej, a inwalidom w nowobudującym się państwie polskim trochę gorzej, ofiarował kilka tysięcy funtów szterlingów na rzecz inwalidów angielskich, przyczem ostatni recital w Albert-Hall, największej sali koncertowej Londynu, przyniósł inwalidom angielskim okrągłą sumę 2.000 funtów szterlingów, t. j. około 50.000 złotych. A takich koncertów było kilka! Oczywiście, że król Jerzy w uznaniu tych zasług dla Stowarzyszenia Inwalidów Angielskich, przyjął pana Paderewskiego na specjalnej audjencji i wręczył mu insygnia Wielkiego Krzyża Orderu Imperjum Brytyjskiego, jednego z najwyższych odznaczeń angielskich, a z tą chwilą pan Paderewski otrzymał również tytuł baroneta Imperjum Brytyjskiego, i odtąd anglicy, zwracając się do polskiego mistrza tonów, tytułowńć go będą: Sir.

Ano, bardzo się cieszymy. To wszystko przecież wkracza szczęśliwie w sferę „propagandy na rzecz Polski“, a gazety wciąż donoszą, że nasze ministerstwo spraw zagranicznych, tej propagandy przeprowadzać nie umie. Niechże więc pan Paderewski, jako b. minister spraw zagranicznych, pomaga i teraz naszemu ministerstwu, bo jest przecież człowiekiem niezwykle ofiarnym, i propagandę rozumiejącym: teraz np. król angielski sądzi, że inwalidom w Polsce jest aż tak dobrze, że nie trzeba im już pomagać, i wstydzi się za swą Anglję i ordery daje i tytuły też.

Jednocześnie z doniesieniem o powyższych faktach niektóre pisma wyraziły nadzieję, że mistrz tonów zawita także do stolicy Polski i przypomni sobie o polskich inwalidach wojennych. My tej nadziei nie mamy. W Polsce wszak niema króla, a prezydent nie ma prawa, zgodnie z konstytucją, nadawać tytułów hrabiowskich czy też książęcych.

O ślepych inwalidach.

Od W. P. F. Antoniego Ossendowskiego, gorącego przyjaciela inwalidów i b. wojskowy, otrzymaliśmy list następujący:

— Przed półrokiem otrzymałem list od Generalnego Sekretarza paryskiej filji: „Permanent Blind Relief War Fund Inc. for soldiers and sailors of the Allies. Incorporated“, Paris, 74, rue Lauristan

W liście tym Sekretarz wymienionej organizacji, która wydała po angielsku i po francusku dla ślepych jedną z moich książek, proponował pomoc swoją w sprawie polskiego wydawnictwa dla ślepych ofiar wojny i prosił o poparcie zamiaru organizacji w Polsce.

Napisałem do p. Ministra Spraw Wojskowych, dołączwszy wspomniany list Sekretarza „Permanent Blind Relief War Fund”, prosząc o audjencję, abym mógł dać wyczerpującą odpowiedź na zapytanie tej zasłużonej organizacji

Po miesiącu otrzymałem pismo od p. generała Szpakowskiego oznajmiające, że mój list został przesłany do Ministerstwa Opieki Społecznej, które będzie dalej ze mną konferowało.

Odpowiedzi Ministerstwa do dnia dzisiejszego nie posiadam i nie mogę, chociaż czuję się bardzo zakłopotanym, dać Permanent Blind Relief War Fund potrzebnych informacji.

Co ma znaczyć takie tajemnicze milczenie i niezupełnie grzeczna obojętność Ministerstwa, — nie wiem. Może Ministerstwo otoczyło ślepych inwalidów całkowitą, wprost wymarzoną opieką?

Bardzo byłbym szczęśliwy w tym właśnie sensie odpowiedzieć zasłużonej organizacji, mającej dobre chęci przysiąc z pomocą polskim ofiarom wojny, lecz przedtem musiałbym mieć odpowiedź Ministerstwa O. S.

F. Antoni Ossendowski.

Zakopane, 10.VIII.1925.—

Sprawa, jak widzimy, trwa już miesiące. Czy potrzeba jeszcze komentarzy?



H u m o r.



Na wojnie.

Starszy szeregowiec do żołnierza, któremu pocisk urwał nogę: — Cicho bądź! Kapralowi głowę urwało i nic nie gada, a ty o głupią nogę taki wrzask robisz!

Adres wysyłającego: Magistrat miasta Pacanowa, w Stanie Polskim, Stany Zjednoczone Europy.

To już szczyt powodzenia! Nieprawdaz?

Powodzenie Loterji na budowę inwalidzkich domów pracy.

Komitet powyższej Loterji otrzymał, pomiędzy innymi, następujące potwierdzenie odbioru przesłanych losów:

Nr. 1,354.885. — Pacanów dn. 45 grudnia 2154 r.

Do Komitetu Loterji przy W. Z. W. Związku Inwalidów Wojennych Rz. P. w Warszawie.

Niniejszem kwitujemy z odbioru 5.000.000 losów nadesłanych za asygnatą Nr. A F X 1,234,585,786 z dnia 20 listopada 2154 r. na ogólną kwotę Zł. 5.000.000. Pieczęć. Podpisy: Wielkusz Nabieralski. Kijobusz Wszędybłski.

Nieprawdopodobne a prawdziwe, śmieszne aż do łez...

W Izbie Skarbowej:

Wdowa: — Panie referencie, mąż mój służył w armji rosyjskiej, był na froncie niemieckim. Prawie cały pułk zginął, a podczas rewolucji zginęli lub uciekli pozostali oficerowie, papiery pułkowe spalono. Mam tylko świadków, którzy widzieli męża mego ранego i stwierdzić mogą, że umarł w szpitalu niemieckim.

Urządник: — Dobrze, ale musi pani złożyć zaświadczenie dowódcy kompanji, w której mąż służył, że dostał się on do niewoli bez własnej winy. Zaświadczenie to potwierdzić musi dowódca pułku, inaczej nic z tego nie będzie!

Konia z rzędem temu, kto tę zagadkę logicznie rozwiąże!

Na Komisji:

Komisja złożona z kilku lekarzy pod przewodnictwem generała stwierdziła u badanego żołnierza paraliż prawej połowy ciała skutkiem postrzału w głowę (uszkodzenie mózgu) przyznając 100% utraty zdolności zarobkowych.

Generał rzuca ostatnie pytanie: — A w jaki sposób i kiedy nastąpił postrzał?

Żołnierz: — Służyłem w artylerji. Z rozkazu pana dowódcy wlałem na sosnę jako obserwator, tam mnie zobaczyli i zestrzelili.

Generał: — Proszę zapisać 0% inwalidztwa, gdyż postrzał nastąpił skutkiem nieostrożnego łażenia po sosnach. Pan nie jest inwalidą, nie można być tak nieostrożnym!

Ano... Komisja Inwalidzka widocznie chce wpoić w nas przekonanie, że samo już pójście do wojska jest wielką nieostrożnością.



WIERZBOWA 9.
TEL. 505-05 i 73-99
GODZ. BIUROWE
9 — 3 i 6 — 7
WIECZ.

Przyjmuje wkłady oszczędnościowe w walucie polskiej i obcej. Otwiera rachunki czekowe.

Wydaje pożyczki pod zastaw:

1. Listów Warantowych na towary złożone w Miejskich Składach towarowych.
2. Papierów wartościowych o stałym oprocentowaniu (państwowych, komunalnych i gwarantowanych przez Rząd).

Za całość i bezpieczeństwo wkładów ręczy gmina m. st. Warszawy całym swoim majątkiem (400 milionów).

S P I S T R E Ś C I

	Str.
<i>Żet.</i> : Marzenie o trzecim obozie	3
<i>Tadeusz Newlin-Wagner.</i> : Ojczyzna	6
<i>M. Wańkowicz i S. K. M.</i> : Konny Saper Pancerny	7
<i>F. Antoni Ossendowski.</i> : W podziemnej krainie	19
<i>Zygmunt Kобрzyński.</i> : Parafrazy	28
<i>Wiktor Przectawski.</i> : Miasto	31
<i>Stanisław Wójtowicz.</i> : Wytwórnia Inwalidzka	39
<i>Kamil Giżycki.</i> : Przez Piekło	43
<i>Rajmund Dżisiewski.</i> : Wielka opowieść	55
<i>Kasy Chorych w Polsce</i>	60
<i>Kronika inwalidzka</i>	73
<i>Humor</i>	78

Okładka według rysunku Al. Świdwińskiego.

Redaktor:

Wiktor Przectawski.

Wydawca:

Instytut Wydawniczy Inwalidów Wojskowych i b. Wojskowych. Warszawa, Wspólna 49, m. 9.

Prenumerata roczna wraz z dodatkiem książkowym 20 złotych
Cena niniejszego zeszytu 2 zł. 50 gr.

Niniejszy numer drugi wydawnictwa „Polska Inwalidom” jest wydawnictwa tego wznowieniem. Ciężkie warunki wydawnicze i względy inne, niezależne od Redakcji, sprawiły długą przerwę. Obecnie „Polska Inwalidom” wychodzić zaczyna na nowych podstawach. Możemy zapewnić, że są trwałe. Numer trzeci damy w sierpniu, czwarty w listopadzie, następne co trzy miesiące.

Warszawa, w czerwcu 1926 r.

Redakcja i Administracja.

PAŃSTWOWY BANK ROLNY

CENTRALA:

w Warszawie, ul. Trauguta 11.

ODDZIAŁY:

w Poznaniu, Lwowie i Wilnie.

■ ■ ■

ZAWIADAMIA

że są już w obiegu oryginalne
opiewające na złote w złocie

8⁰/₀-we Listy Zastawne Państwowego Banku Rolnego

8⁰/₀-we Listy Zastawne Państwowego Banku Rolnego są papierem pupilarnym, zabezpieczonym nie tylko hipotekami drobnych gospodarstw wiejskich, ale ponadto specjalnymi funduszami Banku oraz całym jego majątkiem ruchomym i nieruchomym, a oprócz tego gwarantowane są przez Skarb Państwa.

Jako bezwzględnie zabezpieczone od ewentualnego spadku waluty i przynoszące dobre oprocentowanie — 8⁰/₀ Listy Zastawne Państwowego Banku Rolnego

są dobrą lokatą kapitału.

8⁰/₀-we Listy Zastawne Państwowego Banku Rolnego przyjmowane są na poczet podatku majątkowego od wszystkich płatników tego podatku po kursie 140 za 100 nominalnych.

GUSTAW BÜHLE i S^{-KA}
FARBIARNIA

ŁÓDŹ, ——— ALEKSANDROWSKA 41.

347

RESTAURACJA II-^{GO} RZĘDU
K. RACIBORSKI

ŁÓDŹ, ——— NARUTOWICZA № 50.

335

LANDAU
i WELLE

ŁÓDŹ,
UL. KAŹNA 6.

343

Z dn. 1 stycznia 1925 r. rozpoczął VII r. istnienia

„DZIENNIK ZARZĄDU m. ŁÓDZI”

Czasopismo tygodniowe, poświęcone
teorii i praktyce samorządowej miast.

„**DZIENNIK ZARZĄDU m. Łodzi**“ jest największym wydawnictwem komunalnym w Polsce. Wychodzi regularnie co tydzień w objętości conajmniej 16 str. druku.

„**DZIENNIK ZARZĄDU m. Łodzi**“ zamieszcza: 1) artykuły i rozprawy teoretyczne, oryginalne lub tłumaczone, poświęcone zagadnieniom gospodarki komunalnej; 2) Ustawy i rozporządzenia, dotyczące spraw samorządowych; 3) obfity przegląd życia samorządowego miast polskich; 4) dział lokalny; przegląd dzieł i wydawnictw samorządowych i t. d.

„**DZIENNIK ZARZĄDU m. Łodzi**“ jest wydawnictwem zakrojonem na szeroką skalę, które powinno być znane działaczom samorządowym wszystkich miast polskich.

Prenumerata „DZIENNIKA ZARZĄDU m. ŁÓDZI”
wynosi miesięcznie wraz z przesyłką zł. 1.

Gena egzemplarza pojedynczego zł. 0,25.

Adres Redakcji i Administracji:

Łódź, Plac Wolności № 14. Tel. 28-00.

Redaktor: **Bolesław Dudziński.**

Skład
magazynów
opałowych

**ABRAMOWICZ
i WODZISŁAWSKI**

ŁÓDŹ

== Konstantynowska 97. ==

105

Sprzedaż
odpadków
bawełnianych

J. Glücksberg

ŁÓDŹ

N. Targowa 17.

103

Sortownia odpadków bawełnianych

ERWIN PROPPE i S-ka

Łódź, ——— ul. Piotrkowska 112.

101

SKŁAD FABRYCZNY

ADOLF HORAK

== ŁÓDŹ, Piotrkowska 149. ==

Tkálnia: ulica Rejtana.

95

Państwowy Zakład Zdrojowy

Stacja kolejowa, ko-
ściół, poczta,
telegraf na miejscu

w Ciechocinku
jodo-bromo-solankowy

Sezon kąpielowy od
1 maja do
o 31 października o

o frekwencji rocznej 20.000 osób, 400.000 kąpeli

Wskazania lecznicze: choroby skrofaliczne, reumatyzm, artretyczne, kobiece, nerwowe, przewlekłe zapalenia okostne i stawów, wadliwa przemiana materji, otyłość, chroniczne choroby skórne, przewlekłe nieżyty górń. odcinka dróg oddechowych, niektóre cierpienia żołądkowe, kiszkowe, choroba angielska i wiele innych.

Środki lecznicze: 12 źródeł rozmaitej koncentracji solanki od $6\frac{2}{3}\%$ — $1\frac{1}{3}\%$ artezyjskie Nr. 8 do picia, zawierające 1,28 jednostek emanacji radioaktywnej. Kąpiele borowinowe, solankowe, kwasowęglowe, elektryczne, świetlne, parowe, natryskowe, wszelkie zabiegi wodolecznicze, znakomita wzięwalnia (Inhalatorjum) — nadto w zarządzie zakładu do nabycia szlam i ług ciechociński do przyrządzania w domu sztucznych kąpeli ciechocińskich, oraz gazowana solanka stołowa do picia ($\frac{1}{3}\%$, 1% i $1\frac{1}{2}\%$).

W sezonie praktykuje na miejscu 35 lekarzy, cały zastęp felczerów, akuszerek, masażystów i masażystek. Czynne są dwie apteki i kilka składów aptecznych o zasobie mineralnych wód zagranicznych, naturalnych i sztucznych, sprzedawanych w kioskach w parku. Kilka zakładów kefirowych.

Warunki pobytu: W 350 domach znajduje się 4500 pokoi i do 700 kuchni, w tym: w hotelu Milera 100 pokoi. Pokój z usługą w hotelu 113—150 zł. miesięcz. W prywatnych dworzech pokój dobrze urządzone i umeblowane bez pościeli i usługi w I sezonie od 72 do 100 złotych, w sezonie II od 84 do 116 zł, w III nieco mniej. W licznych pensjonatach od 9 do 10 złotych z całodziennym utrzymaniem. Prócz restauracji w hotelu Milera i na dworcu kol. jest kilkadziesiąt kuchni prywatnych. Cukiernie i kawiarnie są w hot. Milera. W parku głównym otwarta jest kuchnia djetyczna pod osobistym kierunkiem lekarza. Uprzejmienia i rozrywki: Spacer w parku głównym, sosnowym, pod tężniami, na wale ochronnym nad Wisłą, zwiedzanie warzelnii soli, wycieczki w okolice powozami i parostatkami na Wiśle.

Koncerty orkiestry zdrojowej: w parku głównym i pod tężniami. Teatr. Czytelnia bezpłatna w galerji spacerowej zaopatrzona w liczne pisma. Nowo otwarte pole sportowe 4 tereny do gry w lawn-tenisa, krokieć, kręgle, gimnastyka. Wieczory taneczne urządzone przez Komisję Zdrojową, zabawy dla dzieci w parku i t. d.

153

ZAMOJSKA FABRYKA

WÓDEK I LIKIERÓW

STANISŁAW KOWERSKI.

SKŁAD WIN I WÓDEK
A. RYDLEWICZ
ŁÓDŹ, RZGOWSKA 155. CHOJNY

■■■

HURTOWA I DETALICZNA SPRZEDAŻ
:: TOWARÓW KOLONJALNYCH. ::

WYROBY TYTUNIOWE.

76

MŁYN AUTOMATYCZNY

A. G O L D A

ŁÓDŹ, ————— CHOJNY

ZAKUP ZBOŻA W KAŻDEJ ILOŚCI.
:: SPRZEDAŻ MĄKI I OTRĄB. ::

5 b.

RESTAURACJA II-go RZĘDU

F. JUSZKIEWICZ

PABJANICE, == WARSZAWSKA 27.

6 b.

Księgarnia św. Wojciecha LUBLIN,

Krakowskie-Przedmieście 43.

Gmach Tow. Kred. Ziemskiego.

Jest stale zaopatrzona w nowości ze wszystkich
dziedzin piśmiennictwa polskiego.

Na żądanie sprowadza wydawnictwa zagraniczne.

Kompletuje i urządza biblioteki.

**Wysyłka szybka i dokładna, na żądanie za zali-
czeniem pocztowem.**

60



Apteka pod Złotą Koroną

M^{-ra} Adolfa Senzera

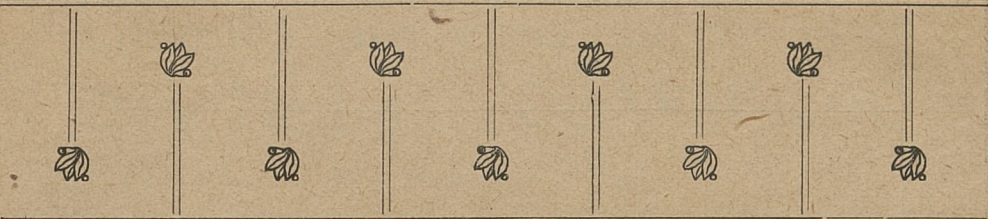
Brody, ul. Ułanów Krechowieckich.



ZAKŁADY GÓRNICZE
„SILESIA”

SP. AKC.

W BIELSKU
CIESZYŃSKIM



Polskie Zakłady
Garbarskie - -

Spółka Akcyjna

w Krakowie

W. BULKIEWICZ

ZAKŁAD POGRZEBOWY

ŁÓDŹ,

ALEKSANDROWSKA 78.

FILJA: OGRODOWA 20.

348

**FARBIARNIA I WYKOŃCZALNIA
LISSNER i RADKE**



Łomżyńska

TKALNIA MECHANICZNA

W ŁODZI. TEL. 30-29.



ŁÓDŹ,

== UL. PRUSA Nr. 35. ==

352

354

LĘCZNICA DLA CHORYCH NA OCZY
D-ra Med. R. SOBAŃSKIEGO
WARSZAWA, AL. UJAZDOWSKIE Nr. 37, m. 9.

TELEFON Nr. 249-02.

OTWARTA OD GODZ 10—12 I OD GODZ. 2—4.
PRYWATNE PRZYJĘCIA OD GODZ. 6 DO 7.

2

„PIEKARNIA i CUKIERNIA
KRAKOWSKA“

egzystuje od roku 1883

LUBLIN. Namiestnikowska 9.

Poleca trzy razy dziennie
różnego rodzaju pieczywo
oraz ciasta i torty

113

CUKIERNIA

J. SAKOWICZA

W LUBLINIE

UL. KRAKOWSKIE PRZEDM. 34

110

HUBERT MÜHLE

ŁÓDŹ

LESZNO № 3.

Przędzalnia i tkalnia.

107

RESTAURACJA II-go RZĘDU
Nicefora Józefa Burchardta
w ŁODZI

1 b.

Naprawa maszyn parowych i motorów wybuchowych.

Fabryka Maszyn i Odlewnia Żelaza
Turski, Ćwikliński i S⁻ka
ŁÓDŹ, Słowiańska № 27/31. Telefon 26-40.

Motory ropowe. Turbiny systemu Francis'a. Tłuczki mechaniczne. Mechaniczne maszyny do produkcji papy smołowniczej. Spawalnia.

Maszyny do dachówek. Prasy do gąsiorów. Kotły. Zbiorniki. Beczki. Ogrzewanie centralne. Wodociągi. Kanalizacja. Transmisja. Maszyny narzędziowe dla blacharzy.

Wykonywa wszelkie odlewy żelazne z własnych i nadestanych modeli i szkieletów.

Porady techniczne.

Rysunki i kosztorysy na żądanie.

Naprawa maszyn przędzalniczych. Własne modele.

2 b.

Markus Wolf
i Synowie

FABRYKA
SUKNA
BIELSKO.

POLSKIE KOPALNIE SKARBOWE

na Górnym Śląsku. Spółka dzierżawna

Société Fermière des Mines Fiscales de L'Etat Polonais en
Haute Silesie.

Królewska Huta, Rynek 9-15 Tel. 136-140.

Sprzedaż węgla z kopalń:
Król. Bielszewice i Knurów.

95.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY GRAFICZNE

WARSZAWA

Al. Jerozolimska 91. Tel. 130-26

Adres telegraficzny „PEZEGE WARSZAWA”

Największe Zakłady Graficzne

w Rzeczypospolitej Polskiej.

Przyjmują zamówienia na wszelkie roboty, wchodzące w zakres sztuki graficznej, jak papiery wartościowe, akcje, obligacje, listy zastawne, znaki opłat i druki ochronne.

Wszystkie bez wyjątku roboty są wykonywane pod ścisłą kontrolą. Zakłady posiadają własną papiernię, produkującą różnego rodzaju papiery od zwykłych pakowych do najbardziej luksusowych ze znakiem wodnym. — **Warunki ulgowe.**

45.

PRALNIA CHEMICZNA

J. Roszkowskiej

WARSZAWA

ul. Chłodna № 36.

76

Sklep wyrobów stalowych
oraz naczyń kuchennych

B. KŁOPOTOWSKA

W LUBLINIE,

ul. Kapucyńska № 2.

33

Fabryka Czekolady i Cukrów

JÓZEF KAMIŃSKI I S-ka

Warszawa

Piękna 27, róg Marszałkowskiej. Telefon 52-53.

SPRZEDAJE!!! S W O J E W Y B O R O W E J J A K O Ś C I P O C E N A C H K O N K U R E N C Y J N Y C H **WYROBY!!!**

15

APTEKA

G. ANCA

ul. Marszałkowska 21, tel. 7-31.

Posiada stale na składzie
wszelkie najnowsze
środki techniczne

Warszawa

12

KAWIARNIA

„NOWOCZESNA”

J. Zatorski

WARSZAWA

Plac 3-ch Krzyży 13.

Telefon 31-38.

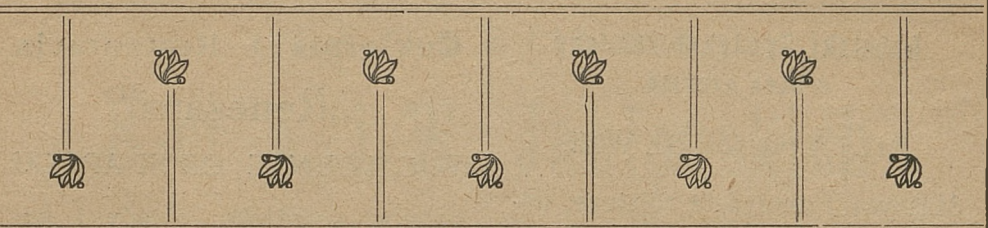
11

SKŁAD WIN, WÓDEK
i TOWARÓW KOLONJANYCH
STEFAN HAUKE

Z G I E R Z,
ul. Piłsudskiego 37.

3 b.

Farbiarnia i Wykończalnia
„DOBRYNKA”
SPÓŁKA AKCYJNA
PABJANICE



**Wołyński Syndykat
Handlowo-Rolniczy, Sp. Akc.**

Centrala w Równem

ul. Handlowa 3.

ODDZIAŁY:

**Dubno, Kowel, Krzemieniec, Łuck, Ostróg,
Równe, Sarny, Włodzimierz, Zdołbunów.**

Dostarcza na dogodnych warunkach wszelkie maszyny i narzędzia rolnicze i przemysłowe, artykuły techniczne i budowlane, towary żelazne, nawozy sztuczne.

Zakupuje zboże i koniczynę.

Lubelski Syndykat Rolniczy
SPÓŁKA AKCYJNA

FILJA w CHEŁMIE.

Maszyny i narzędzia rolnicze, na-
wozy sztuczne, żelazo, snary, na-
siona, artykuły budowlane.

305.

Cukiernia i Restauracja
„Renesans“

W CHEŁMIE OBOK APTEKI
poleca: śniadania, obiady i ko-
lacje, — ceny konkurencyjne.

:: :: Istnieje 50 lat. :: ::

306.

„ZJEDNOCZENI CUKIERNICY”
St. Sadrzak i D. Sikora

w Chełmie

ul. Lubelska 64.

Telef. 122.

307

Nie kupujcie
U ŻYDÓW.

Administracja tyg.

„Zwierciadło”
Chełm, — ul. Lubelska.

308.

NOWY MŁYN

„Exiport”

I. Boguszewski i S-ka

w Chełmie, ul. Trubakowska 3a

Telefon 102

309.

Mleczarnia

Ziemiańska
Chełm, ul. Lubelska 61.

Wydaje śniadania, obiady i ko-
lacje, oraz napoje chłodzące.

Ceny przystępne.

310.

KSIĘGARNIA

Materiały piśmienne, przybory
myśliwskie.

W. J. Jagusiewicz

Puławy, ul. Lubelska 20.

315.

KSIĘGARNIA

JULJI GRINFELD

PUŁAWY, Lubelska 20.

314.

CEGIELNIA

B-ci A. i W. Jabłońskich

Z a m o ś ć.

Poleca cegłę pierwszorzędnej jakości
z pieców hofmanowskich.

H u r t i D e t a l.

292

Bielskie Zakłady Włókiennicze

d a w n i e j

ABR. GROSS

Sp. z ogr. odp.

BIELSKO, ŚLĄSK.

56

Chełmski

Kupno i sprzedaż
zboża i nasion

POSIADAMY:

Maszyny i narzędzia rolnicze: Pługi, Brony, Kultywatory, Siewniki, Żniwiarki, młocarnie, Wialnie, Kieraty, Sieczkarnie, Parniki, oraz części zapasowe.

Drobne narzędzia: widły, łopaty, siekiery, piły, zgrzebła, kosy, sierpy, osetki - świdry - cęgi i t. p.

**Kupiecki Syndykat
HANDLOWO-
ROLNICZY**

Sp. z o. o.

CHEŁM LUBELSKI

ul. Lubelska 57 róg 5 Maja.

Adres tel.: „Kupharol” Tel. 54.

ARTYKUŁY GOS-
PODARCZE i TE-
CHNICZNE:

Gwoździe, Hacele,
Hufnale, Papy,
Łańuchy, Pasy,
Farby, Smary, Wa-
gi, Odważniki
i m'ary.

ŻELAZO i BLA-
CHE, WĘGIEL
i KOKS.

311.

Zakłady ślusarsko-mechaniczne i stolarskie

Wyroby maszyn młyńskich i narzędzi rolniczych

LUDWIK RANIEWICZ w Chełmie

ul. Lubelska róg Trubakowskiej.

313.

Handel win i wódek

Antoniego Świderskiego

Chełm, ul. Lubelska 73.

poleca wyroby krajowe i zagraniczne.

CENY PRZYSTĘPNE.

FIRMA ISTNIEJE OD 1865 R.

312.

Sortownia odpadków bawełnianych

p. f. „TRUST”

Łódź,

ul. Piotrkowska 110.

324

THONET-MUNDUS

POLSKIE FABRYKI
GIĘTYCH MEBLI
S. A.

W BIELSKU CIESZYŃSKIM.

Towarzystwo Warszawskie Oczyszczania i Sprzedaży Spirytusu

SPÓŁKA AKCYJNA (założona w r. 1886)

POSIADA

w WARSZAWIE, przy ul. Dobrej 48/50
(dawny 18). Telefon 18-38 i 307-84.

POD FIRMA

„REKTYFIKACJA WARSZAWSKA”

Fabrykę wódek i likierów, miodosytnię, hurtowe składy
.. win zagranicznych i fabrykę win owocowych. ..

(Biuro sprzedaży przy fabryce)

i na PRADZE przy ul. Żąbkowskiej Nr. 33. Telefon Nr. 7-06.

POD FIRMA

„REKTYFIKACJA WARSZAWSKA NA PRADZE“

Fabrykę oczyszczania spirytusa.

Adres pocztowy: „WARSZAWA. Dobra 48/50”.

Adres telegr.: „WARSZAWA, GORZELNICTWO”.

92

TOWARZYSTWO AKCYJNE

PABJANICKICH FABRYK
WYROBÓW BAWEŁNIANYCH

„KRUSCHE i ENDER”

83

Hotel Francuski i Restauracja I^{go} rzędu

istnieje od 1885 roku.

Urządzona z komfortem. Kuchnia znana z dobroci.

Przy hotelu garaże i stajnie.

STANISŁAW PRZYBYLSKI

77

REPREZENTANT
JAN AUMAN i S-ka

Łódź, Pańska 148.

■ ■ ■

F a b r y k a
przyborów
tkackich.

Specjalność pikieru.

344

RUBINEK

HURTOWY

SKŁAD LODU

Południowa 39.

336

Łódzka Manufaktura

Pluszowa

Teodor Finster

331

S. BIEŃKOWSKI

Łódź, Piotrkowska 55.

SKŁAD NOŻY

334

FABRYKA SUKNA
wyróbów modnych
☉☉ i wełnianych. ☉☉

Gustaw Molenda i Syn

BIELSKO
Cieszyńskie.

Instytut Wydawniczy
Inwalidów Wojennych
:: i b. Wojskowych ::
Warszawa, ===== Wspólna 49, m. 9.

Poleca wydawnictwa własne:

- F. Antoni Ossendowski: Zbuntowane i zwyciężone.* Powieść fantastyczna. W trójbarwnej okładce i z ilustracjami Wiktora Mazurowskiego.
- A. Świdwiński: Co mówią gwiazdy? Czyli 20 przepowiedni na rok 1926.* Album humorystyczny.
- Zygmunt Kобрzyński: Parafrazy i przekłady.* (Wilde, Claudel, Salomon i t. p.) Wydanie wytworne.
- Kamil Giżycki: Przez piekło.* Podróż przez Azję Środkową w r. 1920 i 21. Z licznymi ilustracjami ze zbiorów autora.
- Wiktor Przeclawski: Miasto.* (Opowieść o człowieku głodnym).

Wkrótce ukaże się

Marszałka Józefa Piłsudskiego
„**ROK 1920**”

w nowem opracowaniu.

„Perskie Ōko”

Pierwszorzędný Teatr Rewji
w Warszawie
ul. Nowy-Świat 63.

DYREKCJA:

KONRAD TOM, WŁODZIMIERZ SZCZERBIEC-
.. .. MACHERSKI, JERZY BOROŃSKI.

ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY:

Pp. BODO, BETCHEROWA, BOROŃSKI, HANUSZ,
KOSZUTSKI, LAWIŃSKI, MACHERSKA, MA-
CHERSKI, MERLIŃSKA, OLSZA, OSTROWSKI,
POGORZELSKA, RENTGEN, TOM, WIEHLER,
.. .. ZIELIŃSKA, BURSKA, WINDHEIM.

KIER. ART.: KONRAD TOM.

KAPELMISTRZ: Z. WIEHLER.

REŻYSER; L. LAWIŃSKI. - -

BALETMISTRZ: E. KOSZUTSKI.

DEKORACJE: W. JEWNIEWICZOWEJ I B. CIN-
ZERLINGA. KOSTJUMY POMYSŁU E. POGO-
.. .. RZELSKIEJ.

CODZIENNIE 2 PRZEDSTAWIENIA o g. 7¹⁵ i 9¹⁵ w.

KASA CZYNNA OD GODZ. 11 — 12, I OD 5 DO KOŃCA
PRZEDSTAWIENIA.

TELEFONY: 13-16, 283-70 i 13-17.